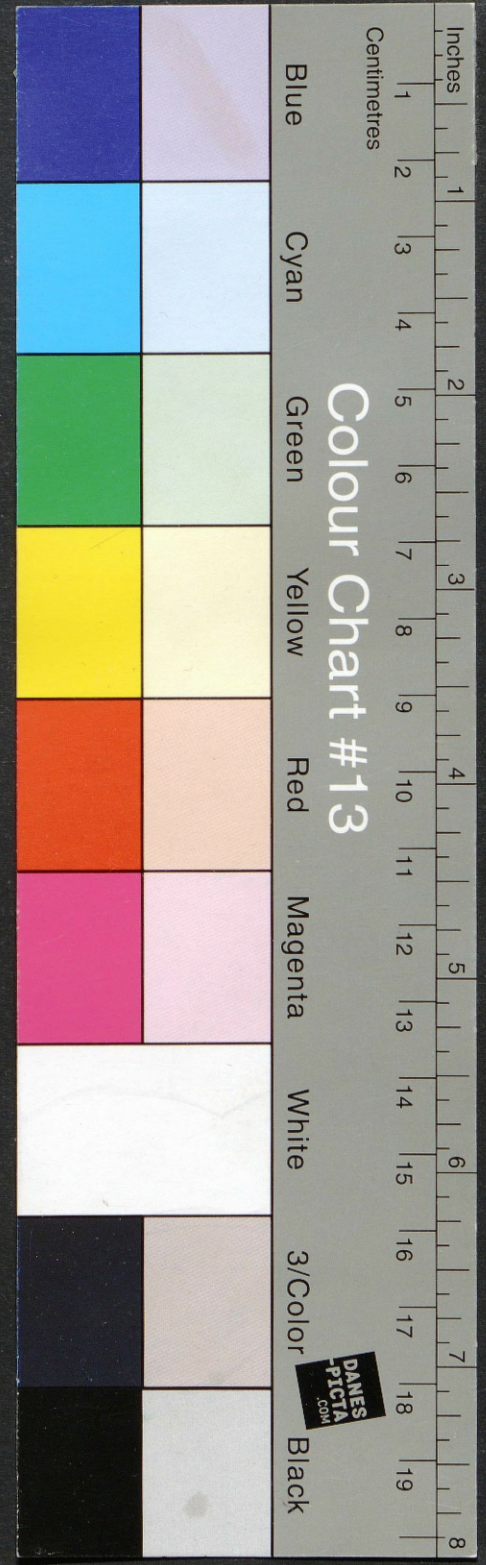
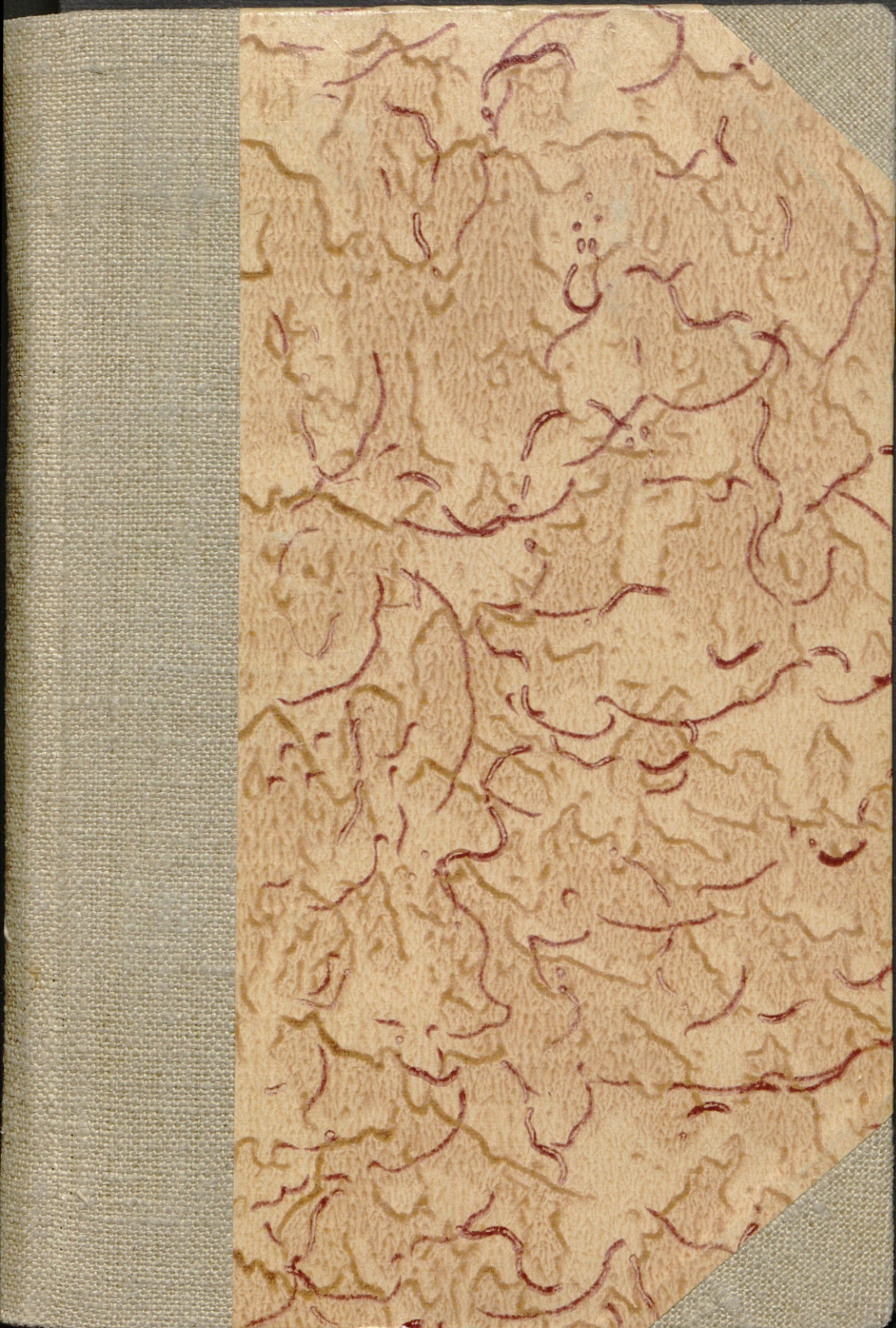




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

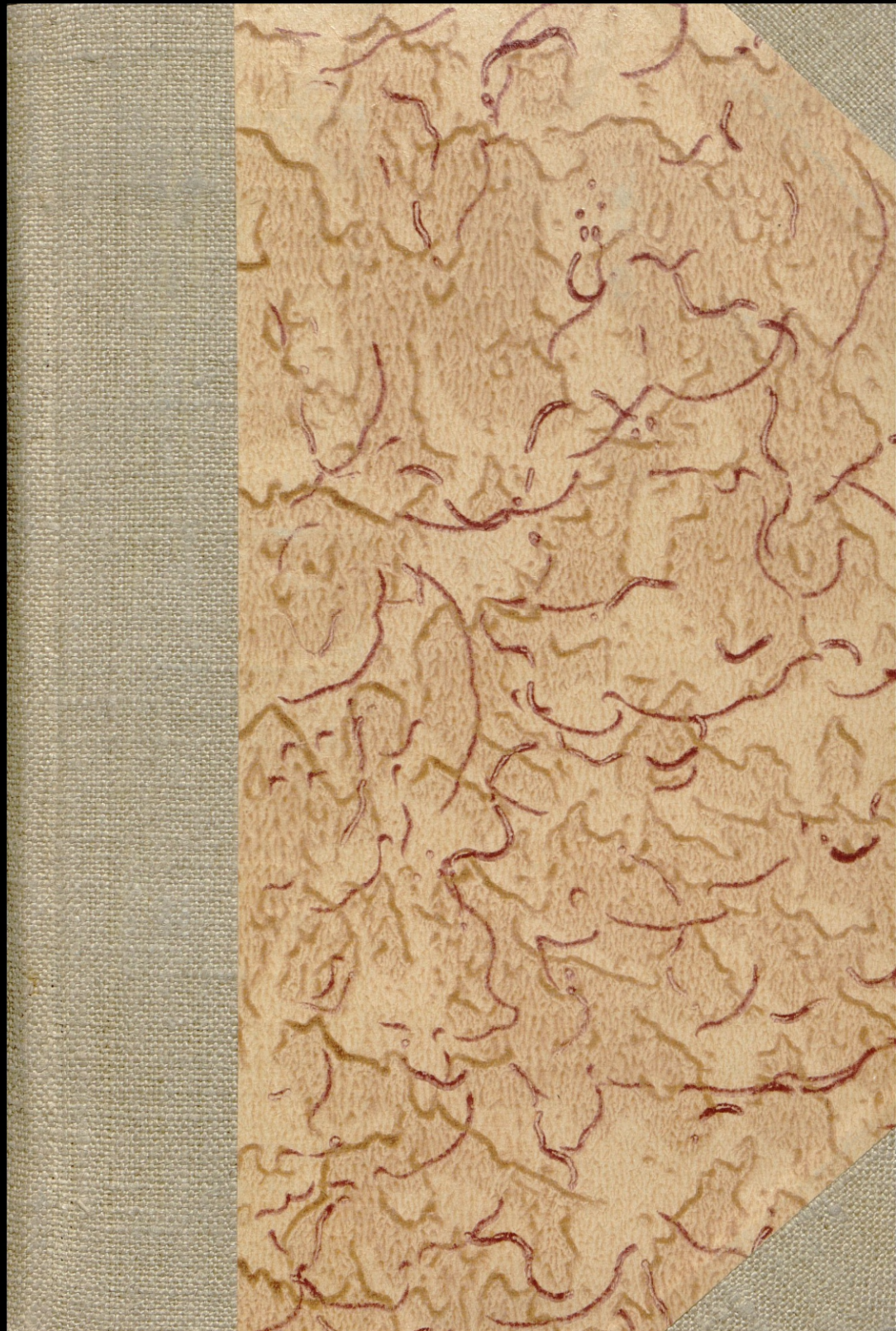


Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





Handwritten notes at the top of the page:
T. 3. 312 ✓
T. 3. 312 ✓

W PRZEDNIU WIOSNY LUDÓW.



Aleksander Guttry.

W PRZEDEDNIU WIOSNY LUDÓW.

WSPOMNIENIA
ALEKSANDRA GUTTREGO

z r. 1846—48.

WYDAŁ I PRZEDMOWĄ OPATRZYŁ

MACIEJ R. WIERZBIŃSKI.

jest 1 egz.

dop/3



W I L N O.

Biblioteka Pamiętników. 1913.
Nakładem Tow. Udz. „Kurjer Litewski“

BIBLIOTEKA PAMIĘTNIKÓW.

Opuściły prasę:

Pamiętniki D-ra Józefa Franka
prof. uniwers. Wileńskiego w 3-ech tomach. Cena rb. 4.



WIDANO Z DUBLETOW
Biblioteki Narodowej



1950 D 138 / 105-

PRZEDMOWA.

W roku 1848—w czasach rozkwitu idei demokratycznej, w tej erze emancypacyjnej stanu mieszczańskiego—Wielkopolska była w najświetniejszym okresie swych dziejów porozbiorowych.

Po usunięciu zienawidzonego Flottwella ze stanowiska naczelnego prezesa W. Ks. Poznańskiego, język polski zajął w szkolnictwie ważniejsze miejsce, większa wolność druku wpłynęła znakomicie na ożywienie ruchu literackiego, w zakładaniu stowarzyszeń nie napotymano przeszkód, a zniesienie konwencji kartelowej między Prusami a Rosją otworzyło przystęp do Poznania strumieniowi emigrantów z Kongresówki.

Duch polski z r. 1831 wcielił się w życie poznańskie, dźwignął moralnie społeczeństwo wielkopolskie, a jednocześnie nauka postawiła je na poziomie kultury zachodnio-europejskiej. Piśmiennictwo zakwitło jak łąka na wiosnę, duch polski przemówił donośnym, pięknym głosem Libelta i Cieszkowskiego, życie umysłowe zawrzało, rozlało się szerokim potokiem, prąd oświatowy wciągnął w swe kręgi zastępy uspołecznionego ludu, bałamuconego dotąd przez urzędników pruskich, towarzystwa gospodarcze i inne zogniskowały wszystkie warstwy we wspólnej pracy pod znakiem orła białego.

Pod względem politycznym społeczeństwo to, jako organizm pełen bujnej żywotności wrażliwe na tendencje napływające z Zachodu, było zróżniczkowane, jednakże odrzuciwszy odcienia, grupowało się we dwa, nie tyle pojęciami zasadniczymi ile temperamentem uwarunkowane, stronnictwa: umiarkowane i egzaltowane.

W ciasnych swych ramach przedstawiało ono mozaikę zespoloną silnie pulsującym poczuciem jedności narodowej i ideału wolnościowego, który znalazł swój wyraz w „legalnej” rewolucji—na polach chlubnych bitew pod Książem, Miłosławiem i Sokołowem.

Literatura, odnosząca się do tych pięknych lat przedstawia się wszakże dość ubogo, aczkolwiek nie brakło wówczas nad Wartą piór i ludzi znakomitych, którzy, stojąc w pierwszym szeregu działaczy, zdawali się z natury rzeczy powołani do zarejestrowania wypadków i oświetlenia epoki. Ani Karol Libelt i August Cieszkowski, ani Ryszard Berwiński, Łukaszewicz, Popliński, ani obywatele tej miary, jak Maciej i Seweryn Mielżyńscy, dr. Matecki, dr. Kraszewski, Gustaw Potworowski, ani wreszcie taki Krauthofer-Krotoski nie pozostawili nam echa tej wiosny ludów.

Jedynie historyk Jędrzej Moraczewski w krótko ujętych „Wypadkach poznańskich w roku 1848” i redaktor „Przeglądu Poznańskiego” Jan Koźmian w rozprawie „Stan Rzeczy w W. Ks. Poznańskim” dali nam garść promieni, ujawniających ustrój i dzieje poznańskie. Wszystkie inne prace ulotne, a więc Brzeżańskiego, Kosińskiego, Garczyńskiego, oraz Guttrego rzecz pod tyt. „Pan Ludwik Mierosławski, jego dzieła i działania” noszą na sobie charakter albo przyczynków albo pamfletów polemicznych, jakie oczywiście wywołać musiał atak tak wojowniczego i błyskotliwego pióra i tak potwornego, melagomanją dotkniętego kabotyńca jak Mierosławski. Jego „Powstanie poznańskie w r. 1848 w kształcie objaśnień do J. Moraczewskiego powieści” uderzyło obuchem w ogół wielkopolski a w szczególności w tych patriotów, którzy wierzyli w jego wielkość i podtrzymywali jego buławę.

Natomiast Niemcom zawdzięczamy kilka cennych książek, odnoszących się do tej karty dziejów naszych. Sam „kat z pod Książa”, generał Brandt, opisał wypadki, których był aktorem, i złożył w trzecim tomie swych

(częściowo na język polski tłumaczonych) pamiętników: *Aus dem Leben des Generals der Infanterie H. von Brandt*.

Nadto w roku bieżącym pojawiło się dzieło, nagrodzone przez akademję nauk w Petersburgu, Hansa Schmid'ta: „Die Polnische Revolution des Jahres 1848 im Grosherzogtum Posen“. Jest to najwięcej wyczerpująca, cały materiał źródłowy ogarniająca, praca, poświęcona powstaniu poznańskiemu, której nasze piśmiennictwo przeciwstawić może dotąd tylko rzecz o wartości publicystycznej d-ra K. Rakowskiego: „Powstanie Poznańskie w r. 1848“.

Podkreślić wszakże należy, że dzieło Schmidta przyjąć trzeba z zastrzeżeniem, gdyż zgoła błędne wszczeplić może poglądy. Autor wychodzi z zbyt ciasnego, ultra-demokratycznego punktu widzenia, w którego ramach niema miejsca na zrozumienie i spokojną ocenę całokształtu społeczeństwa poznańskiego. Daleki od grasującego dzisiaj nawet w dziedzinie wiedzy hakaizmu, z drugiej strony Schmidt skutkiem tejże ciasnoty swego stanowiska politycznego grzęźnie w stronniczości albo wbrew temu stanowisku daje się nagle unieść poczuciu germańskiemu i umieszcza swe sympatje w obozie szowinistów nacjonalistycznych, którzy zerwali zadzierzgnięty węzeł z Polakami pod hasłem braterstwa ludów, aby popchnąć niemczyznę w objęcia żydów i antiliberalnej, krzyżackiej polityki. Jako skrajny demokrat a podbity pięknym frazesem człowiek, wielbi gorąco Mierosławskiego, a jako Niemiec, popada niespodzianie w adorację takiego brawurowego reakcjonisty, i typowego pangermanisty, jak Kolbe von Schreeb.

W ostatnich dziesiątkach zeszłego stulecia pojawiły się dwie prace pamiętnikowe: Henryka Szumana: „Luźne kartki ze wspomnień życia własnego“, zawierające opis berlińskiej rewolucji marcowej i rozwoju parlamentarnego, oraz mało znane „Pamiętniki z lat 1845, 46, 47“ Aleksandra Guttrego.

Guttry wywodził ród swój, zdawna w Polsce osiadły, z pnia szkockiego. Urodzony i wychowany w Poznańskim, był radcą Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Poznaniu, poczem osiadł na roli pałuckiej. Brał on żywy udział w ruchach wolnościowych roku 1848 i 1863 jako predestynowany przez naturę żołnierz, jako typ oficera polskiego.

Gdyby Guttry był skreślił swój pamiętnik wkrótce po wspomnianych latach, rzecz byłaby wypadła inaczej. Pozostawał bowiem wtedy pod wpływem świetnej swady Mierosławskiego, stał przy jego boku jako adjutant słuźbisty, mężny i oddany wodzowi. Dopiero doszedłszy do wieku pełnej dojrzałości przejrzał, wyrobił sobie inny sąd o Mierosławskim i cofnął się od niego tak energicznie, że miasto, jako urodzony żołnierz, dać nam szczegółowy opis bitew pod Miłosławiem i Sokołowem, jaki nie wyszedł z pod polskiego pióra, puścił się w harce polemiczne z autorem „Powstania Poznańskiego w kształcie objaśnień do J. Moraczewskiego powieści (?)“.

Ogranicza się on na obrazie stanu rzeczy do chwili wyjścia polskich więźniów stanu z więzienia berlińskiego, aby w drugim tomie pamiętników przejść do powstania z roku 1863. Nie mniej zawdzięczamy mu wiele. Informuje nas dokładnie o pracach przygotowawczych komitetu poznańskiego, oświetla całe podłoże roku 1846, opisuje pierwsze kroki Mierosławskiego na gruncie poznańskim. On jeden wprowadza nas w mury więzienia berlińskiego, podaje wiele ciekawych szczegółów i rozbiera krytycznie sprawę zeznań Mierosławskiego, podcinających linię obrony towarzyszków i kompromitujących wiele osób w Poznańskim i w Galicji.

Naoczny świadek, wybitny działacz, gorący patriota, uczciwy i skrupulatny referent — oto tytuły zdobiące autora tych wspomnień, jakie niniejszem wcielamy do „Biblioteki Pamiętników“.

Maciej R. Wierzbński.

Warszawa, w grudniu 1912.

W S T Ę P.

Lata 1846, 47, 48, były tak okropne dla Księstwa, a z drugiej strony przyniosły tyle korzyści dla sprawy publicznej, że im choć kilka słów poświęcić należy; tem więcej, że na tę ostatnią okoliczność nie zwrócono dotąd żadnej prawie uwagi. Lata jednakże wspomniane, nie tylko przeważny wpływ wywarły na usposobienie ludu wielkopolskiego, ale nadto położyły węgielny kamień do jego wykształcenia politycznego.

W roku 1846 zarządzone przez komisję śledczą aresztowania członków Związku Narodowego, wtrąciły do więzienia mnóstwo obywateli z wszystkich warstw społecznych, na całej przestrzeni W. Ks. Poznańskiego. Forteca poznańska i wszystkie więzienia powiatowe, przepełnione były aresztowanymi; a cała ludność Wielkopolski i Prus Zachodnich była pod śledztwem sądownym. Powiedzieć można bez przesady, że nie było prawie wioski, ani zakątka, w którychby wysłańcy komisji śledczej nie odbyli rewizji, lub nie pociągali służebnych do indagacji, celem wykrycia i stwierdzenia winy uwięzionych. Smutek i cisza zaległy całą krainę i trwożą napełniły pozostałe rodziny o los braci, mężów, lub synów pod śledztwem zostających.

Ale zacne Polki nasze, niezachwiane na duchu, z poświęceniem uwielbienia godnem, przybrawszy do pomocy patriotyczne duchowieństwo nasze, rozwinęły zadziwiającą czynność na całej przestrzeni Księstwa, aby ratować uwięzionych. Pracowały więc niezmordowanie

nad oświeceniem ludu o celach Związku i poczciwych zamiarach uwięzionych obywateli. Przedstawiano temu ludowi, że świadectwo wymuszone przez władze pruskie, na niekorzyść oskarżonych poda rządowi upragnioną sposobność do ich potępienia, ale korzyści żadnej nie przyniesie ogółowi. Gdy przeciwnie, oszczędzając oskarżonych i zastawiając się w zeznaniach przed sądem zupełną nieznanomością przygotowań do wybuchu i zamiarów, o które panowie oskarżeni zostali, nie szkodząc nikomu, dopomoże im do wydobycia się z za krat więziennych.

Gdzie przedstawienia podobne nie pomogły, tam ksiądz uspakajając zakłopotane sumienie świadka, przekonał go ostatecznie, że nie godzi się składać potępiających zeznań na korzyść nieprzyjaciół kraju, a na zgubę ziomków własnych.

Była to na wysoką skalę propaganda, a w następstwach swoich najskuteczniejsza dla sprawy narodowej, jak to rok 1848 pokazał.

Lud, przed rokiem 1846 bałamucony i podburzany przez urzędników pruskich przeciw dziadziom, że ci chcieliby koniecznie przywrócić dawną Polskę, aby w niej zaprowadzić dawne poddaństwo i odebrać włościom ziemię, którą im król darował, był co najmniej, w większej części, obojętnym dla sprawy narodowej. Panom nie ufał na każdym kroku, bo ich posądzał o złe względem siebie zamiary.

Dopiero owa propaganda naszych kobiet, z pomocą duchowieństwa, po uwięzieniu związkowych wytrwale prowadzona, oświecała powoli obałamucony lud o postępowaniu rządu wobec nas, Polaków, o zamiarach uwięzionych obywateli, że oni właśnie chcieli podnieść ten lud do godności obywatelskiej i oswobodzić Ojczyznę z pod obcego jarzma. To też dopiero teraz lud, widząc, że dziadzi, księżmi i chłopami zapełnione więzienia pruskie, zaczął po swojemu rozumować, że to nie musi być prawdą, o czem mu urzędnicy pruscy rozpowiadali,

boby w takim razie chłopi z księżmi i panami nie trzymali.

Przy schyłku następnego, 1847-go roku, krwawe wyroki sądu kameralnego w Berlinie, znaczną liczbę oskarżonych skazujące na śmierć lub długoletnie więzienie, jakkolwiek skazańcy przyjęli je ze spokojem i godnością, rozniosły wśród licznych rodzin Księstwa smutek i obawę o los skazańców, ale zarazem i słuszne oburzenie przeciw sądom.

Nikt nie umiał zrozumieć, jak można było na śmierć skazywać ludzi, którzy nie myśleli wojny wypowiedać Prusom, ale co najwięcej chcieli pruską bronią się uzbroić i wszystkie, wydobyte z Księstwa i Galicji siły, zwrócić przeciw wrogowi.

Aleć to nie pierwszy raz rząd pruski w podobny sposób objawiał niechęć swoją przeciw Polakom z Księstwa. Pamiętano rok 1831, w którym za przejście do Królestwa obarczano karami więziennemi i pieniężnemi obywateli wielkopolskich. Ostatnie dochodziły, oprócz kosztów sądowych, do 20 i 30 tysięcy talarów, na pojedynczych, zamożniejszych obywateli. Trudno więc było spodziewać się czegoś lepszego i w obecnym przypadku.

Tak przeminęła zima z r. 1847 na 48 wśród smutku i powszechnej a słusznej obawy o los skazanych, którzy tymczasem apelowali od wyroków pierwszej instancji do drugiego senatu tegoż sądu kameralnego, przeznaczanego na sądenie spraw o zbrodnię stanu.

Ale z nadchodzącą wiosną r. 1848-go zerwana na Zachodzie burza rewolucyjna przeszła jak huragan przez Europę całą i wstrząsnęła aż do posad tronami z Bożej łaski. Nikt jednak nie spodziewał się, aby owa spokojna stolica Prus, ten ultra lojalny Berlin, miał odwagę zdobyć się na coś podobnego. Nie podejrzrywano nawet, aby w łonie swoim posiadał materiał do rewolucji. Wybuchła ona jednak mimo to niespodzianie a gwałtownie, jak piorun z pogodnego nieba i po 36 godzi-

nach krwawej na ulicach walki, stała się panem boju i stolicy.

Lud berliński uwolnionych tymczasem za wyrokiem królewskim więźniów naszych wprowadził w tryumfie do miasta.

Powróceni na łono rodzin po dwuletniej niewoli skazańcy nasi przywieźli z Berlina bardzo radosne wiadomości, że wojna Prus z Rosją postanowioną została w łonie nowo wybranego gabinetu; że reorganizacja Księstwa, a z nią formacja wojska narodowego, mają nastąpić niebawem; że wszędzie tworzą gwardje narodowe. Jakoż rzeczywiście i w Poznaniu sformowała się natychmiast taka gwardja, a niebawem utworzył się Komitet narodowy do pilnowania interesów polskich. Z jego polecenia zaczęto po wsiach i miastach tworzyć takie same gwardje na całej przestrzeni Księstwa. Władze zaś wojskowe i cywilne, czy wskutek wyższego rozkazu, czy dla braku wszelkich w tej mierze rozporządzeń, zachowywały się całkiem biernie.

Każdy był przekonanym, że wreszcie wybiła godzina odrodzenia Polski, bo wojna, wedle planu ówczesnego ministra Arnima, w tym właśnie celu miała być rozpoczęta.

Lud nasz wziął się ochoczo do obsadzania kos, ludzie dworscy i mieszcianie przyspasabiali broń palną; po dworach przygotowywano konie i kulbaki i wszystko co żyło pragnęło pójść w przedniej straży na tę wojnę.

Ta radość i nadzieja niedługo miały gościć wśród ludności wielkopolskiej. Reakcja wzięwszy górę w otoczeniu bezradnego króla, spowodowała go do opuszczenia Berlina i w Poczdamie utworzyła przy jego osobie radę przyboczną, rodzaj odrębnego ministerjum, które tajemnymi rozporządzeniami krzyżowało i znosiło rozkazy ministrów w Berlinie rezydujących.

Przysłany przez ministerjum berlińskie generał Willisen od zreorganizowania Księstwa, nie zrobić nie zdołał wskutek oporu władz wojskowych i cywilnych na

miejscu, bo tajemne rozporządzenia rady poczdamskiej przesyłały wprost przeciwne tamtym rozporządzenia.

Wskutek tych ostatnich, generał komenderujący w Poznaniu ogłosił stan oblężenia, nakazał koncentrację wojska i rozesłanie kolumn ruchomych na rozbrojenie Księstwa. Dowiedziawszy się o tych rozporządzeniach naczelnej komendy, Komitet wojskowy, utworzony przy Komitecie narodowym rozesłał rozkazy, aby kosyniery, strzelcy i konnica ściągały się niebawem na wyznaczone punkta, aby nie zaczepiały Prusaków, ale zaatakowane, albo, aby stawiły czoło, albo w razie przemagającej siły, każdy zaatakowany obóz miał się cofnąć do najbliższego oddziału i tak dalej, dopóki liczbą nie wyrównał pruskiemu oddziałowi.

Tak widoki przyszłej wojny o wyswobodzenie Polski zamieniły się w pewność krwawego starcia z Prusami. Jakoż po niedługim czasie oddziały nasze pod Książem, Miłosławiem, Nowem Miastem i Pleszewem zebrane, a przez komisarza królewskiego, generała Willisena uznane za jądro utworzyć się mającego wojska polskiego w Księstwie, jedno po drugich zaatakowane zostały przez Prusaków. Białokórski, zaczepiony przez oddział pruski pod Raszkowem, odparł Prusaków i forsownym marszem przybył pod Miłosław w czasie rozpoczętej bitwy. Podpułkownik Dąbrowski, oficer z roku 1831-go, zaatakowany w Książu, po kilkogodzinnej walce został śmiertelnie ranny, a oddział jego, straciwszy blisko połowę ludzi, po mężnej obronie, otoczony ze wszystkich stron przez przemagające siły, musiał się w końcu poddać.

Następnie Mierosławski, zaatakowany pod Miłosławiem, ściągnawszy oddział Garczyńskiego z pod Nowego Miasta, wsparty oddziałem Białokórskiego, pobił Prusaków na głowę i udawszy się trzeciego dnia po bitwie pod Miłosławiem, do Wrześni, zbił Prusaków pod wsią Sokołowem i zmusił do cofnięcia się aż do Gniezna.

Ale na tych dwóch zwycięstwach zakończyć się mu-



siała krótka nasza kampanja z Prusakami. Oddział straciwszy w dwóch krwawych bitwach dużo ludzi i najlepszych oficerów w zabitych i rannych, nie miał już sił dostatecznych na trzecie spotkanie. A zresztą nie można było rościć pretensji, aby ta garstka zwyciężyć mogła potęgę Prus całych. Honor narodowy uratowanym został, dalszy rozlew krwi byłby nieludzkością, szaleństwem, i tylko mógłby zaszkodzić sprawie naszej. Odpartszy Prusaków po dwakroć, nie należało się narażać na pewną przegraną z uszczuplonym oddziałem wobec połączonych sił pruskich, sześć razy silniejszych od nas. Przegrana z naszej strony byłaby zatarła wpływ i urok dwóch zwycięstw naszych i podziałała demoralizująco na ludność wielkopolską.

Należało więc uniknąć spotkania nowego z nieprzyjacielem, a z drugiej strony nie dopuścić, aby Prusacy zabrali szczupły nasz oddział żywcem do niewoli i tym tryumfem przechwalić się mogli przed światem. Jedy-
nym przeto środkiem do uniknięcia tych dwóch niebezpieczeństw było rozpuszczenie oddziału i zalecenie ludziom, aby manowcami rozeszli się do domów.

Tak się też stało z wielkiem dla Prusaków niezadowolaniem.

Po rozejściu się oddziału, mieszkańcy polskiego pochodzenia doznali srogiego prześladowania nie tylko ze strony wojska pruskiego, ale szczególnie od niesfornych band niemieckich, sformowanych przez niejakiego Littichau, Niemca, przybłądę z Kongresówki, który napadał domy obywatelskie i dopuszczał się niesłychanych gwałtów nad bezbronnymi. Waleczny ten rycerz, nie miał ochoty stanąć do boju, dopóki Polacy byli pod bronią. Dopiero, kiedy nasi rozeszli się do domów, on wystąpił z niezrównaną odwagą przeciw bezbronnym starcom i kobietom, a jego waleczne hufce, zagrzane męstwem wodza, rabowały opuszczone domy obywatelskie, znęcały się nad ludem, poniewierając i bijąc bez miłosierdzia każdego, kto nie zdążył schronić się przed tym iście

tatarskim napadem. A rząd pruski co na to? Rząd dał mundury i uzbrojenie tym hufcom, a wojsko patrzyło przez szpary na tę swawolę rozbewstwionych kolonistów niemieckich, podczas gdy pisma niemieckie nie wstydyły się nazwać tych rabunków i rozbojów popełnionych bezkarnie w dzień biały „młodzieńczymi objawami odradzającej się wolności niemieckiej”.

Okropne to były czasy dla Księstwa; na ich wspomnienie krew się dzisiaj jeszcze burzy w człowieku i jedno tylko budzi się uczucie oburzenia przeciw nieludzkim gwałtom.

Ale jakkolwiek Księstwo przebyć musiało srogie prześladowanie ze strony najezdniczej hordy i znęcanie się rozpasanej na wszystkie bezprawia ludności miejscowej, jakkolwiek pojedyncze rodziny zachwiały się majątkowo, to jednakże wszystkie te cierpienia i klęski nie mogą iść w porównanie z korzyściami, jakie sprawa narodowa odniosła.

Wspomniałem wyżej, iż lud wielkopolski, przed rokiem 1846 był co najmniej obojętnym dla sprawy ojczyściej, a dziedzicom nie ufał, bo urzędnicy pruscy, usiłując z rozkazu wyższego utrzymać rozdwojenie w klasach społecznych, podburzali go przeciw dawniejszym panom, od czasu rozpoczętej regulacji włościańskiej. Związkowi zatem mogli tylko bardzo ostrożną rozpocząć propagandę, która zyskiwała liczne jednostki dla sprawy powstania, ale mas całych ogarnąć nie była w stanie.

Po aresztowaniu związkowych w r. 1846, ustanowiona przez rząd komisja śledcza, opatrzona nieograniczonymi prawie atrybucjami, zbierać dopiero musiała dowody przeciw pojedynczym uwięzionym osobom, bo związek, albo został zdradzonym, albo władze ówczesowe na oślep zarządziły aresztowania en masse bez materialnych dowodów.

Bądź jak bądź, wspomniana komisja zarządziła śledztwo pomiędzy ludem i dworskimi na całym obsza-

rze Księstwa i znacznej części Prus Zachodnich w nadziei, że na tej drodze zdołają naszych więźniów obarczyć winą zbrodni stanu, wobec sądów pruskich. Nie szczędzono gróźb, a nawet ponieważ przy badaniu świadków, aby z nich wydobyć koniecznie takie zeznania, któreby zaprowadziły obwinionych na rusztowanie.

Taka namiętna z pogwałceniem wszelkich przepisów prawa połączona działalność władz przy badaniu świadków; taka zaciekła nienawiść mniemanych owych stróżów porządku i sprawiedliwości, jaką rozwijali na każdym kroku, musiała w koniecznym następstwie wywołać całą energię i poświęcenie naszych Polek, ku ratowaniu oskarżonych.

Tą zaś drogą Polki nasze, nie wiedząc może nawet o tem, że szerzyły najskuteczniejszą propagandę pomiędzy ludem, propagandę zwracającą go na drogę uczuć narodowych. Rząd wprost przeciwny zamierzonemu osiągnął skutek, bo lud przejrzał nareszcie, dokąd zmierzwały jego usiłowania i zrozumiał, że ostatecznie ich celem było potępienie uwięzionych patriotów, których całą winą, główną zbrodnią, była miłość Ojczyzny i chęć odzyskania bytu niepodległego.

Pomimo więc wszelkich wysiłen i gwałtów, pomimo gróźb i ponieważ świadków, śledztwo na tak obszernej skale przeprowadzone, albo nic nieznaczące drobnostki, albo wcale nic wykryć nie zdołało w kraju.

Natomiast lud zaczął myśleć i rozumować nad tem wszystkim co widzał, co słyszał, czego niejednokrotnie sam doświadczyć musiał w ówczesnych okolicznościach—i ostatecznie stanął po stronie obwinionych. Srogie wyroki zapadłe przeciw nim przy końcu r. 1847, obudziły powszechne oburzenie i współczucie dla obwinionych, pośród ludności Księstwa, a każdy co był pod śledztwem, czuł się podniesionym na duchu, że nie skompromitował żadnego z obwinionych, że dopełnił sumienie obowiązku Polaka i z radością opowiadał innym i doznane przygody i stałość swoją podczas badań są-

dowych. Byli to, może bezwiednie nawet prawdziwi apostołowie idei narodowej, pomiędzy ludnością polską, — a nienawiść Prusaków przeciw wszystkiemu co polskie, wywołała przeciw niemu nienawiść w ludzie wielkopolskim.

Oto są główne przyczyny, skutkiem których rok 1848 znalazł taką gotowość ludu w Księstwie dla sprawy narodowej, taką ochoczość do boju z nieprzyjacielem.

Niech więc nikt nie lekceważy wypadków z owej pamiętnej w dziejach naszych epoki. Lata 1846 i 47 jako iskra elektryczna, brzemenna miłością Ojczyzny, podziały przeważnie na usposobienie ludu wielkopolskiego, w roku zaś 48 odebrał on prawdziwy choć krwawy chrzest obywatelstwa...



CZĘŚĆ I.

(Po roku 1831.—Działalność stronnictw arystokratycznego i demokratycznego.—Stosunek komitetów do centralizacji wersalskiej. — Zawiązek sprzysiężenia w Poznańskim. — Stan rzeczy w Kongresówce.—Henryk Kamiński, Karpiński, Węgierski. — Wycieczka Guttrego w Lubelskie. — Rozwój idei demokratycznych w Wielkopolsce.—Rozprawy Libelta.—Powtórna wycieczka Guttrego w Lubelskie.—Działalność Kamińskiego. — Paskiewicz i Krasiński na wyścigach.—Agitacja Stefańskiego. — Plan oblężenia cytadeli poznańskiej.—Plan Malczewskiego. — Aresztowania rzemieślników.—Falszywy alarm.—Nowy komitet.—Uwięzienie Stefańskiego. — Kłopoty komitetu z Przyborowskim.—Pastor Kasiusz.—Przybycie Mierosławskiego.—Plany rewolucyjne.—Wyjazd Mierosławskiego do Krakowa.—Intryga Esmana. — Odprawa Gorzkowskiego. — Wiehryciele.—Bezpośrednia komisja śledcza.—Aresztowanie Mierosławskiego i Guttrego).

Zanim przystąpię do skreślenia wypadków, jakie zaszły w kraju przed rokiem 1846-tym, wspomnieć muszę o stronnictwach, jakie się wytworzyły na emigracji po r. 1831-ym. Wywierały one bowiem przez lat kilkanaście potężny wpływ na kraj i znakomite oddały przysługi sprawie narodowej przez gruntowne rozjaśnienie najżywoźniejszych kwestji politycznych i społecznych za granicą, które inaczej może dopiero kosztem krwi bratniej na ziemi ojczyściej przeprowadzićby się były dały.

Jedno z owych stronnictw emigracyjnych, znane pod nazwiskiem Towarzystwa demokratycznego polskiego, założyło w kraju rozległe sprzysiężenie wyswobo-

dzenie Polski na celu mające, którego prace i koleje opisać właśnie zamierzam.

Po wypadku powstania naszego po roku 1831-ym, rząd, sejm, wojsko, znaczna część inteligencji krajowej—zgoła wszystko, co się nie czuło bezpiecznem przed zemstą Rosji, opuściło kraj i po większej części udało się do Francji. Tam po kilku nieudanych próbach wytworzenia za granicą reprezentacji narodowej, jak za pomocą zwołanego na obczyźnie sejmu, Komitetu reprezentacyjnego i t. p. członkowie byłego rządu, sejmu i część starszyny wojskowej zawiązali się w stronnictwo pod zwierzchnictwem księcia Adama Czartoryskiego i postanowili sami wyłącznie być przedstawicielami całego narodu polskiego, a zarazem obrońcą jego praw politycznych wobec gabinetów europejskich.

Punktem jednakże wychodnim stronnictwa tego, arystokratycznym nazwanego, były traktaty wiedeńskie z roku 1815-go, a więc żądanie przywrócenia Polski Kongresowej w granicach owymi traktatami zakreślonych. Całą zaś nadzieję polityki swojej opierano na przypuszczeniu, że gabinety, które wpływały na te postanowienia kongresu rzeczzonego, będą upominały się o zachowanie traktatów, które same były podpisały, a tem samem o przywrócenie Królestwa Polskiego przez Europę na Kongresie wiedeńskim ustanowionego.

Polityka zatem stronnictwa konserwatywnego zamykała się w dwóch punktach: Traktaty wiedeńskie i pomoc gabinetów europejskich na kongresie reprezentowanych do przywrócenia Polski w granicach owymi traktatami objętych, wraz z przywilejami i instytucjami, jakie Polska po roku 1815-tym posiadała.

Stosownie też do tej przez siebie przyjętej polityki stronnictwo arystokratyczne rozpoczęło działanie swoje od wniesienia w imieniu całego narodu polskiego mocy („motion“) w parlamencie angielskim o przywrócenie Polski z r. 1815-go, a więc o przywrócenie tylko Polski Kongresowej, z pominięciem Litwy i Rusi, pomimo,

że one przyłączyły się do powstania w r. 1831-ym, że wojska polskie wkroczyły były w czasie powstania do tych dzielnic dawnej Polski, celem ich wywalczenia, i że nawet posłowie z tych dzielnic zasiadali w sejmie warszawskim. Polityka zatem stronnictwa arystokratycznego stawała w rażącej sprzeczności z wolą narodu i z czynami dokonanymi.

Wszystko to oburzało w emigracji umysły ludzi młodszych wiekiem, ale wykształconych, pełnych zapału i pojmujących na szerszych podstawach politykę narodową. Przeciwnie wszelkim robotom dyplomatycznym, które nie tylko dawniej, ale i w czasie powstania w roku 1831-ym tyle szkody Polsce przyniosły, uważali program polityczny stronnictwa arystokratycznego za zbyt ciasny, a nawet za szkodliwy sprawie narodowej, wystąpienie zaś tego stronnictwa, jako jedynie uprawnionego reprezentanta praw i potrzeb narodu polskiego,—za przywłaszczenie sobie monopolu na rozum polityczny,—i zawiązali się w odrębne stronnictwo polityczne pod nazwą Towarzystwa demokratycznego w dniu 17-go marca 1832 roku.

Pierwszą czynnością stronnictwa tego był protest wydany dnia 3 maja 1832 r. do ludów Europy, ogłaszający, że wszystkie rozbiory od r. 1772 na Polsce nie mogą przesądzać przyrodzonych praw narodu polskiego w granicach, jakie przed pierwszym rozbiorem był posiadał. Z tej przyczyny uważano i postanowienia na kongresie wiedeńskim zapadłe za nowy tylko rozbiór Polski, na którym niewolno opierać polityki narodowej...

Opierając się na tym zasadniczym punkcie polityki narodowej, stronnictwo demokratyczne postarało się również o wniesienie w parlamencie angielskim „mocji“ dopominającej się przywrócenia Polski w granicach, jakie przed r. 1772 posiadała.

„Mocja“ ta była nie tylko nowym protestem przeciw wszystkim rozbiорom Polski i przeciw polityce stron-

nictwa arystokratycznego, ale miała jeszcze na celu wypowiedzenie wobec Europy do czego Polska ma prawo.

Zasadnicze różnice polityki obydwu stronnictw były, jak widzimy, bardzo wielkie, a spotęgowały się jeszcze silniej i w końcu zamieniły się w głęboką nienawiść, gdy przyszło do omawiania zasad polityczno-społecznych, które demokraci uważali za niezbędny warunek pomyślności przyszłego powstania.

Doświadczenie, mówili, nauczyło, że wszystkie powstania narodowe albo nie miały czasu, albo jak w roku 1831-ym ochoty do przeprowadzenia koniecznej reformy społecznej w narodzie i nie zainteresowawszy mas ludowych do walki z najazdem, były za słabe w wojnach o niepodległość Ojczyzny przedsięwziętych. Uwłaszczenie zatem chłopów i rozszerzenie praw obywatelskich na cały naród były wedle ich rozumowania nie tylko koniecznością, poczuciem sprawiedliwości nakazaną, ale nadto środkiem do wywołania wszystkich sił w narodzie, potrzebnych do odzyskania własnej niepodległości.

Wprowadzenie zaś tych reform społecznych w życie równocześnie z wybuchem powstania, dawałoby ludowi polskiemu rękojmię, że to, co mu już tylokrotnie obiecywano stanie się rzeczywistością. Wtedy też można wymagać od ludu dopełnienia obowiązków do godności obywatelskiej przywiązanych, skoro mu ją rząd powstańczy w całości przywróci.

Ten program reform polityczno-społecznych przez Towarzystwo demokratyczne stawiany i ufność we własne siły narodu obalały tem samem wiarę w obcą pomoc, jako spuściznę niefortunnej polityki zeszłego stulecia. Rzecz jasna, że ludziom wychowanym w uprzedzeniach i zarozumiałości panującego w Polsce stanu nieznośnemi być musiały teorie przez stronnictwa demokratyczne szerzone, i wywołały ogromne oburzenie nie tylko w stronnictwie arystokratycznym na obczyźnie, ale i wśród przeważnej części szlachty krajowej.

W tej walce o zasady roznamiętniać się musiały co-

raz silniej umysły obydwuch stronnictw, aż w końcu zmieniły się w dwa wrogie sobie obozy, przyczem nie szczędziły sobie wzajemnych zarzutów, które nieraz przekraczały granice nie tylko słuszności, ale i prawdopodobieństwa nawet.

Demokraci oskarżali Sejm z r. 1831 o nieudolność i zaślepienie, że wołał się zajmować mniej potrzebnymi, a w dodatku bezskutecznymi sporami, zamiast wyżyć całą usilność swoją na wywołanie potrzebnych sił z łona narodu, dla zapewnienia mu zwycięstwa; zarzucono dalej, że stronnictwo arystokratyczne, posiadając przewagę w sejmie, dokładało wszelkich starań, aby wniosek rządowy o uwłaszczenie i usamowolnienie chłopów zrzucić z porządku obrad sejmowych i pogrzebać w zapomnieniu, przez co zniechęcono przeważną część ludu i pozbawiono ich samochęć współdziałania mas w walce z nieprzyjacielem.

Wreszcie oskarżano naczelników wojskowych o nieudolność w prowadzeniu wojny narodowej, że nie umieli lub wcale nie chcieli uchwycić po tyle razy następującej się sposobności pobicia odosobnionych korpusów armii nieprzyjacielskiej, rozproszonych często na przestrzeni kilkudziesięciu mil kwadratowych, ani wyzyskać nawet odniesionego nad nieprzyjacielem zwycięstwa, a w końcu i wyprowadzeniem oddziałami bohaterskiej armii naszej za granicę w liczbie dwa razy większej od tej, z którą rozpoczęto wojnę, śmiertelny cios zadali powstaniu narodowemu.

Trudno nie przyznać, że wszystkie te błędy złożyły się fatalnie na zaprzepaszczenie sprawy narodowej...

Ale jakkolwiek sobkostwo szlachty w sejmie, oglądanie się na obcą pomoc w sferach rządzących, z zaniedbaniem użycia wszelkich możliwych środków we właściwym czasie do pomnożenia siły zbrojnej, powstającego narodu, niechęć i niezdatność znacznej części starszyzny wojskowej, pozostałej z czasów konstantynowskich, a przeciwniej od samego początku sprawie powsta-

nia, wyrządziły tyle szkody nieszczęśliwemu narodowi naszemu—to przecież ani szlachty, ani arystokracji naszej nie można było posądzać o zdrałę kraju.

Wszakże ta szlachta, ta arystokracja porzuciły milionowe fortuny w kraju, a jednakże wołały nieraz znosić niedostatek na obczyźnie, niż przyjąć amnestję.

Ale i arystokracja nie pozostała w tyle w tej namiętnej walce z demokratami i w niedostatku opartych na prawdzie argumentów uciekała się do wymyślonych, a nawet do niegodnej potwarzy.

Twierdziła ona przedewszystkiem, że zamierzona cała przez Towarzystwo demokratyczne reforma polityczno-społeczna jest więcej jak zbytęcną, bo postanowienia Konstytucji 3 maja wystarczają najzupełniej pod tym względem; że zatem wszystko co wychodzi poza granice reform tą obowiązującą ustawą zakreślonych, jest nietylko grabieżą obcej własności na zniszczenie szlachty wymierzoną, ale nadto rzeczywistem podburzaniem chłopów przeciw dziedzicom — że jest poprostu robotą szpiegów i agentów obcych¹⁾.

Znaną jest rzeczą, że gdy nienawiść i namiętność zaciemnią rozum i sumienie, stronnictwa nie znają miary w zaciekłości swojej. Najjawniejsza niesprawiedliwość, niegodne potwarze, jednym słowem wszystko, co posłużyć może do powalenia przeciwników w opinji publicznej, uważają za dozwolone. Wśród takiego rozdrażnienia zajętych głównie walką stronnicyą umysłów—często dobro i pomyślność uciśnionego narodu pozostają zaledwo na drugim planie.

Tak się też niejednokrotnie zdarzało i w emigracji z roku 1831.

Pomimo wszakże tych pożałowania godnych wybuchów wzajemnej nienawiści, jaką przeciw sobie pałały stronnictwa na obczyźnie, emigracja, powtarzam raz

¹⁾ Zob. pismo Kronika z 1834 roku, wydawane za staraniem stronnictwa arystokratycznego.

jeszcze, znakomite oddała usługi krajowi przez rozjaśnienie najżywotniejszych kwestji w łonie swoim, bo te inaczej byłyby może krwią bratnią zbroczyły ziemię ojczyzną. Nie należy bowiem zapominać, że reformę polityczno-społeczną, w tak obszernym zakresie jak ją Towarzystwo demokratyczne było postawiło, zaledwie szczupła liczba najinteligentniejszych i najpatriotyczniejszych ludzi w kraju pojmowała.

Kraj zatem, mając z obydwuch stron pewne dane, mógł wybierać pomiędzy polityką stronnictwa arystokratycznego, ograniczającego się do przywrócenia Polski z r. 1815 za pośrednictwem obcej pomocy i bez dalszych reform społeczno-politycznych, lub między zasadami przez Towarzystwo demokratyczne opracowanymi i przyjętymi za podstawę polityki narodowej i prac w kraju rozpocząć się mających.

Tu znowu stronnictwo arystokratyczne miało bardzo ułatwione pole działania, bo oprócz składek, na które obywatele krajowi dobrowolnie się opodatkowali, wymagało od ich jedynie bierności wyczekującej skutków rokowania dyplomatycznego, na którym arystokracja wszystkie nadzieje swoje opierała.

Nie potrzeba dowodzić, że tak skromne żądania, nie narażając nikogo na surowość rządów, więcej przypadły do przekonania obywatelstwa krajowego, niż wymagania demokracji, która żądała wytrwałej i mozolnej pracy i znacznych ofiar, nietylko z krwi i mienia, ale i najtrudniejszej może ofiary, bo zrzeczenia się przywilejów i przesądów średniowiecznych na korzyść ludu, uwłaszczenia i uobywatelnienia całej masy ludowej i przywrócenia całej Polski w granicach przed r. 1772, posiadanych za pomocą własnych sił narodu.

Wszystko to było wówczas nowością mało lub wcale niezrozumiałą dla ludzi zrosłych z tradycyjnymi pojęciami zeszyłych stuleci.

Wśród stanu umysłów nieprzygotowanych do przyjęcia zasad przez Towarzystwo demokratyczne oprac-

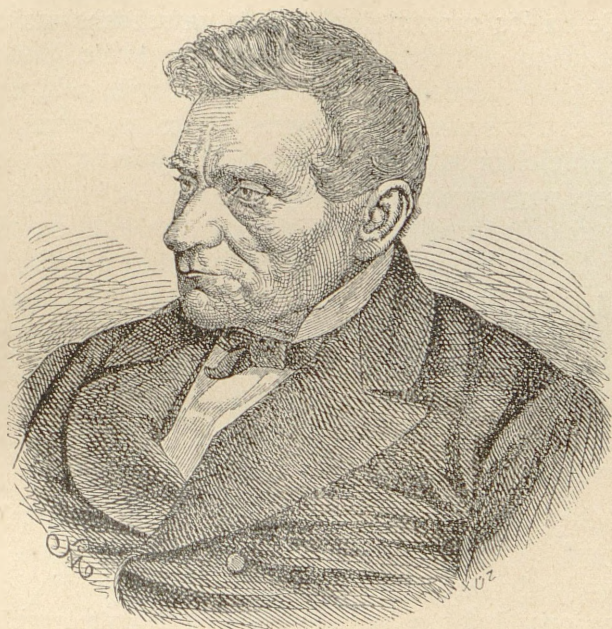
cowanych, przeniesienie ich do kraju nie było rzeczą łatwą, tem więcej, że z początku pisma wydawane przez arystokrację łatwiej nierównie dostawały się do kraju, niż demokratyczne, za pomocą własnego opodatkowania członków Towarzystwa drukowane, dla ułatwienia dróg przesyłkom własnych wydawnictw do kraju, oraz dla założenia Komitetów demokratycznych, któreby z władzą Towarzystwa demokratycznego na emigracji znosić się mogły. Centralizacja wysłała Ołędzkiego na Litwę, Mazurkiewicza Wincentego do Warszawy, a Walerjana Breańskiego do Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

Działo się to między rokiem 1838 a 40-ym. Pierwszy dotarł do Wilna, zawiązał stosunki z patriotami na Litwie, w czem mu dopomagał dr. Piotrowski, lekarz na pograniczu Litwy zamieszkały i mający liczne stosunki tam i w Królestwie Kongresowem. Ołędzki wrócił w parę miesięcy do Francji, a niedługo potem śmierć zaskoczyła zacnego Piotrowskiego i pozbawiła Litwę światłego, czynnego i do poświęceń dla przyszłości kraju gotowego patrioty.

Mazurkiewicz wywiązał się również z zadania swojego w Warszawie; założył tam związek narodowy, który za pośrednictwem Komitetu poznańskiego znosił się z Centralizacją.

Walerjan Breański, urodzony w Księstwie Poznańskim, gdzie miał krewnych i znajomych z roku 1831—założył pierwszy związek sprzysiężenia do Komitetu na W. Ks. Poznańskie i Prusy Zachodnie; należeli do niego z początku, o ile mi wiadomo: Karol Libelt, Napoleon Kamiński, księgarz, Kajetan Buchowski i po części Adolf Malczewski, którego polecił był Breański. Jednakże trzej członkowie Komitetu wyżej wymienieni, nie we wszystkich zachodzących kwestjach zносили się z Adolfem Malczewskim, bo chociaż ten był gorącym patriotą, obawiano się jednakże jego gadatliwości, której się nie umiał wyrzec, chociaż to było nakazane każdemu członkowi sprzysiężenia.

Zasady demokratyczne szerzono tymczasem w Księstwie nietylko słowem, ale i piórem. Założony „Dziennik Literacki“, niezaprzeczenie należał do najlepszych pism owego czasu, później Karol Libelt reda-



Karol Libelt,

ur. 1807 r., zm. 1875.

Znakomity filozof i publicysta, więzień stanu pruski w latach 1846—1848.

(Według drzeworytu współczesnego).

gował pismo „Rok“ i to zamieszczało świetne artykuły, wychodzące z pod pióra samego redaktora. Przyjmowanie jednak do związku nowych członków odbywało się z wielką ostrożnością. Uważano przedewszystkiem na charakter, patriotyzm i zdolności tego, którego miano przyjąć do związku. I rzeczywiście od ludzi, którzy mieli szerzyć zasady demokratyczne i stawać w ich obronie, wymagać musiano wytrwałości, przekonaiń wyrobionych

o potrzebie przeprowadzenia reform polityczno-społecznych w kraju i znajomości historii narodu, oraz przyczyn, które ubezwładniały dawniejsze powstania nasze.

Jedno, co wedle mojego zdania wpłynąć musiało ujemnie na los sprzysiężenia, było zawczesne wskazanie ostatecznego celu rozpoczętych prac w kraju. Skoro bowiem z góry wiedziano, że wszystko co się robi w kraju jest przygotowaniem do zamierzonego wybuchu, który ma być dziełem samego właśnie sprzysiężenia, to umysły gorętsze, porywcze, niecierpliwe, zamiast wytrwać w długiej a mozolnej pracy, która się powinna była ograniczać do szerzenia zasad demokratycznych, wolały dążyć wprost od ostatecznego wyniku całego założenia: do przyśpieszenia wybuchu powstania. Stąd powstały sprzysiężenia osobne w łonie związku naczelnego, działanie pojedynczych osób na własną rękę i popychanie władzy naczelnej na drogę, na której nie było innego wyjścia, jak przyśpieszenie wybuchu.

Każdy przyzna zapewne, że gdyby związek był przetrwał do roku 1848, to rzeczy inaczej zupełnie byłyby wypadły dla sprawy polskiej. Centralizacja i związek krajowy były w porozumieniu z Komitetami rewolucyjnymi całej niemal Europy, równoczesne wystąpienie do boju z naszej strony i przerzucenie mas uzbrojonych z Prus i Galicji do Królestwa Kongresowego w chwili, kiedy oba te państwa zatrudnione u siebie rewolucjami, nie były mogły przeszkodzić ruchowi polskiemu, byłyby zastały Rosję nieprzygotowaną, co wszystko byłoby powstaniu naszemu ułatwiło swobodne pole działania.

Ale już w roku 1841 objawiła się dążność do odrębnego działania, już to wskutek powziętego niezaufania do Centralizacji, którą pomawiano o nieściśle przestrzeganie tajemnicy względem osób w kraju działających, już znowu z powodu przywłaszczonej sobie przez tęż Centralizację władzy do rządzenia krajem z obczyzny,

gdzie niezawsze mogła mieć dokładną wiadomość o stosunkach krajowych.

Opozycja ta wytworzyła się głównie w Kongresówce, a ludzie na jej czele stojący utrzymywali, że centralizowanie całego związku w jedno ciało pod zarządem jednej władzy jest niebezpiecznem wobec czułości władz rządowych, którym łatwo wykryć osoby należące do władzy związkowej, a wreszcie po wychwytaniu ich, rząd rozprzeże całe sprzysiężenie. Kiedy tymczasem pokrycie całego kraju siecią rozmaitych niezależnych od siebie spisków o tyle jest bezpieczniejszem, że wykrycie jednych z takich spisków nie powstrzymuje drugiego w działaniu i nie naraża kraju na przymusową i długą bezczynność.

Smutne doświadczenie wkrótce przekonać miało o niepraktyczności i szkodliwości w skutkach swoich zwolenników tej metody spiskowania; szerzenie zaś jej w innych zaborach przyczyniało się niepomału do rozluźnienia posłuszeństwa związkowego, do rozbudzania w jednostkach chęci działania na własną rękę.

Około tego czasu przybył do Poznania obywatel z Lubelskiego, Henryk Kamieński, syn jenerała, który poległ pod Ostrołką w roku 1831 i pozyskał dla teorii swojej, o której wyżej wspomniałem, Władysława Kosińskiego, o którym później będzie mowa. W czasie bytności mojej w Poznaniu Kamieński nie zawierał z nikim prawie znajomości, ograniczał się głównie na przedstawianiu z Kosińskim, który długo jeszcze potem zostawał z nim w ścisłych stosunkach, a trzymał się zdaleka od związku centralnego.

Być może, iż od owego czasu wyrobiły się w Kosińskim duch odrębności i chęć odosobnionego działania, który się później w nim tak silnie rozwinął. Z drugiej znów strony nie trudno było domyślić się, że przybycie Kamieńskiego w Poznańskie miało na celu przeniesienie teorii spiskowych tego odłamu patriotów w Kongresówce działających, do których i on należał.

Żył podówczas w Lublinie powszechnie szanowany mecenas Karpiński, patriota pełen poświęcenia, zdolny, śmiały, energiczny i niezłomnego hartu duszy człowiek. Ten rozpoczął na swoją rękę i rozszerzył w Lubelskiem pomiędzy obywatelstwem przygotowanie wprost do wybuchu powstania zmierzające, z pominięciem wszelkich teorii społecznych i spiskowych. U niego to tylko miało wartość pierwszorzędną, co prowadziło wprost do czynu, a ludzie gotowi choćby jutro wystąpić do walki byli jego współpracownikami.

Zdaje się, że Karpiński musiał i w Lublinie i w innych miejscowościach urządzić podobne jak w Łęcznej napady na załogi wojskowe, zanim się udał w tym samym celu do Warszawy, trudno bowiem przypuścić, aby się miał i mógł ograniczyć na samej Łęcznej, i że po ukończeniu prac swoich w Warszawie, chciał zapewne i w innych województwach podobną zarządzić organizację, gdyby miał potrzebny czas ku temu.

W Warszawie znalazł dużo materiału gotowego do wykonania zamiarów swoich, ale przytem co było rzeczą nieuniknioną, spotkał się ze związkiem centralnym i przygarnął z niego znaczną liczbę młodzieży do siebie, a pomiędzy nią wszystkich tych, którzy byli przeznaczeni od porozumiewania się z Komitetem poznańskim, a przez niego z centralizacją Towarzystwa demokratycznego w Wersalu.

Podług jednakże wszelkiego prawdopodobieństwa musiano Karpińskiego mieć na oku od dawniejszego czasu, i że policja warszawska, powiadomiona z Lublina, śledzić go musiała na każdym kroku w Warszawie i stąd nastąpiło jego aresztowanie wespół ze znaczną częścią tych, z którymi pozawiazywał był stosunki.

Śledztwo niczego jednakże wykryć nie zdołało, bo Karpiński „c ł o w i e k ż e l a z n y“, najmniejszym nawet słówkiem nie zdradził nikogo z dawniejszych i nowszych towarzyszków pracy narodowej. Po ukończonem śledz-

twie wysłano Karpińskiego na Sybir, skąd po latach kilkunastu wrócił do kraju ¹⁾.

Wskutek jednakże wyżej wspomnianych aresztowań w Warszawie, stosunki Komitetu poznańskiego z Kongresówką przerwane zostały. Dużo wprawdzie młodzieży, mniej lub więcej skompromitowanej uszło do Księstwa, ale od niej nie można się było dowiedzieć kogo aresztowano, lub kto jeszcze ocalał z członków sprzysiężenia centralnego. Zresztą pod ostatnim względem nie mogło być pewnych wiadomości, bo aresztowania nie ustawały i kto wczoraj był jeszcze wolnym, dzisiaj mógł się znajdować w cytadeli...

Komitet poznański dowiedział się wprawdzie o wypadkach, jakie zaszły w Warszawie od tych, którzy zdążyli schronić się do Księstwa, ale ci nie umieli dać bliższych szczegółów, bo, dowiedziawszy się o aresztowaniach, musieli uchodzić z Warszawy, aby uniknąć bliższej znajomości z sobą. Że zaś chodziło o sprawdzenie, jak wielkie rozmiary przybrały aresztowania w stolicy, Komitet wezwał mnie do Poznania i dał polecenie udania się do Warszawy, celem zasięgnięcia pewniejszych wiadomości, a na wypadek, gdyby aresztowania rozerwały związek centralny, miałem koniecznie postarać się o złożenie Komitetu z pozostałych z rozbicia członków i o zapewnienie nadal komunikacji z Poznaniem.

Pomiędzy młodzieżą, która zdołała umknąć przed aresztowaniem do Księstwa, było dwóch, którzy mieli mieć rozległe stosunki z członkami sprzysiężenia w

¹⁾ Wiadomość o pracach Karpińskiego i jego szlachetnym i dzielnym charakterze mało komu nawet ze związkowych znana była. Z rozmów jakie miałem, już to z Henrykiem Kamieńskim, już to ze szwagrem jego Suffczyńskim, znakomitym powieściopisarzem, znanym pod nazwą Bodzantowicza—wyrobić sobie zdołałem zdanie o tym niepospolitym człowieku. Suffczyński mieszkał w Łańcuchowie pod Łęczną i przeznaczonym był do zdobycia artylerji załogującej podówezas w Łęcznie.

Warszawie. Jakoż jeden z nich, który pod przybranem nazwiskiem Głowackiego w Księżstwie się ukrywał, posiadał rzeczywiście zaufanie związkowych stolicy.

Drugi nazywał się Węgierski¹⁾.

Był to człowiek, jak się później okazało, bardzo lichego charakteru, intrygant i kłamca, ale umiał przechwalać się swoim wybitnym stanowiskiem w centralnym związku warszawskim. Do niego zatem Komitet poznański zgłosił się o list, polecający mnie komuś takiemu w Warszawie, który nie będąc zbyt podejrzanym policji, mógł jednak powiadomić mnie o losie osób, z którymi miałem się zobaczyć, lub też utorować drogę do porozumienia się ze związkowymi, których osobiście nie znałem, a przed którymi list przeze mnie przywieziony miał mi służyć za legitymację.

Węgierski doręczył mi list żądany i na zapytanie moje, czy on go pisał, abym w Warszawie mógł stanowczo powiedzieć, od kogo list pochodzi, odpowiedział, że on go pisał, i że mogę jego nazwisko wyjawić temu, komu mnie polecał. Ten któremu miałem oddać wspomniane pismo nazywał się Szpadkowski i mieszkał w tylnej kamienicy, przy ulicy Żabiej.

Adres był dobry, ale co do listu samego Węgierski okłamał mnie, bo nie on, ale Głowacki go pisał, gdyż, jak wyżej wspomniałem, ten ostatni a nie Węgierski posiadał rozleglejsze stosunki ze związkowymi w Warszawie.

Ta niby na pozór mało znacząca okoliczność mogła być zniweczyć i poruczoną mi misję i mnie samego podała w grube podejrzenie u związkowych warszawskich, bo jak się później dowiedziałem, miano mnie za szpiega i dowiadywano się w konsulacie pruskim, czy

¹⁾ Jegomość ten, znalazłszy schronienie w domu pewnego obywatela jako niby mocno skompromitowany patrijota, odwdzięczył się za doznaną gościnność uwiedzeniem żony tegoż, którą później niegodziwiec zostawił bez sposobu do utrzymania na bruku paryskim.

tam wiedziano co o mojem przybyciu do Warszawy. Tam odebrano jednak odpowiedź, że dopiero przy powrocie do kraju, to jest do Prus, podróżni zgłaszają się o wizę paszportu. Dopytywano się nawet w hotelu, gdzie mieszkałem, czy rzeczywiście przybywałem z Księstwa. Łatwo więc i policja mogła się była do mnie przyczepić.

Szpakowski po przejrzaniu listu zapytał mnie, od kogo owo pismo pochodzi i kiedy mu powiedziałem, że od Węgierskiego, spostrzegłem pewne niedowierzenie, ale sądziłem, że Szpakowski, jako mniej podejrzany policji, mógł nie mieć ściślejszych stosunków ze związkowymi, mógł wreszcie nie znać ani Węgierskiego, ani jego pisma i chciał zapewne bliższych zasięgnąć wiadomości od znajomych swoich, bo mi powiedział, abym nazajutrz po obiedzie przyszedł do niego.

Nie umiem opisać ani mojego zdumienia, ani przykrych uczuć, które mną miotają, kiedy przybywszy do Szpakowskiego o umówionym czasie, usłyszałem, że list nie był przez Węgierskiego pisanym, że pismo podobne wprawdzie cokolwiek do pisma innego wychodźcy, ale że i tu niema pewności, aby list od niego pochodził. Odpowiedziałem, że Węgierski nie pisał przy mnie owego listu, ale że mi go sam wręczył z oświadczeniem wyraźnym, że sam go pisał. Na to odpowiedział mi Szpakowski, że nie jest w stanie nic więcej dodać do tego co powiedział. Zapytałem go, czy nie mógłby ułatwić mi widzenia się z Dzwonkowskim. Odpowiedział, że jest od dni kilku aresztowany. Wtedy nie wiedząc już co z sobą począć, oświadczyłem, że nazajutrz muszę wyjechać w Lubelskie, w ważnej także sprawie, że przez ten czas będą mogli panowie zasięgnąć pewniejszych o mnie wiadomości z Księstwa, i że po moim powrocie pozwolę sobie odwiedzić Szpakowskiego raz jeszcze. Na to mi odrzekł, że wyjeżdża na prowincję w urzędowym interesie i że go nie będzie można zastać w Warszawie.

Nie mogłem już mieć żadnej wątpliwości, że ów list doręczony przez Węgierskiego podał mnie w podejrze-

nie u patriotów i że mnie mają za szpiega, który za pomocą sfałszowanego listu chciał wyśledzić i zdradzić związkowych.

Powróciwszy z tej niefortunnej wyprawy do hotelu rozchorowałem się ze zmartwienia, że w tak ważnej chwili, kiedy chodziło o nawiązanie rozerwanych stosunków między Księstwem a Warszawą, może nawet o zreorganizowanie związku, skompromitowanego mocno przez odrębne działania Karpińskiego, a szczególnie o ostrzeżenie sprzysiężonych, jak niebezpieczną jest taka podwójna robota w kraju, podróż moja spełznąć musi na niczem, z przyczyny albo psoty niegodnej, albo głupoty Węgierskiego.

Ale nazajutrz czekała mnie podróż w Lubelskie, gdzie koniecznie zobaczyć się miałem z Henrykiem Kamińskim; furman był zamówiony, nie było więc czasu chorować. To też z największem wysileniem starałem się uspokoić, abym mógł przynajmniej to drugie polecenie wypełnić. Tymczasem na drugi dzień z rana, kiedy kończyłem się ubierać, wpada do mnie Szpadkowski, abym natychmiast przybył do jego mieszkania w ważnym interesie, ale nie chciał powiedzieć co to za interes, i zaraz wyszedł. Widocznie obawiał się iść ze mną przez ulicę, jeżeli istotnie byłem szpiegiem, za jakiego mnie miano.

Przybywszy na miejsce zastałem oprócz gospodarza może trzech lub czterech młodych ludzi, a pomiędzy nimi był Dzwonkowski, którego tej nocy wypuszczono z cytadeli. Skoro się dowiedziano o tem, pobiegł ktoś do niego z zapytaniem, czy zna Guttrego i sprowadzono go do mieszkania Szpadkowskiego, aby mnie rekognoskował. Temu szczęśliwemu przypadkowi zawdzięczam, że podejrzenie przeciw mnie upadło. Że zaś konie na mnie czekały, a i Dzwonkowskiemu było pilno opuścić Warszawę, umówiliśmy się tylko, że będę czekał na niego w karczmie, którą mi wymienił, i do której niedługo po mnie zajechał.

Przez dwie godziny rozmawialiśmy z sobą i porozumieliśmy się o wszystko co było przedmiotem mojej podróży do Warszawy. Powiedział mi nazwiska ośmiu aresztowanych, o których mógł się dowiedzieć, ale dodał, że ich było nierównie więcej, ale ich cele były w innej części budynku, a stąd nie można było porozumieć się z nimi. Wedle zaś przekonania jego, aresztowania nie ustaną. Jakoż później aresztowano wiele jeszcze osób, a między innymi Gorskiego, pisarza sądu w Łęczycy, który był właśnie wyznaczonym do porozumiewania się z Księstwem, i z którym ja się kilka razy widziałem, bo i mnie taką samą funkcję z Królestwem powierzono.

Nawet i sam Dzwonkowski w niespełna pół roku potem uchodzić musiał z kraju. Co do związku samego, zaręczał mi, że nie rozbity, i że szczyby przez aresztowania powstałe znowu zapełniono, ale najgorsza to, że nikt swojego jutra niepewny. Ja włożyłem mu na sumienie, aby ostrzegał naszych przed niebezpieczeństwem łączenia się z innymi odrębnymi robotami, bo zamiast przez to pomóc, zaszkodzić mogą sprawie publicznej.

Na to mi odrzekł, że niezaufanie do centralizacji coraz mocniej szerzyć się zaczyna i wielu jest tego przekonania, że stosunki z nią kompromitują ludzi krajowych, bo emigracja, czując się sama bezpieczną na obczyźnie, szeroko rozprawia o stosunkach krajowych i nie szanuje nazwisk osób w kraju mieszkających. Starłem się uspokoić go pod tym względem, że to są wszystko wieści fałszywe, że centralizacja ma swoją siedzibę w Wersalu, że narady o sprawach krajowych odbywają się bardzo tajemnie w łonie członków do tej władzy należących, i że oprócz nich nikt inny nie wie ani o robotach związkowych w kraju, ani o osobach do związku należących.

Rozmówiwszy się o wszystkim, rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę, on do domu, ja w Chełmskie do Rudy, gdzie mieszkał Kamieński. Przybywszy na miej-

sce nie zastałem gospodarza w domu, ale na szczęście Kamiński miał rządę Kosiewicza ¹⁾, który był dawniej w dobrach Witostawskich w Księstwie, i ten mnie znał z widzenia. To ułatwiło mi zapoznanie się z Kamińskim, bo inaczej może byłbym się naraził na podobne jak w Warszawie przyjęcie.

Jak już wyżej wspomniałem, chodziło o przekonanie Kamińskiego, że osobne zawiązywanie sprzysiężenia w kraju, obok istniejącego związku centralnego prowadzić musi koniecznie do krzyżowania się prac narodowych, a stąd odrębne związki mogą się zakończyć wzajemną nienawiścią pomiędzy ludźmi do różnych obozów należących, a może nawet na podstawie różnych zasad polityczno-społecznych prace swoje opierających.

Komitet poznański żywił nadzieję, że Kamiński da się łatwiej nakłonić do zaniechania teorii swojej, która zależała od pokrycia kraju siecią najrozlicniejszych, osobno działających związków—po niefortunnej właśnie próbie Karpińskiego. Rozpocząłem w tym duchu moje przedstawienia i starałem się wykazać niebezpieczeństwo, jakim owa teoria grozi sprawie publicznej. A kiedy pomimo usiłowań nie mogłem go przekonać, ani zachwiać jego wiary w skuteczność własnych działań, starałem się nakłonić go przynajmniej do zaniechania robót swoich w Księstwie, gdzie jak to wyżej wspomniałem, ustanowił pośrednikiem swoim Władysława Kosińskiego. Ale i tu stanowczo oparł się życzeniom Komitetu poznańskiego i za całą odpowiedź dał zaręczenie, że jeden związek, jeden Komitet nie zdoła rozszerzyć

¹⁾ Tego Kosiewicza, który był zaenym ze wszech miar człowiekiem i gorącym patriotą, Kamiński używał do różnych potrzeb politycznych, a w końcu polecił mu przewieźć do Galicji książki przez siebie (Kamińskiego) wydawane, i tam go nad samą granicą ujęto. Szkoda było narażać człowieka takiego do przesyłki książek, które inną drogą dostać się były mogły do Galicji.

sprzysiężenia na kraj cały tak skutecznie, jak właśnie większa liczba ognisk ku temu samemu celowi utworzonych.

Widziałem jasno, że nie zdołam sprowadzić żadnego porozumienia pomiędzy Kamińskim a Komitetem poznańskim i dałem za wygraną. Pomimo ścisłej tajemnicy, jaką pragnął zachować o sprzysiężeniu Karpińskiego, mogłem wyrozumieć, że część tylko związkowych uwięziono i że znaczniejsza część spiskowych w Lubelskiem pozostała nietkniętą. Przy tej sposobności Kamiński nie miał dosyć słów na pochwałę dzielności i tęgości charakteru mecenasa Karpińskiego i dodał, iż gdyby tenże był jedno słowo za wiele w śledztwie wypowiedział, on, Kamiński, byłby do owej pory w więzieniu.

To szlachetne postępowanie Karpińskiego nie podlegało wątpliwości, skoro i sam Kamiński i tylu innych, których w rok później widziałem, nie zostali wychwytni. To mnie utwierdzało w przypuszczeniu, że policja w Warszawie miała podejrzenie na Karpińskiego, że on w samej stolicy miał dopiero zamiar zawiązania spisku pomiędzy młodzieżą, i że tam na miejscu przyaresztowano tych, z którymi Karpiński w bliższych był stosunkach, i że z tego powodu mniej zwracano uwagi na Lubelskie, gdzie tylko aresztowano ludzi po prostu na oślep, jak to zresztą w podobnych przypadkach zazwyczaj czyniono.

Kamiński, do którego wracam, życzył sobie, abym dla zakrycia mojej do niego podróży wyjechał z nim w niedalekie sąsiedztwo pod pozorem obejrzenia majątków w celu nabycia z nich jednego. Zajechaliliśmy zatem do jednego obywatela, jeżeli mnie pamięć nie myli, nazywał się Jaźliński. Był to człowiek już niemłody, około lat 50-ciu, poważny i wielce miły, ale w twarzy i oku malowała się stanowczość charakteru. Kamiński miał wielki szacunek dla niego i po drodze dał mi do zrozumienia, że należy do związku. Przytem ostrzegwał

mnie, abym z obywatelem, do którego następnie mieliśmy zajechać, mówił tylko o interesie kupna, co wykonałem z całą ścisłością, bo zrewidowałem szczegółowo ziemię, a nawet wszedłem w targ, ale oczywiście podałem cenę taką, że z góry mogłem wiedzieć, iż na nią nie przystanie. Pomimo to pan ten był przekonany, że miałem zamiar nabyć ten majątek. Nazywał się on, jeżeli dobrze pamiętam, Zembrzuski.

Wspomniałem o tych dwóch obywatelach umyślnie, bo nie umiem pojąć, jakim sposobem mogli się dowiedzieć o mojej u tych panów bytności. Prusacy długi czas nic o tem nie wiedzieli, bo mnie nie pytano przy śledztwie o moją do nich podróż, a ja oczywiście nie wspomniałem o niej. Dopiero w jedenaście miesięcy po mojem uwięzieniu, a może w czwartym lub piątym tygodniu trwającego ze mną śledztwa, mój inkwirent nazwiskiem Mikieta, łotr znany z podstępów wszelkiego rodzaju przeciw oskarżonym używanych, zagadnął mnie razu pewnego:

— Pan byłeś u Kamieńskiego w Rudzie pod Chełmem w Lubelskiem?

Odpowiedziałem, że tak, (wiedziałem, że Kamieński już był za granicą).

— Czemuż pan nie powiedziałeś mi o tem?

— Boś mnie pan o to nie pytał, odrzekłem.

— Pan byłeś jeszcze prócz tego u dwóch innych panów w sąsiedztwie? — i wymienił mi obydwuch po nazwisku.

Prawda, że byłem tam u dwóch obywateli i oglądałem ich majątki, bo miałem zamiar okupić się w Lubelskiem, ale nie umiem powiedzieć, czy się tak nazywali jak Pan powiadasz, bo ich nazwisk sobie nie zapamiętałem.

— To rzecz dziwna, że Pan w tej sprawie taką tajemnicę zachowałeś, kiedy, jak sam powiadasz, był to interes prywatnej natury.

— Właśnie dlatego nie uważałem za rzecz potrzeb-

ną wspominać o nim, odrzekłem, bo skoro śledztwo toczy się o podejrzenie, że miałem do jakiegoś tam związku należeć, sądziłem, że moje prywatne interesa nie należą do rzeczy.

Zdaje się wszakże, że rzecz całkiem ubitą została, bo nie była zamieszczoną w oskarżeniu przez prokuratora królewskiego przeciw mnie podniesionem.

Przytem wszystkim podróz moja do Kamieńskiego nie odniosła żadnego skutku. Zdałem wiernie sprawę z mojej misji Karolowi Libeltowi i nie tailem wstrętu, jaki powzięli związkowi w Warszawie i w ogólności w Kongresówce do centralizacji jak to mogłem wymiarkować z rozmowy z Dzwonkowskim i Kamieńskim, i dodałem, że to może przyczyniło się głównie do tak licznych aresztowań naszych sprzysiężonych w stolicy. Wedle mojego bowiem przypuszczenia, Karpiński natrafił odrazu na ludzi, którzy woleli z nim razem działać, niż dłużej zostawać w stosunkach z centralizacją.

Libelt mocno był zaniepokojony mojem sprawozdaniem i powiedział mi, o czem już dawniej mówiliśmy, że katastrofa warszawska bardzo niekorzystnie może wpłynąć na dalsze koleje sprawy narodowej, ale że nierównie gorzej rzeczy stoją w Galicji, gdzie rząd austriacki podżega chłopów przeciw obywatelom, a ci znowu nie chcąc widzieć grożącego im niebezpieczeństwa i zamiast starać się o zbliżenie do ludu, nieludzko się z nim obchodzą. Powiadał mi przytem, że znowu pisał w tej ważnej sprawie do znajomych do Galicji, ale że tam trudno trafić do przekonania szlachty zacofanej politycznie a wstrętnej reformie społecznej i uwłaszczeniu chłopów; — że z emigracji nikt nie może dotrzeć na miejsce z powodu nadzwyczajnej czujności policji austriackiej i szpiegostwa, jaki rząd między chłopami zaprowadził.

To samo słyszałem z ust Tomasza Malinowskiego, jednego z najzdolniejszych członków centralizacji, który wówczas bawił w Księstwie w misji politycznej i długo przesiadywał w moim domu. Od niego dowiedziałem

się, że Austriacy schwytali na granicy Roberta Chmielewskiego, czy też chłopci go wydali policji, i że odtąd żaden emisariusz za granicę przedostać się nie może.

Tak stały w owym czasie rzeczy w Królestwie Kongresowem i w Galicji. Natomiast w zaborze pruskim idee demokratyczne szerzyły się nie tylko pomiędzy młodzieżą, ale nawet pomiędzy starszem obywatelstwem. Za środek do agitacji służyły różne towarzystwa, osobliwsze odczyty i bale, na których starano się zbliżyć do mieszczan. Tylko lud wielkopolski był jeszcze obojętnym, a nawet w znacznej części nieprzychylnym sprawie powstania i szlachcie, bo przy uwłaszczeniu, które rząd przeprowadził, nie obyło się bez pewnych starć pomiędzy chłopami a dziedzicami, które rząd starał się wyzyskać na swoją korzyść, szerząc pomiędzy ludem nienawiść przeciw szlachcie, że ona była przeciwną uwłaszczeniu i że tylko król pruski był prawdziwym dobrodziejem chłopów, dając im własność pomimo oporu ze strony panów, którzyby chcieli przywrócić dawne poddaństwo. To rozdwojenie dwóch warstw społecznych przetrwało aż do roku 1846, gdy wskutek wykrytego związku jedna połowa ludności wtrącona została do więzienia, drugą zaś, będącą pod śledztwem, przeznaczono na świadków, aby zeznaniami swojemi poparła oskarżenie rządu przeciw uwiezionym podniesione. Tu dopiero patriotyzm naszych Polek i księży zdołał otworzyć ludowi oczy na prawdziwe zamiary rządu. Ale o tem obszerniej na innem miejscu pomówię.

Literatura z owego czasu stała w Księstwie na najwyższym szczyśle rozkwitu ze wszystkich trzech zaborów. Pisma periodyczne, jak „Dziennik literacki“ i „Rok“ zamieszczały artykuły treści politycznej, historycznej, ekonomicznej i filozoficznej, odznaczające się ważnością przedmiotów znakomicie opracowanych, a nadto pięknnością języka, który dorównywał epoce Zygmuntońskiej. Szczególnie wszystko co wychodziło z pod niezrówanego pióra Karola Libelta urokiem piękn-

nej formy, w którą umiał oblekać prawdy wysnuwane z potrzeb życia narodowego, pociągały ku sobie czytającą publiczność polską. Któż nie zna jego rozpraw „O miłości Ojczyzny“, „O odwadze cywilnej“ i innych wielu, które się stały zakonem narodowym, nie tylko dla żyjących, ale i dla przyszłych pokoleń naszych. Tacy ludzie nie często się rodzą, a dumnym może być naród, który ich posiada.

Rzecz oczywista, że taki człowiek musiał stać się duszą związku narodowego. On też bez zaprzeczenia był rzeczywistym szerzycielem idei demokratycznej, opartej na miłości bratniej, a wolnej od wszelkich stronniczych uprzedzeń i namiętności.

Gdyby działanie w kraju ograniczyło się było do tak poważnej, spokojnej a jednakże bardzo skutecznej, bo otwartej propagandy zasad bez zawiązywania obszernego sprzysiężenia, a głównie bez wytknięcia z góry ostatecznego celu, do którego wszystkie przedwstępne prace w kraju służyć miały za środek, jednym słowem, gdyby propaganda była pozostała w granicach szerzenia zasad, a nie wstąpiła odrazu na pole przygotowań zmierzających do powstania, do którego w ostatecznym zastosowaniu sprzysiężenie narodowe z góry było przeznaczonem—być łatwo może, iż tak pojęta rzecz na emigracji i tak ograniczone działanie w kraju, byłyby nam dozwoliły doczekać szczęśliwie wypadków, które w roku 1848 wstrząsnęły do ostatniej głębi posadami tronów w Europie.

Sprzysiężenie wytworzone wprost do przygotowań powstańczych z natury swojej długo trwać nie może, bo albo policja wpadnie na trop jego, albo umysły niecierpliwsze popchną do przedwczesnego wybuchu i skompromitują sprawę całą.

Wyznaję wszakże otwarcie, że do tego przekonania przyszedłem dopiero po roku 1848; w epoce zaś, którą opisuję, nie miałem go jeszcze, ale też nie miał go żaden z patriotów owego czasu. Uważałem jednak za

stosowne zamieścić ten ustęp na tem miejscu, nietylko jako przestrożę, ale także dla zrozumienia wypadków, które zachodziły w sprzysiężeniu naszym przed rokiem 1846-tym.

W Poznaniu był w owym czasie księgarz Stefański, patrijota wprawdzie, ale przytem człowiek przebiegły, który umiał korzystać z ówczesnego położenia i nie obawiał się sprowadzać potajemnie i mieć u siebie na składzie, pomimo odbytych u niego przez policję rewizji, pism wychodzących na emigracji, a mocno poszukiwanych przez publiczność czytającą. Stefański znakomite robił na tej kozobiernej spekulacji interesa, a przy tej sposobności mógł z łatwością odgadywać przekonania polityczne osób, z którymi był w stosunkach księgarskich. Łatwo być może, iż który ze związkowych odkrył mu istnienie związku narodowego. Z drugiej strony i Komitet wiedział o rozgałęzionych stosunkach Stefańskiego, ale go miał raczej za przebiegłego spekulanta, któremu chodziło o zyski więcej, jak o sprawę publiczną i wahał się z przyjęciem go do Związku.

Stefański musiał się tego domyślać i czy to z urazy przeciw Komitetowi, czy może z powodu osobistej ambicji rozpoczął na swoją rękę działanie konspiracyjne pomiędzy rzemieślnikami, a nawet pomiędzy podoficerami armji pruskiej, której część załogowała w Poznaniu.

Stefański miał jakoś do mnie dużo zaufania i zwierzywszy mi się ze swoich stosunków, przekonał mnie nacznie o prawdzie tego co mi opowiadał. Pewnego dnia po skończonym apelu, który się odbywał na placu Wilhelmowskim, poprosił mnie, abym się przeszedł z nim po ulicy Wilhelmowskiej i wtedy widziałem, jak kilku podoficerów przechodząc koło nas dawali mu znak oczami, nie chcąc się zapewne narazić otwarcie znajomością jego. Zwrócił mi szczególnie uwagę na podoficera Kunkiewicza, który miał być najinteligientniejszym i najczynniejszym ze wszystkich.

Z tych zwierzeń poufnych Stefańskiego widziałem

jasno, że się zanosi, albo na przedwczesny wybuch poza plecami Komitetu centralnego, albo na skompromitowanie masy ludzi, którzy zostawali pod przewodnictwem Stefańskiego, bo sięgał do żywiołu bardzo patriotycznego wprawdzie, ale zbyt gorącego i niecierpliwego, a z drugiej strony mniej ostrożnego wobec czujności policji pruskiej, rozbudzonej aresztowaniami warszawskimi i domyślającej się, że i w Księstwie musi być sprzysiężenie podobne temu, które wykryto w Królestwie.

Udałem się zatem do Karola Libelta, a nie zastawszy go w domu pobiegłem do Napoleona Kamińskiego, ówczesnego księgarza, który był w ścisłej zażyłości z Libeltem—opowiedziałem wszystko com widział i czego się obawiałem, nalegając, aby Komitet przyjął koniecznie Stefańskiego do związku, bo to podług mojego przekonania był jedyny sposób powstrzymania go na drodze odrębnego spiskowania, a zarazem do ujęcia w karby posłuszeństwa dla władzy istniejącej w zaborze pruskim.

Kamiński nie zgadzał się na moje zdanie, raz, że Komitet obawiał się gadatliwości Stefańskiego, a potem, że poruszona przez niego klasa ludności, nie zechce dzisiaj ulegać rozkazom Komitetu i pójdzie drogą, jaką jej Stefański wskazał, to jest werbowaniem ludzi wprost do wybuchu i zamiast, żeby ją Komitet powstrzymał, onaby skompromitowała obok siebie i nasz związek. Kamiński należał wówczas do Komitetu, zdanie więc jego dowodziło postanowienia w tej mierze władzy naczelnej, a potwierdził mi to samo Tomasz Malinowski, emisariusz centralizacji, o którym wyżej wspomniałem.

Stefański więc szerzył swoje roboty nietylko w Księstwie, ale i w Prusach Zachodnich.

Ale i Henryk Kamiński nie ustawał w swoich osobnych usiłowaniach w Księstwie. W roku 1844 wysłano mnie powtórnie do niego z upomnieniem, aby nie tykał Księstwa, gdzie Komitet miał i tak dosyć kłopo-

tów na miejscu, a odrębne prace Kamińskiego przyczyniały zamieszania bez korzyści dla sprawy.

Wybrałem się w lubelskie pod pozorem kupienia koni na jarmarku w Łęcznej, gdzie spodziewałem się zastać Kamińskiego. W Warszawie, gdzie miałem się porozumieć w niektórych zleceniach od Komitetu z tamtejszymi sprzysiężonymi, musiałem wziąć paszport od Jenerał-policmajstra jen. Abramowicza do podróży w kraju. Paszport otrzymałem wprawdzie bez trudności za talara wsadzonego w łapę sekretarzowi, ale przyszedłszy na pocztę, uderzyło mnie, że czekać musieliśmy wszyscy dobrze z pół godziny i dopiero gdy wsiadł do sztajnkelerki młody jakiś jegomość, ruszyliśmy w podróż.

Domyśliłem się zaraz, że to był anioł stróż, którego mi przydał Abramowicz. Ten jegomość bardzo rozmowny i łatwy do zabierania znajomości, nazywał się Papłoński (zapewne przybrane nazwisko) wypytywał mnie skąd jestem i gdzie jadę. Powiedziałem mu to samo co na policji. P. Papłoński bardzo się ucieszył, że razem odbywać będziemy podróż, bo i on jedzie do Lublina.

Pytał mnie dalej, czy mam znajomych w tej stronie; zbyłem go dość obojętnie, że na jarmarku nie trudno zawrzeć koniarskie znajomości.

— Bo ja mam, powiada, krewnego, który się zna na koniach, to mógłby Panu być pomocnym przy kupnie koni.

Podziękowałem i oświadczyłem zarazem, że nie myślę nadużywać grzeczności jego krewnego, bo sam się znam na koniach i zresztą byłoby śmiesznem, wybrać się na koński jarmark, nie posiadając odpowiedniej znajomości ku temu. Aby uniknąć dalszych badań tego ciekawego a dosyć niezgrabnego opiekuna mojego, udałem, że śpię i tak zajechaliśmy do stacji, gdzie mieliśmy jeść obiad. Gdy przyszło do zapłaty, dziewczyna wskazując

na pana Papłońskiego, powiedziała, że ten pan za mnie zapłacił.

— Toś zapewne nie zrozumiała, odrzekłem, że ten pan grzecznym sposobem ofiarował ci te pieniądze na szpilki, a ja płacę ci co się za mój obiad należy, a podszedłszy do p. Papłońskiego, podziękowałem mu za zbytnią grzeczność, ale zarazem oświadczyłem, że zwykłem sam za siebie płacić. Chciał się usprawiedliwić tem, że ja jestem w podróży i t. d.

— Kto niema wystarczających pieniędzy na podróż, odpowiedziałem, niech jej nie podejmuje.

Ale pomimo szorstkiego z mojej strony traktowania, pan opiekun nie dał za wygraną. Wieczorem znowu jakiś oficer w mundurze kazał przynieść herbaty z arakiem i ten znowu chciał mnie częstować. Odpowiedziałem, że nie piję nigdy herbaty z arakiem, i kazałem sobie przynieść herbatę z mlekiem, za którą zaraz zapłaciłem.

Z tej stacji przesiadł się on do oddziału, w którym ja z p. Papłońskim dotąd jechaliśmy, a trzeci, który zamienił miejsce z mundurowym i przeszedł do przedziału tylnego. Ten nowy towarzysz podróży znowu zaczął wypytywać dokąd jadę, a dowiedziawszy się niby teraz dopiero, że do Lublina i do Łęcznej.

— Ależ to wybornie się składa, odpowiedział, ja mieszkam w Lublinie, to wy, zmęczeni podróżą nocną, będziecie mogli wygodnie przespać się w mojem mieszkaniu, moja żona wyjechała, ja sam jestem i oto klucze od pokojów. Mam pięć pokoi, to wszystkie będą na wasze usługi.

Musiałem znowu dziękować za ofiarowaną mi gościnność, oświadczając, że nieznajomy nie śmiałybym robić tyle łaskawemu gospodarzowi niepotrzebnego zatrudnienia i po długich targach odmówiłem stanowczo natrętnej uprzejmości, ale zmiarkowałem, że zamiast jednego, mam dwóch szpiegów na karku. Z początku p. Papłoński i jego towarzysz udawali, że się nie znają.

ale skoro noc nadeszła, nachylali się ku sobie, aby ci-cho jakieś odbywać narady ile razy sądzili, że zasnąłem. Ale ja udając śpiącego, pilne miałem na nich oko i niby to budziłem się zawsze w chwili, kiedy głowy ich zbliżały się ku sobie. Tak ich wytrzymałem przez noc całą i nie dozwoliłem im żadnej jak się domyślałem na moją skórę narady.

Przybyliśmy zrana do Lublina, a tam rozpoczęli znowu ze zdwojoną gorliwością namawiać mnie, abym koniecznie przyjął ofiarowane mieszkanie, ale to wszystko na nic się nie przydało, bo im w końcu stanowczo oświadczyłem, że lubię być panem swojej woli i tak robić jak mi się podoba.

Pytali więc już tylko w którym hotelu zamierzam stanąć, na co odpowiedziałem, że napewno jeszcze nie wiem, ale że zapewne zajdę do hotelu Georga (Żorża). Odeszli więc nareszcie trochę niezadowoleni moim uporem ale z miłą nadzieją, że mnie odwiedzą skoro się wywczasują po trudach podróży. Ja zaś po ich odejściu zażądałem ekstra-poczty i pośpieszyłem do Łęcznej. Podejrzewałem bowiem tych gościnnych panów, że wyślą kogoś na jarmark, albo dadzą znać miejscowej policji, aby mnie miała na oku i chciałem o tyle zmylić szpiegów, że tymczasem zdołam porobić tyle rozmaitych na miejscu znajomości koniarskich, że niepodobna będzie dopatrzeć, z kim naprawdę miałem zamiar zobaczyć się w Łęcznej.

Chodziłem więc po rozmaitych stajniach, oglądałem konie, aż wreszcie zaszedłem do stajni Suffczyńskiego, który był szwagrem Henryka Kamińskiego, którego tam spotkałem, ale nie wprawdzie zbliżyłem się do niego, aż mnie sam nie powitał. Przedstawiony przez niego Suffczyńskiemu, prosiłem go, aby mi kazał przyprowadzić klacz jedną, którą zacząłem targować i w końcu kupiłem za cenę, której nie była warta, ale chodziło o zakrycie mojej podróży, i zakrycie mojej znajomości

z Henrykiem Kamieńskim, do czego wybornie posłużyło kupno owej klaczy od jego szwagra.

Później nad wieczorem byłem u Suffczyńskiego na herbacie, gdzie poznałem kilku innych obywateli, a więcej jeszcze w restauracji, gdzieśmy wspólnie zeszli się na kolację. Zdawało mi się wówczas, że H. Kamieński musiał niektórych uprzedzić o prawdziwym celu mojej podróży, i że rzecz ta rozgłosiła się pomiędzy obywatelstwem. Zauważyłem to w poufnych rozmowach z niektórymi z nich i wedle spostrzeżeń, jakie zrobić miałem sposobność, wnioskowałem, że na pięciu trzech przynajmniej musiało należeć do związku. W podróży mojej do Łańcuchowa, gdzie mieszkał Suffczyński i dokąd mnie na drugi dzień zaprosił, rozmawiał ze mną dosyć otwarcie, czego by z pewnością nie był zrobił, gdyby nie wiedział, że i ja do związku należę.

W czasie mojego pobytu w Łęcznej przybył również Józef Szoldrski z Księstwa, wysłany przez Kosińskiego dla porozumienia się z H. Kamieńskim.

Uważałem, że o ile ten ostatni unikał ze mną rozmowy w cztery oczy, o tyle szukał jej z Szoldrskim, tak iż zmuszony byłem powiedzieć Kamieńskiemu, że mam do niego ważne polecenie od Komitetu, i że muszę z nim pomówić na osobności. Usiedliśmy we dwóch na ławie przed domem, gdzie Suffczyński mieszkał i powiedziałem mu, że przybyłem w tym samym co dawniej interesie, aby Komitetowi zostawił całkowicie działanie spiskowe w Księstwie i zdał mu związane tam przez siebie stosunki, że tu nie chodzi o jakąś chęć zdobycia naczelnego kierownictwa sprzysiężeniem w Polsce całej, ale wyłącznie o dobro sprawy publicznej, która wymaga jednolitego działania; że Komitet gotów mu zdać wszystkie swoje stosunki w Polsce Kongresowej i na Litwie, byle Kamieński, z którym Komitet wtedy porozumiewał się wyłącznie—chciał szczerze zgodzić się na to przedstawienie, a odrębne działania Karpińskiego i Ściegienenego, powinnyby przekonać Kamieńskiego o szkodli-

wości przyjętej przez niego teorii spiskowej. Zresztą do-
dałem od siebie, że taka gra na dwie ręce, może dobra
w muzyce, ale niebezpieczna w sprawach związkowych.

Widocznie Kamińskiego uraziły moje uwagi. Oświadczył, że nie może przyjąć propozycji Komitetu, i że najlepiej, aby każdy szedł wytkniętą przez siebie drogą, a nie trąszczył się o drugiego. Oczywiście, że po tej odpowiedzi skończyły się moje traktowania i zabra-
łem się do powrotu. W Lublinie wsiedli do wozu poczto-
wego Kossowski, obywatel z Prus zachodnich i pułkow-
nik Kiwierski z pułku grenadierów wojska polskiego,
wzięty do niewoli w bitwie pod Wawrem dnia 19 lutego
1831 roku.

Miałem więc bardzo przyjemną podróż, bo pułkow-
nik opowiadał nam rozmowę swoją z Dybiczem i dalsze
przejścia swoje w niewoli, z której przed niedawnym
czasem był wrócił. A że i my obydwaj z Kossowskim
odbyliśmy kampanję w r. 1831, przypominaliśmy sobie
wypadki różne z owego czasu i podróż nam się wydawa-
ła bardzo krótka, bo godziny schodziły szybko na miłej
pogawędce.

Przybywszy do Warszawy, znalazłem kilku znajo-
mych mianowicie: Konstantego Bnińskiego, Bronisława
Dąbrowskiego i Józefa Zdębińskiego. O tym ostatnim
przyjździe jeszcze mi pomówić osobno, bo mimowolnie
oddał mi znakomitą przysługę. Oprócz tych trzech, któ-
rzy byli z Księstwa, znałem jeszcze Kuczyńskiego, oby-
watela z Podlaskiego, prezesa Towarzystwa wyścigów
konnych, które się wówczas właśnie odbywały w War-
szawie, a były mi bardzo na rękę, bo zmuszony zaba-
wić dni parę dla rozmówienia się z niektórymi związ-
kowymi, których nie zastałem w Warszawie w prze-
jeździe mojem do Łęcznej—mogłem mój pobyt osłonić
chęcią przypatrzenia się wyścigom. Kuczyński jako zna-
jomy kazał mi wygotować bilet na trybunę i tym spo-
sobem dostałem się na miejsce, na które tylko uprzywile-
jowanym z Towarzystwa przystęp był dozwolony.

Wprowadziwszy panie Kuczyńską, Bnińską i Dąbrowską na estradę, znalazłem się tylko dwiema ławkami oddzielony od Paskiewicza, otoczonego kilku generałami. Wszyscy byli w ciemno-zielonych płaszczach i w stosowanych kapeluszach—mogłem się więc dobrze przypatrzeć temu groźnemu prokonsulowi.

Twarz jego nie wyrażała wcale tej srogości, z której był znanym. Broda gładko ogolona, bez wąsów, czyniła go podobniejszym do księdza płaszczem wojskowym odzianego i rzeczywiście rysami twarzy przypominał dużo zmarłego arcybiskupa Dunina, tylko rysy jego były ostrzejsze, a tem samem pozbawione anielskiej łagodności, jaką widzieliśmy w twarzy arcybiskupa. Natomiast we wzroku Paskiewicza spokojnym, obojętnym nawet, dostrzedz można było gruby odcień pogardy dla wszystkiego co go otaczało. Jeden z otaczających go generałów niedługo po wejściu mojem na estradę, przeszedł przez owe próżne ławy, zbliżył się do mnie i ukłoniwszy się zapytał, czy ojciec mój nie służył przypadkiem w szwoleżerach za cesarza Napoleona. Odpowiedziałem, że ani mój ojciec, ani ja nie służyliśmy wojskowo.

— Przepraszam pana, ale znałem oficera w tym pułku, którego mi pan mocno przypominasz i sądziłem, że jesteś jego synem.

Ukłoniwszy się znowu, powrócił na dawne swoje miejsce.

Ta drobna niby okoliczność, że generał przyszedł rozmawiać ze mną, tak niemiłe na mnie zrobiła wrażenie, iż czułem, że rumieniec wstydu oblał twarz moją. Zdawało mi się, że oczy wszystkich muszą być na mnie zwrócone; że niejeden może mnie posądzać o stosunki podejrzone i nie śmiałem oczu podnieść na otaczającą publiczność. Po chwili dopiero, ochłonawszy z osłupienia, zapytałem znajdującą się obok mnie panią Kuczyńską, czy nie wie przypadkiem, kto mnie zaszczycił racył swoją, wcale przeze mnie niepożądaną rozmową.

— Jakto, zapytała, to go pan nie poznałeś?

Pytanie to odnosiło się do roku 1831, w którym służyłem w wojsku polskiem.

— Nigdy go w mojem życiu nie widziałem, odrzekłem.

— Co on chciał od pana?

Gdym jej opowiedział krótką moją z nim rozmowę, rzekła:

— A mógłby już sobie dać pokój ze swoimi szwoleżerami, kiedy się teraz nie wstydzi występować w mundurze rosyjskim. To Wincenty Krasiński, dodała z oburzeniem.

Nie zdołam opisać smutnych wrażeń, jakie ta wiadomość wywołała w mej duszy. Przyszedł mi na myśl sąd sejmowy, na którym jen. W. Krasiński sam jeden miał smutną odwagę głosować za skazaniem na śmierć podsądnych, i noc 29 listopada, w której Krasiński stawiał się dobrowolnie na usługi W. księcia Konstantego; następnie jego obojętność, więcej nawet, bo niechęć dla sprawy powstania...

Ale powróćmy do Zdębińskiego, o którym wyżej wspomniałem.

Na drugi dzień po owych wyścigach wyjechałem z Warszawy, bo załatwiwszy moje interesa nie miałem przyczyny dłużej bawić w tem mieście. Zdębiński pozostał jednak dłużej, a że już pierwszego dnia wyścigów ściągnąć musiał na siebie uwagę Paskiewicza, przed którym jakby naumyślnie defilował w płaszczu zarzuconym po hiszpańsku na jedno ramię, odwrócił ode mnie uwagę policji, która mnie taką troskliwą opieką raczyła otoczyć w przejeździe moim do Łęcznej, bo ją spokojnie przejechałem za granicę, a jego z rozkazu samego Paskiewicza zrewidowano na komorze od stóp do głowy, ale nic przy nim nie znaleziono, bo on, nie należąc do związku, nie wiedział o niczem, a tem samem do żadnych poleceń nie mógł być użytym.

Przybywszy do Poznania zdałem szczegółowo spra-

wę z mojego posłannictwa, a mianowicie, że w Warszawie aresztowania ustały i że związkowi na miejsce uwięzionych w cytadeli członków wybrali innych i że sprawa sprzysiężenia postępuje dalej bez przeszkody; że Kamiński odmówił wszelkiego porozumienia z centralizacją i z Komitetem poznańskim i że na swoją rękę działa, czego dowodem były jego narady z Józefem Szoldrskim, wysłańcem Wł. Kosińskiego; w końcu, że związek w Lubelskiem, jak mogłem wymiarkować po obywatelach, których poznałem, musiał być szeroko rozgałęzionym.

Na zebranie, przed którem miałem zdawać sprawę z mojej podróży, przybył ze strony Komitetu tylko Napoleon Kamiński i Alcyato, członek centralizacji. Był on przysłany dla zastąpienia Tomasza Malinowskiego, który się udał do Królestwa częścią dla załatwienia własnych interesów familijnych, częścią dla przekonania się o stanie sprzysiężenia w Kongresówce. Zdaje się, że wyjazd Malinowskiego nastąpił wskutek nieporozumienia z centralizacją. Malinowski bowiem żądał bezzwłocznego wyrzucenia wszystkich malkontentów ze związku i zreorganizowania całkowicie sprzysiężenia samego w Księstwie. Skutkiem tego związek miał się ograniczyć do członków posłusznych rozporządzeniom centralizacji i Komitetu miejscowego, a z drugiej strony nie uważać na odrębne prace Stefańskiego i pozostawić go własnemu losowi.

Środek ten jednakże nie zapobiegł złemu, bo zostawiając malkontentom sposobność wolnego działania, pozostawiał im przez to samo wolność przyśpieszenia wybuchu o siłach nieodpowiednich przedsięwzięciu, bo jak wspominałem wyżej, Stefański głównie pomiędzy klasą rzemieślniczą szerzył sprzysiężenie. Z drugiej strony nieostrożność, z jaką się wszystkie jego działania spiskowe odbywały, kazała się obawiać, że policja może łatwo odkryć całe to sprzysiężenie, a przy tej sposobności dowiedzieć się o istnieniu Komitetu poznańskiego i osób, które w skład jego wchodziły.

Wiadomem było, że tak Stefański, jak i jego współpracownicy popierali potrzebę utworzenia osobnego związku—skargami na bezczynność istniejącego Komitetu, przyczem i nazwisk osób nie oszczędzano. Wykluczenie zatem całego tego odłamu od wspólnych prac komitetowego sprzysiężenia nie byłoby w danych okolicznościach osłoniło ani Komitetu, ani związkowych, a oddawało sprawę całą w ręce ludzi niedojrzałych politycznie, a gorączkowych i nieostrożnych. Projekt zatem Tomasz Malinowskiemu nie znalazł uznania ani w łonie komitetu poznańskiego, ani ze strony centralizacji.

Odrębne działanie Stefańskiego wyrzuciło bardzo dużo złego sprawie sprzysiężenia. Nie chciał on uznawać żadnej władzy nad sobą, ambicja zaś jego była nierównie większą jak zdolności. Bez żadnego planu powstańczego, bez żadnej kontroli potrzebnej w razach podobnych, zaciągał ludzi do swojego spisku, nietylko w Poznaniu, ale we wszystkich prawie mniejszych miastach Księstwa, a nawet sięgnął do Torunia i Chełmna, gdzie młodzież szkolną wciągnął do swej roboty.

Nie zapominajmy, że się to działo w okresie propagandy, gdzie całą usilność zwrócić należało do przekonywania większości szlachty o niezbędnej konieczności przeprowadzenia naprawy ustroju społecznego w narodzie, a ta wymagała nietylko wielkich ofiar materialnych ze strony dziedziców, ale i zaniechania dawnych przesądów względem ludu, najtrudniejszych podobno do zwalczania. Praca zatem związku demokratycznego, który tą drogą iść zamierzał, była mozolną, ale konieczną i wymagała nietylko długiego czasu, lecz i gruntownej znajomości historii i potrzeb własnego narodu.

Nie było to więc bezpośrednio zaciąganiem ludzi do powstania, ale raczej szerzeniem zasad demokratycznych w łonie społeczności naszej ku wyrobieniu jednolitości w narodzie rozdzielonym od wieków na—że się tak wyrażę, odłamy społeczne, przeciwne sobie, już to

z powodu względów materialnych, już też dla odrębności praw politycznych i społecznych, jakie każdy z tych odłamów w bardzo nierównej mierze posiadał.

Działanie więc Stefańskiego na swoją rękę było lekkomyślnem i pod każdym względem karygodnem, bo sprzeciwiało się zupełnie zasadniczemu programowi Towarzystwa demokratycznego, który się zasadzał na zmniejszeniu sposobem wyżej wskazanym liczby niechętnych uwłaszczeniu chłopów, aby Rząd powstańczy nie potrzebował zwalczać przeciwników reformy społecznej w chwili, kiedy wojna z wrogiem toczyć się będzie—bo podkopując powagę władzy istniejącej, Stefański nie mógł na jej miejsce postawić innej, lepszej, ogólne zaufanie posiadającej — przez co wprowadził anarchję w pojęciach i skazywał tak związek demokratyczny, jak i swój spisek na bezwładność i rozprężenie. Szerząc znowu swój spisek między młodzieżą szkolną i mieszczaństwem sięgnął do żywiołów najpatryjotyczniejszych wprawdzie, ale najniecierpliwszych zarazem.

Był to materiał nieoceniony, bo gotów do czynu, ale nie należało go budzić przedwcześnie. Dość było zawiadomić ich na parę tygodni przed terminem, aby się na dzień i godzinę umówioną stawili, a byłiby bez wszystkich niepotrzebnych spiskowań posłuchali takiego rozkazu. Ale co potem zamyślał zrobić Stefański? Siły, na jakie mógł liczyć rozsądnie, były za słabe do rozpoczęcia powstania, bo jak widzieliśmy, ograniczały się głównie na mieszczaństwo, a więc na najslabszy liczebnie odłam społeczności naszej,—a więc o rozpoczęciu powstania myśleć nie mógł. Oprócz tego ani planu wojny, ani nawet punktów zbornych nie miał wyznaczonych.

Organizacja cała ograniczała się na podziale wewnętrznym na dziesiętników i setników, a na tysięcy odpowiedniego materiału podobno już nie stało. Pomiędzy ludem i to w miejscowościach bliżej Poznania położonych było wprawdzie kilkunastu chłopów wcią-

gniętych do spisku, ale to był materiał drogocenny do propagandy między ludem, co oczywiście wymagało jeszcze sporego czasu, a dla natychmiastowego powstania, do którego Stefański dążył, stanowiło drobny tylko przyczynek sił potrzebnych do boju. Luźna organizacja wewnętrzna, oparta na wyznaczeniu dziesiętników i setników, pozbawiona wszelkiej kontroli z góry, jak się później przekonałem, nie mogła, nie była w stanie utrzymać długo w posłuszeństwie ludzi powołanych odrazu do czynu, a skazanych później na bezczynne wyczekiwanie; wyrodzić musiało niezadowolenie, zwątpienie, a nawet posądzenie o zdradę ludzi uczciwych, nierozważnemu działaniu Stefańskiego przeciwnych i jedynie dobro sprawy ogólnej mających na sercu.

Każdy spyta zapewne, co mogło spowodować Stefańskiego do przyśpieszenia wybuchu, nie mającego widoków powodzenia, kiedy zresztą mógł był przekonać się na każdym kroku, że los powstania nie polegał na przyśpieszeniu wybuchu ale raczej na najobszerniejszych ile można przygotowaniach do niego?

Odpowiadam, że głównie ambicja połączona z bezgraniczną lekkomyślnością, popychały człowieka tego na drodze wiodącej choćby do przepaści, choćby do narażenia na zatracenie przyszłości powstania, byle imię jego świecić mogło w historii narodu obok twórców powstania warszawskiego w r. 1794, jak dalece zaś lekkomyślność jego była występna, następujące opowiadanie wyjaśni.

Przedmiotem głównych jego usiłowań było zajęcie cytadeli (Kernwerk) na Winiarach. Był to punkt bardzo ważny, któremu należało poświęcić całą uwagę ze strony sprzysiężenia, ale wcale niełatwy do opanowania, a potrzebujący dość znacznej siły nietylko do zdobycia, ale i dla obsadzenia po zajęciu. Komitet główny ustanowił był komisję, czyli raczej podkomitet do spraw wyłącznie poznańskich, a wyznaczył d-ra Mateckiego,

litografa Kurnatowskiego¹⁾ i Guttrego Aleksandra do owej Komisji.

Na jednym z zebrań tej komisji, a było to na pół roku może przed aresztowaniem Stefańskiego, Guttry zrobił wniosek, żeby wejść w bliższe stosunki ze Stefańskim, przez co dałoby go się może powstrzymać w działaniach jego wprost do wybuchu dążących, a użytkować na rzecz powstania to, co do tej pory był przygotował. Na to odezwał się Kurnatowski, że ze Stefańskim trudna sprawa, bo dużo opowiada, ale jak go się wezwie o bliższe wyjaśnienie szczegółów, to ich dać nie umie. Stało jednakże na tem, aby go wezwać i do wspólnej pracy nakłonić.

Jakoż przybyłem na zebranie komisji wieczorem; członkowie jej starali się wykazać mu szkodliwość rozdawania związku na dwa niechętne sobie obozy, ubiegające się wzajemnie i to w chwili, kiedy potrzeba jednolitego działania i skupienia sił wszystkich pod jednym i tym samym kierunkiem władzy naczelnej może jedynie zapewnić przyszłemu powstaniu nadzieję powodzenia.

Na to odrzekł Stefański, że owszem pragnie działać wspólnie z ludźmi, którzy naprawdę myślą o powstaniu i podają mu rękę do wspólnej pracy, że do odrębnego działania skłoniły go bezczynność Komitetu i całkowite odrzucenie mieszczanstwa od współdziałania w pracy, do której cały naród powołać należy.

Odpowiedziano mu na to, że Komitet dopełnia wierne obowiązków swoich, ale się trzyma ściśle raz przyjętego programu, wedle którego chodzi przedewszystkiem o zjednanie umysłów dla reform społecznych, na których należy oprzeć przyszłe powstanie narodu: że zawczasie poruszać ludzi gotowych do czynu, nie mogąc dać im

¹⁾ Nazwisko Kurnatowskiego było przybrane z powodu jego emigracji z kraju. Był on Litwinem, o prawdziwym jednak nazwisku jego dowiedzieć się nie mogłem.

w najkrótszym czasie sposobności do wystąpienia w poważnej sile do boju z nieprzyjacielem, jest błędem, który w ludziach niecierpliwych, pełnych zapału i poświęcenia, ale z natury swojej nieprzydatnych do prac przygotowawczych, mozolnych i długiego czasu wymagających—zrodzić musi niezauwanie do wszelkiej władzy kierowniczej, a w końcu doprowadzić do całkowitego rozprężenia. Zwrócono mu również uwagę i na tę ważną okoliczność, że Komitet poznański koniecznie stosować się musi do wysokości przygotowań w innych częściach Polski poczynionych, bo Księstwo jest za słabe, aby samo stawić mogło czoło potężnemu wrogowi, gdyby zaś powstało przedwcześnie, mogłoby narazić inne prowincje na cząstkowe wybuchy, które bez wątpienia uleddyby musiały silniejszemu na każdym punkcie nieprzyjacielowi. W końcu dodano, że zanim się pomyśli o wybuchu powstania, należy zbliżyć się do ludu wiejskiego i zapewnić sobie jego współudział w powstaniu, co z wielką ostrożnością przeprowadzać należy pomiędzy chłopami przez komisarzy obwodowych obalamuconymi i nieufającymi dziedzicom, jakoby chcącym zrobić powstanie dla przywrócenia poddaństwa i odebrania własności, którą im król nadał.

Na to odpowiedział Stefański, że ma pozyskanych chłopów we wsiach bliżej Poznania położonych, a na odgłos wzięcia fortecy reszta się sama zgłosi do szeregów.

Liczba tych pozyskanych przez Stefańskiego ochotników wynosiła 17 lub 20, jak wyżej wspomniałem.

Na wspomnienie o zajęciu cytadeli, zagadnięto Stefańskiego, że ma posiadać rysunek i plan opanowania twierdzy, a więc potrzeba, aby plan ten przedłożył i wyjaśnił komisji, bo rzecz tak ważną należy dojrzałe rozważyć i dostatecznie przygotować, zanim ją ostatecznie przyjąć będzie można.

Stefański odrzekł, iż to rzecz wielkiej wymagająca tajemnicy, i że z tego powodu mógłby ją co najwięcej jednej zaufanej osobie powierzyć. Przedstawiono mu więc

Kurnatowskiego, na którego się zgodził i przyrzekł odwiedzić go nazajutrz zrana. Była to niedziela. Ja wyszedłem z hotelu Bawarskiego już z południa i zszedłem się ze Stefańskim o kilka kroków na ulicy.

— Dobrze, że cię widzę, powiada, pójdźmy zwolna ku placowi teatralnemu, będziesz mógł sam się przekonać, że mam i w wojsku stosunki.

I rzeczywiście spotkaliśmy kilku podoficerów wracających z parady, z których trzech lub czterech mrugnięciem oka pozdrowiło Stefańskiego, który im również nieznacznie odmrugnął.

— To są wszystko spiskowi, mówił mi Stefański.

Jednego tylko nazwisko spałem, którego inteligentny wyraz twarzy i wzrok bardzo bystry mocno mnie uderzyły; nazywał się Kunkiewicz. Po drodze do księgarni mówiłem Stefańskiemu, aby ostrzegł swoich i zalecił im większą ostrożność, bo w piwiarniach otwarcie rozprawiają o powstaniu, które wkrótce ma nastąpić, przyczem bardzo często jego (Stefańskiego) nazwisko wymieniają. Ostatnie nie było prawdą, ale użyłem tego kłamstwa, aby tem mocniej zainteresować go do powstrzymania nieostrożności, która istotnie była wielką i mogła ułatwić policji nasłanie szpiegów na miejsca ich schadzek zwyczajnych.

Wiadomość ta zrobiła na nim silne wrażenie i przyrzekł zająć się natychmiast tą sprawą. Pytałem go następnie o Kunkiewicza, powiedział, że tęgi Polak i bardzo inteligentny człowiek, że on mu odrysował plan cytadeli, i że ma już 17 podoficerów należących do spisku, i że spodziewa się, iż w niedługim czasie liczba ich w dwójnasób się pomnoży. Poczem zamknąwszy drzwi, pokazał mi ów mniemany plan fortecy. Był to po prostu grubo, choć dosyć wprawną ręką narysowany szkic wewnętrznego dziedzińca cytadeli z otaczającymi go w pięciobok zabudowaniami. Stefański objaśniał bardzo poważnie, gdzie się znajduje mieszkanie komendanta twierdzy, gdzie się mieszczą sale do spania dla żołnierzy

i odwach główny.—„Dostać się możemy furtką do wnętrza, którą piekarze wchodzą codzień o świcie na roboty, a raz dostawszy się do piekarni oddział przeznaczony do tej wyprawy pod wodzą spiskowego podoficera przyaresztuje zaraz komendanta, a drugą częścią rozbroi odwach i otworzy główne drzwi naszym ludziom ukrytym w krzakach otaczających fortecę“.

Cały ten plan oblężenia cytadeli, oparty na tylu przypuszczeniach, mógł, podług mnie, cudem chyba udać się spiskowym, ale nie chciałem żadnych uwag robić Stefańskiemu, aby go nie zrazić do siebie i tylko nakłaniałem go, aby ten rysunek zniszczył, bo go można było w każdym razie z pamięci odtworzyć — ale nie mogłem tego wymóc na nim. Zaręczał mi, że ten rysunek ma zawsze w takim schowaniu, że chociażby policja zrobiła u niego rewizję, to tego niebezpiecznego dokumentu odnaleźć nie zdoła.

Z niecierpliwością oczekiwałem zebrania komisji, aby usłyszeć zdanie Kurnatowskiego, który był z powołania inżynierem i bardzo prawym i rozsądnym człowiekiem, tak że na jego zdaniu z całą pewnością polegać było można.

W kilka dni potem na zebraniu komisji zapytaliśmy Kurnatowskiego, czy się porozumiał ze Stefańskim. Z oburzeniem opowiedział nam, że wszystko co słyszał od Stefańskiego jest nedorzecznnością, i że cały jego plan oblężenia cytadeli jest po prostu mrzonką, niepodobną do przeprowadzenia. Rysunek uważał, tak samo jak mnie się przedstawiał, za rzecz nie mającą żadnej wartości, szczegóły zaś wykonania były podług niego niemożliwe.

Naprzód nie wierzył, aby ludzie przychodzący z miasta na robotę w piekarni, mieli posiadać klucz od niej, że podług niego musiał być przeznaczonym podoficerem na służbę w piekarni, który im otwierał wejście, a potem dozorował ich przy pracy, że ludzie ci przychodzili zapewne po zatrąbieniu pobudki, a wtedy i załoga była

już na nogach. Jednem z głównych zadań było aresztowanie komendanta fortecy, ale Stefański nie wiedział, czy z piekarni jest wewnętrzna komunikacja z mieszkaniem komendanta, a z zewnątrz nie podobnaby się dostać do niego, bo drzwi muszą być zamykane do jego mieszkania, a szyldwach musi chodzić przy niem. — „A wreszcie powiada, przypuściwszy nawet, że przeznaczony na wewnętrzny atak oddział dałoby się wprowadzić do piekarni, czyż było podobieństwo, aby tych kilkudziesięciu ludzi mogło w jednej chwili zaaresztować komendanta, rozbroić szyldwacha, opanować odwach i zamknąć żołnierzy w salach sypialnych i jeszcze w dodatku otworzyć główne drzwi dla oddziału zewnątrz cytadeli zaczajonemu, a wszystko tak nagle i w takiej cisłości, iżby nie zaalarmować załogi?”

Słuszność powyższych uwag była zanadto przekonywająca, aby im można stawiać jakąś opozycję. Ale pomimo całej niepraktyczności planu Stefańskiego zgodzono się, aby z nim nie zrywać, aby go nie zrażać, ale starać się o wyzyskanie robót jego dotychczasowych na korzyść powstania i skłoniono Kurnatowskiego, aby z nim się porozumiewał i odwodził ile możności od wszelkich natychmiastowych porywów, przy środkach tak niewystarczających do wywołania ogólnego ruchu nietylko w Księstwie, ale i w innych częściach Polski.

Ale oprócz Stefańskiego byli jeszcze inni wicherzyciele w łonie związku centralnego, którzy paraliżowali mocno działanie głównego Komitetu, jak to: Adolf Malczewski, Słupecki, Wł. Kosiński, Józef Mikorski i kilku jeszcze innych, których tamci obalamucić zdołali.

Pierwszy z nich zamierzał nawet zebrać na swoją rękę paręset ludzi i z nimi wkroczyć do Królestwa. Na ten cel urządził polowanie, na które rozesłał karty zaproszenia na całe Księstwo. Zaprosił nawet 2 landratów pruskich dla lepszego zamaskowania swoich zamiarów, dla których polowanie za pozór służyć miało. Na szczęście stawiło się na owo zaproszenie ze 40 może obywateli

ze strzelcami, i z narad, jakie odbywano w boru, stanęło na tem, że z taką garstką niepodobna było rozpocząć wojny. Wszystko to nie uszło uwagi owych dwóch landratów, i zapewne wskutek ich raportu policja aresztowała Malczewskiego—i musiał za swoją niesforność i nierozum odpokutować pięciomiesięcznem więzieniem.

Wypuszczony w maju, czy w czerwcu 1845 r. nie usatkwował się jednakże i na nowo w związku wraz z wymienionymi wyżej towarzyszami broić począł.

Jakkolwiek uwięzionemu śledztwo policyjne niczego dowieść nie mogło, bo zarządzone przez niego polowanie nie wychodziło poza granice jego zwykłego hulaszczego życia,—to jednakże z tego właśnie powodu czujność policji w wysokim stopniu rozbudzoną została i jak się zdaje władze pruskie zaczęły od owego niefortunnego wybryku Polaków podejrywać o zamiary rewolucyjne i zaczęto szpiegować w mieście rzemieślników, a na wsiach szlachtę za pomocą tajnych agentów policji. Jakoż w drugiej połowie 1845 r. aresztowano w Poznaniu kilku rzemieślników z obozu Stefańskiego.

W początkach lata tegoż roku wrócił do Poznania z dość długiej podróży swojej w Kongresówce Tomasz Malinowski¹⁾, który przez lat pięć sprawował urząd wysłańca centralizacji przy Komitecie poznańskim. Dowiedziawszy się, że właśnie byłem w Poznaniu, odwiedził mnie i sądząc, że wiem o jego zajęciach z Komitetem i centralizacją, opowiadał z największym żalem, że go jak zbrukaną szmatę cisnęli pod ławę, i że on teraz miał sposobność przekonania się naocznie, że w Królestwie nic niema, i że Królestwo nie będzie mogło powstać razem z Księstwem, jeżeli Komitet poznański nie

¹⁾ T. M. opuścił Księstwo wskutek stanowczego ze strony Komitetu oporu, stawionemu przez niego żądaniu, aby wszystkie niesforne żywicy pozostawić ich losowi. Nie znalazłszy poparcia w centralizacji, wystąpił z niej i udał się do Królestwa. Na miejsce jego przysłała centralizacja Aleyatę, członka swojego.

odstąpi od myśli przyspieszenia wybuchu powstania. Spostrzeżenie swoje objawił niektórym członkom Komitetu, jak się wkrótce dowiedziałem, i zaraz potem wyjechał do Paryża.

Zaniepokojony do najwyższego stopnia temi wiadomościami pragnąłem koniecznie zobaczyć się co najwcześniej z którym z przyjaciół moich; jakoż wyszedłszy na ulicę, spotkałem Napoleona Kamińskiego. Nie wiem, czy on wówczas zasiadał jeszcze w Komitecie, ale wiedziałem, że był z Karolem Libeltem w wielkiej zażyłości, a do mnie miał wielkie zaufanie.

Poprosiłem go więc do mojego mieszkania i opowiedziałem mu to co słyszałem od Malinowskiego. Kamiński wiedział już o wszystkim i również mocno był zaniepokojony. Po bliższej rozwadze przyszedłem do przekonania, że Malinowski widzi rzeczy w zbyt czarnych kolorach, że albo przebywał z ludźmi nie należącymi do sprzysiężenia, a więc nie wiedzącymi o niem może wcale — albo Kongresowiaci zniechęceni bardzo do centralizacji, nie chcieli mu się zwierzyć, wiedząc, że był jej członkiem. Niepodobna przypuścić, aby to wszystko o czem przed rokiem opowiadano mi w Warszawie, i to co sam widziałem w Łęcznej, miało być nieprawdą i złudzeniem.

Na to mi odrzekł Kamiński, że ma złe przecucie o sprawie sprzysiężenia, bo za wiele przeciwności się gromadzi. Naprzód Stefański zawczasie poruszył żywiół zbyt pilny i niecierpliwy, którego teraz nie ma czem zająć dostatecznie; dalej sam związek nasz mieści w sobie wichrzycieli, którzy naprawdę mają zamiar rzucić Komitet istniejący i inny na jego miejsce postawić, co grozi anarchją i rozprzeżeniem całego naszego sprzysiężenia, a w końcu dziwna nieostrożność naszych w zakupywaniu przyborów wojennych i to jakby się zmówili w jednym czasie na te same przedmioty, to broń, to proch i ołów, to siodła, to rękawiczki nawet.

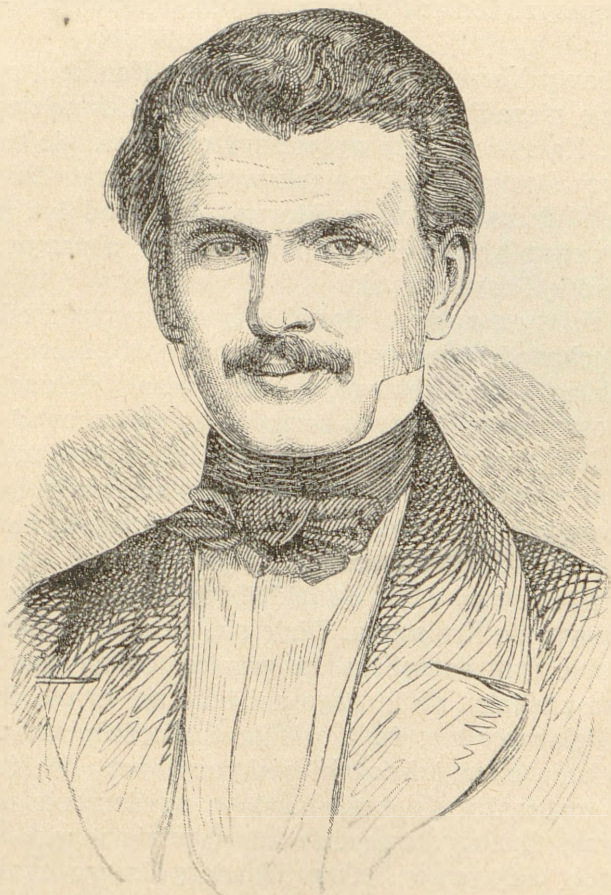
Wszystko to z pewnością policji wiadomo, a daj

Boże, abym się mylił, ale mi się zdaje, że władze są już na śladzie sprzysiężenia i po nitce, zwłaszcza przy gadatliwości naszych, łatwo dojść mogą do kłębka i wszystkich wyaresztują. Komitet, dodał, w bardzo trudnem znajduje się położeniu, bo oprócz naszych miejscowych malkontentów, którzy wicherzą na wszystkie strony, są jeszcze wychodźcy z Królestwa, którzy ciągle napastują, ażeby im powierzono misje do kraju, gdzie, jak mówią, rozległe posiadają stosunki, których mogliby użyć z korzyścią dla sprawy powstania, a Komitet nie chce ich użyć do niczego. Najgorszą ze wszystkiego jest wiadomość z Niemiec przez Niegolewskiego przywieziona, że Komitety tameczne oświadczyły za pośrednictwem Bluma z Lipska i Szeffla z Wrocławia, że o przyśpieszeniu ruchu rewolucyjnego mowy być nie może, bo sprzysiężenia niemieckie dopiero są w zawiązku, a władze państw niemieckich rozwijają niezmierną czujność i prześladują patriotów na każdym kroku. Radziłiśmy parę godzin wspólnie, ale nie można było wynaleźć środka, któryby wszechstronnie zaradzić zdołał złemu.

Związek, nie mający pod ręką władzy wykonawczej, aby ukarać nieposłusznych władzy swojej, pozostaje zawsze na łasce członków sprzysiężenia i nie jest w stanie przeszkodzić wybrykom niespokojnych duchów. A trzeba jeszcze i to mieć na względzie, że ludzie ci z innego na rzecz zapatrujący się stanowiska z przyczyny niecierpliwego temperamentu, lub wskutek nieznamości ogólnego stanowiska i szczególnych okoliczności, które samemu wyłącznie Komitetowi mogły być tylko wiadome, grzeszyli, ale grzeszyli w dobrej wierze; byli to zawsze patrioci, chociaż może miłość własna i ambicja niepoślednią w tem wszystkim u niektórych odgrywała rolę.

Napomknąłem w końcu, czyby nie było dobrze, żeby ze dwóch znaczniejszych z pośród tych odłamów sprzysiężenia, myślących jedynie o przyśpieszeniu powstania,

przybrać do władzy, a może tym sposobem dałoby się nakłonić ich samych i ich towarzyszy do spokojniejszej i rozsądniejszej pracy, skoroby się przekonali, że ich po-



Maurycy Władysław Niegolewski.
(Według drzeworytu współczesnego).

wyższe i bezwzględne działania przynieść muszą nieobliczalne szkody sprawie publicznej.

— Toby się na nic nie przydało, zauważył Kamiński, bo owi przybrani dalej będą prowadzili własne dzieło pod zasłoną władzy, której będą członkami i poza pleca-

mi kolegów swoich, albo ich odrzucają własni ich towarzysze, których oni sami tak niebacznie popychali do przyśpieszenia ruchu. Tak zwykle bywało we wszystkich sprzysiężeniach dawniejszych, jakie w Polsce istniały.

Obawy Kamińskiego co do rozbitcia Komitetu sprawdziły się niezadługo, ale z innej, wcale niespodziewanej strony. Katastrofę tę przyśpieszył człowiek nie mający bliższych stosunków ze związkowymi, z wyjątkiem może Adolfa Malczewskiego, w którego domu od lat dwóch dosyć często gościł. Był on z Królestwa, a nazywał się Franciszek Przyborowski.

Ciekawy z natury i dosyć sprytny przytem, lubił się przysłuchiwać rozmaitym rozmowom osób, które bywały w domu Malczewskiego, w czem zresztą nie zachowywano ostrożności i z tych rozmów wywnioskował sobie, że istnieje sprzysiężenie, a bardzo łatwo być może, iż przy tej sposobności dowiedział się o nazwiskach wielu wpływowych obywateli w Księstwie i umiał do nich trafić, jak to później zobaczymy. Głównem zaś staraniem jego było, aby go użyto do jakiegobądź posługi w interesie publicznym do Królestwa. Zdaje się, że miał zamiar zdobyć sobie tym sposobem za granicą opinię zaufanego członka związku, do którego ani tam, ani tu nie należał. Dowiedziawszy się, że z wielką trudnością przychodzi przesyłanie pism i książek emigracyjnych do Kongresówki, napraszał się bezustannie o powierzenie mu takiej przesyłki, zaręczając, że ma zupełnie pewne sposoby przebycia granicy, jak poświadczyć mogą częste jego podróże do Księstwa, i że każda powierzona mu przesyłka bez żadnej trudności dojdzie swojego przeznaczenia.

Pomimo to Komitet stanowczo zakazał powierzenia mu tak niebezpiecznego zlecenia, słusznie wnioskując, iż gdyby Przyborowski był człowiekiem pewnego charakteru i zdolnym do użycia w sprawie publicznej, władza miejscowa byłaby o nim zawiadomiła Komitet poznański.

Pomimo to znalazł się jakiś nieproszony pośrednik, który Przybyrowskiemu ułatwił potajemnie nabycie książek i dał polecenie przewiezienia ich do Królestwa. Zarzucano Adolfowi Malczewskiemu, że on na swoją rękę zarządził tę całą książkową wyprawę i użył do niej Przyborowskiego, ale nie można uważać tego za pewność, bo Malczewski zarzekał się, że był wcale obcym tej sprawie. Szczegół ten na pozór drobny wywarł jednakże bardzo szkodliwy wpływ na sprawę sprzysiężenia, a mógł przyprawić Księstwo o wielkie nieszczęście.

Przyborowski dostawszy owe wspomniane książki, zajął się swoją wyprawą do Królestwa. Przybrawszy sobie drugiego jakiegoś awanturnika, który miał się nazywać Cyliński, a w Poznańskim ukrywał się pod nazwiskiem Hofmana, i jak powiadał, pochodził z Warszawy — przejechał z nim i z furmanem swoim w noc pogodną granicę; sądząc, że już żadne nie grozi im niebezpieczeństwo, zapalili sobie cygara i jechali drożyną przez las prowadzącą, rozmawiając, jakby w miejscu całkiem już bezpiecznym. Ale zaledwie ujechali z milę drogi w owym lesie, zastąpił im drogę strażnik graniczny i zapytał:

— To panowie pewnie z Prus jada, kiedy cygara palą?

Zagadnięci chcieli zbyć strażnika zaręczeniem, że w Prusach nie byli, i że jada tylko w sąsiedztwo. Strażnik jednakże nie dawał wiary ich zaręczeniom i oświadczył, że mają z nim udać się na komorę, a tam się rzecz wyjaśni. Rzecz jasna, że im to oświadczenie strażnika wcale nie przypadło do smaku, więc poszli z nim w układy. Dawali mu z początku sto, potem dwieście, a w końcu pięćset złotych, aby ich puścił, ale uparty strażnik, im więcej mu ofiarowali, tem natrętniej obstawał przy swoim.

Wówczas, chociaż ich było dwóch, a woźnica trzeci, woleli wszyscy czmychnąć w las, zamiast się rozprawić ze strażnikiem. Pozostały konie i bryczka i książek paka w rękę napastnika, który się spodziewał zapewne

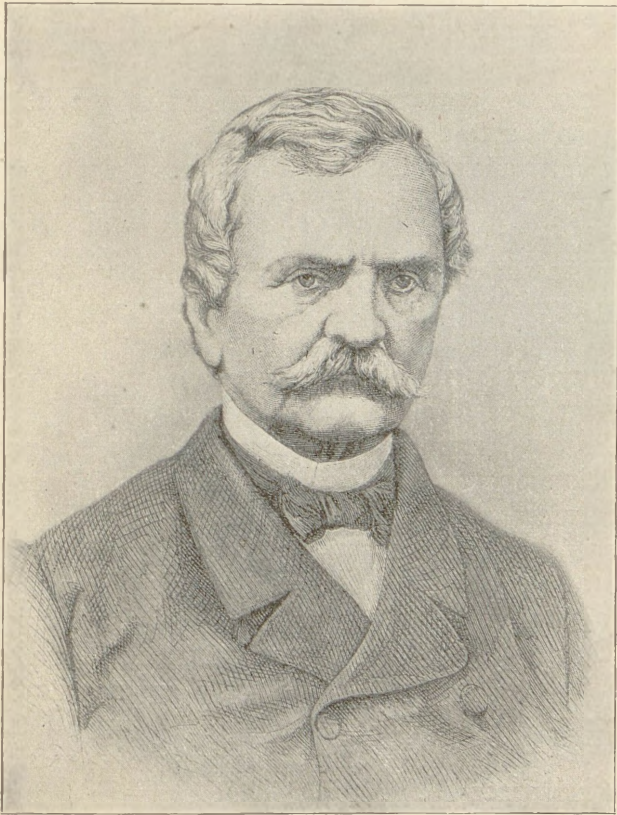
większej nierównie wartości w znajdującej się na bryczce paczce i dlatego był tak twardym przy układach. Ale Przyborowskiemu było żal koni i wysłał woźnicę na zwiady, czyby się nie dało ich uratować.

Biedak ten musiał niezbyt oględnie brać się do rzeczy, bo wpadł w ręce zaczajonych strażników, których już dwóch było w pobliżu owej bryczki. Związawszy złapanego chłopaka, przyprowadzili go wraz z bryczką na komorę, a tam, gdy otworzono paczkę i zobaczono w niej zakazane książki, odesłano i schwytano woźnicę i książki do naczelnika powiatu. Chłopiec wzięty pod śledztwo, musiał zeznać u kogo pan jego bywał w Królestwie, wskutek tego aresztowano kilka osób, a między nimi jakąś kobietę, z którą Przyborowski miał stosunek miłosny. Ta kobieta była jego zaufaną powiernicą, jej się zwierzał ze wszystkim i o wszystkich, u których bywał i gdzie co słyszał.

Tymczasem Przyborowski, nie mogąc się doczekać powrotu woźnicy, dorozumiał się, co się z nim stało i chcąc zatrzeć całą tę awanturę nadgraniczną, która była oczywistym dowodem jego kłamstw, pośpieszył wjechać inną stroną do Królestwa, dotarł aż w Lubelskie i tam starał się obywateli wiejskich poruszyć do powstania, kłamiąc im, że w Księstwie już się nasi biją. Przekonany, że wiadomość przez niego przywieziona przyśpieszy wybuch w tamtych stronach, wracał inną drogą do Księstwa i przybywszy do Poznania, udał się do patrijotów, których znał z nazwiska i opowiadał, że niema chwili do stracenia, bo Lubelskie całe powstało.

Lubelskie jednak nie uwierzyło gołosłownym zapewnieniom nieznanego sobie człowieka i postanowiło, lubo mocno zaniepokojone, zaczekać na pewniejsze wiadomości. Ale w Poznaniu patrijoci, ilu ich było w mieście, ze wszystkich stronnictw, zwołali się na naradę w kilkanaście osób, pomiędzy którymi, ile mi wiadomo, znajdowali się: Libelt Karol, Napoleon Kamiński, Wolniewicz, Sadowski Nepomucen ze stronnictwa, które z centrali-

zają trzymało; Słupecki i Mikorski ze secesjonistów, Maciej Mielżyński i d-r Marcinkowski z konserwatystów, wszyscy do najwyższego stopnia zaniepokojeni przywiezioną przez Przybyrowskiego wiadomością.



Maciej hr. Mielżyński,
ur. w r. 1800, zm. w r. 1870.
(Według rysunku Fr. Tegazzo).

Mało brakło do powstania natychmiastowego wybuchu. Maciej Mielżyński żądał, aby natychmiast rozesłano ludzi na wszystkie strony do przejmowania sztafet, a następnie, aby wydano rozkazy do najprędszego zbie-

rania ludzi gotowych do boju i wyruszenia z tem, co będzie pod ręką na pomoc bijącym się braciom w Królestwie. Szczęściem, że Libelt zatrzymał zimniejszą krew i zwrócił uwagę obecnych, że wiadomość pochodzi z mniej wiarogodnego źródła, i że należałoby ją wpierv sprawdzić na miejscu przez osobę zaufania godną, którą niebawem wysłać należy. Upoważniono więc Wolniewicza, o ile wiem, aby pojechał w Lubelskie i przekonał się naocznie o stanie rzeczy w Królestwie i gdyby się potwierdziła wiadomość przez Przyborowskiego rozgłoszona, wtedy dopiero będzie można urządzić kroki stanowcze w Księstwie.

Trudno sobie wyobrazić niecierpliwość, z jaką oczekiwano jego powrotu. Tymczasem Przyborowski wysłał swojego towarzysza Hoimana na prowincję, aby szerzył pomiędzy obywatelami fałszywą wiadomość o powstaniu w Kongresówce i zalecał bezzwłoczny wybuch w Księstwie. Sam zaś umieścił się w domu panien, już podeszłego wieku, ale gorących patriotek, które umiał pozyskać opowiadaniem o swoim poświęceniu dla sprawy i o niebezpieczeństwach, jakie go z tej przyczyny otaczały. Panny te nazywały się Ślosarzewiczówny, a były córkami dawnego wojskowego polskiego i z największą starannością ukrywały niegodziwego oszusta, który im się umiał przedstawić za męczennika sprawy narodowej.

O dalszych jego przejściach opowiem poniżej, a wracam do wysłannika, któremu polecono przekonać się, czy wiadomość przez Przyborowskiego przywieziona zasługiwała na wiarę. Skoro wysłaniec powróciwszy ze swojej podróży zapewnił, że w Królestwie wszystko spokojnie i że tam czekano właśnie na bliższe wiadomości z Księstwa, gdzie, jak Przyborowski zaręczał, powstanie miało być w pełnym rozwoju — oburzenie przeciw winowajcy było powszechne — bo każdy widział jasno, jaką klęskę byłby sprowadził szatański pomysł Przyborowskiego, gdyby mu się było udało popchnąć samo Księstwo do przedwczesnego wybuchu.

Najbliższem następstwem tej sromotnej roboty owego szaleńca-zbrodniarza było połączenie się obydwuch odłamów sprzysiężenia. Wypadek ten byłby mógł wyjść



D-r Karol Marcinkowski.
(Według sztychu współczesnego).

na korzyść sprawy narodowej, gdyby z obydwuch stron była szczerą chęć wspólnej i rozważnej pracy przygotowawczej, do której ukończenia dużo jeszcze potrzeba było czasu i wysiłku. Ale kiedy jedna strona przystępowała

do pojednania z dobrą wiarą i zaufaniem, że i druga strona pragnie odtąd postępowania na drodze powolniejszej, choć mozolnej pracy, jaką centralizacja wytknęła była sprzysiężeniu narodowemu, i że odtąd przyczyniać się będzie do utrzymania wspólnymi siłami porządku i karności w łonie samego związku, — to druga strona myślała właśnie głównie o zdobyciu dla siebie władzy naczelnej w zamiarze popchnięcia całego sprzysiężenia do przyspieszenia ruchu.

Z takim tedy usposobieniem umysłów przystąpiono do wyboru nowego Komitetu, który miał ogólne sprawdzić zaufanie i położyć koniec samowoli pojedynczych odłamów, nawet pojedynczych członków sprzysiężenia. Przy tej sposobności Słupecki, czy w udanem, czy w prawdziwem uniesieniu zawołał, że tak dawno trzeba było zrobić, a byłoby się uniknęło wewnętrznych rozterek i nieporządków.

Ale wybory nie zadowolniły rokoszanów. Umiarkowani postawili ze swej strony Wolniewicza i Sadowskiego, przeciwnicy głosowali za Słupeckim i Mikorskim Józefem; ci czterej wybrani mieli wspólnie wybrać piątego i pierwsi zaproponowali Karola Libelta, którego drudzy przyjąć byli zmuszeni, bo ani pomiędzy sobą, ani w całym Księstwie nie byli w stanie znaleźć równie zdolnego i poważnego patrioty któregooby mu przeciwstawić mogli.

Znalazszy się w mniejszości w nowo wybranym Komitecie nie myśleli o pomaganiu kolegom, w przywróceniu ładu i karności w sprzysiężeniu, ale przeciwnie, usunęli się od wspólnego działania z większością Komitetu i wszelkie starania zwrócili ku jego rozbiciu. Słupecki, Mikorski, Adolf Malczewski i Kosiński głównie byli czynnymi w tej sprawie. Porozysłali listy do Krakowa i Galicji do tamtejszych członków sprzysiężenia z oskarżeniami na bezczynność Komitetu poznańskiego, wzywając do wspólnej narady i pomocy do ustanowienia nowej władzy.

W drugiej połowie 1845-go r. przybyli do Poznania Gorzkowski z Krakowa i Wiesiołowski z Galicji. Narady trwały dni parę, a tymczasem arestowania pojedynczych osób z obozu nie ustawały, bo policja zdołała wyznaleźć szpiegów, między innymi niejakiego Ludwika Borchardta, który śledził głównie klasę rzemieślniczą i donosił policji o pojedynczych osobach, wskutek czego arestowania zadenujcowanych przez Borchardta od czasu do czasu następowały. Nareszcie arestowano Stefańskiego.

To zrobiło silne wrażenie na członkach sprzysiężenia. Stefański znał dużo ludzi należących do głównego związku, wiedział o toczących się robotach sprzysiężenia, pozawiazywał liczne stosunki po miastach w Księstwie i Prusach Zachodnich, a charakterowi i zdolnościom jego nie zawierzano do tyła, iżby można być pewnym, że pod śledztwem o nikim i o niczem nie zdradzi się jakim niepotrzebnem słowem.

W tym właśnie czasie odbywały się z Komitetem poznańskim narady zwołanych na zebranie przez rokoszan wysłanników z Galicji, Krakowa i Kongresówki, a szczęście wielkie, że się policja do nich nie przypytała, w parę dni przedtem Stefańskiego uwięziono i policja poznańska była w wielkim ruchu, a ci panowie poprzednio mieli byli z nim narady. W tym też czasie i mnie powołał Libelt do Poznania. Nie wiedząc o nowych intrygach Słupeckiego i spółki, przekonany byłem, że mnie znowu jaka podróż do Królestwa czeka. Tymczasem inna mnie spotkała niespodzianka, i to gorsza nierównie niż ta, której się spodziewałem.

Libelt mi oświadczył, iż dawny Komitet nie może już dłużej pozostać na stanowisku swoim i że wszyscy się godzili, aby mnie na jego miejsce wybrano. Że mogę sobie przybrać do pomocy, czy z członków dawnego Komitetu, czy ludzi nowych, i że odtąd wszystkie Komitety innych dzielnic kraju stosować się mają do moich rozporządzeń. Ze wszystkich części Polski nalegają o przyśpie-

szenie wybuchu, dziedzice z Galicji są tego przekonania, że tylko powstanie i nadanie równocześnie własności chłopom może ich uratować od niechybnej rzezi, którą rząd na wielką skalę przygotowuje¹⁾. Chodzi więc o to, czy w przeciągu 3-ch miesięcy będzie można powstanie urządzić. Wobec tych groźnych okoliczności nie pozostawało nic innego do wyboru, jak przyśpieszenie wybuchu. W Poznańskim przy dłuższem wyczekiwaniu sprzysiężenie całe mogło być wychwytanem przez policję, w Galicji można było spodziewać się napewno rzezi, jedyna więc nadzieja uchronienia się od klęsk spodziewanych i przewidzianych spoczywała w przyśpieszeniu powstania.

Ale czy wybuch powstania zdoła uprzedzić knowania rządów zaborczych przeciw Polakom wymierzone? Czy powstaniu uda się przeciągnąć na swoją stronę lud w Poznańskim i w Galicji, czy wreszcie przyśpieszony wybuch będzie w stanie wyprowadzić poważne siły do boju? — To były pytania, które nas mocno niepokoiły, a których rozwiązanie trzeba było pozostawić przyszłości. Ale w ówczesnem położeniu trzeba było stanowczo powziąć postanowienie i ująć silną ręką kierownictwo sprzysiężenia, niezmiernie rozprężonego w łonie swoim.

Ja nie czułem w sobie potrzebnych zdolności ku te-

¹⁾ To samo słyszałem z ust Wiesiołowskiego, wysłańca z Galicji, a kiedy mu zwróciłem uwagę, że właśnie szlachta ma być przeciwną uwłaszczeniu, odpowiedział, że tak jest rzeczywiście, że znaczna większość szlachty miejscowej ani sobie wspomnieć nie pozwoli o żadnych reformach społecznych i trwa niezachwianie w swoich przesądach średniowiecznych: w swojej zaślepionej ufności do rządu, który nie dopuści żadnych wybryków chłopskich na szkodę dziedziców;—ale, że złowrogie zamiary rządu nie są już tajemnicą dla ludzi jaśniejszych poglądów, i że tamtych mimo ich woli od śmierci ratować trzeba, a jedynym środkiem ratunku jest powstanie wraz z usamowolnieniem i uwłaszczeniem chłopów, bo gdy rząd wystąpi przeciw powstaniu, lud będzie widział, że nie ze strony szlachty, ale ze strony rządu podstęp i zdrada. Jeżeli zaś powstanie nie nastąpi najpóźniej z początkiem przyszłego roku, rzeź w Galicji pewna.

mu, a głównie powodowała mną obawa, czy ogół będzie miał zaufanie do człowieka nowego, który ani w związku, ani w życiu obywatelskim nie odznaczył się żadnym wybitniejszym czynem, któryby go zalecał na tak wysokie i trudne stanowisko. Ale Libelt stanowczo oświadczył, że powinienem przyjąć wybór, choćbym się uważał za żołnierza wykomenderowanego na straconą forpocztę; że zresztą niema czasu już zmieniać rzeczy omówionej i przyjętej na naradzie z innymi wysłańcami związków prowincjonalnych. Trudno było nie uznać przedstawień i uwag zacnego Libelta. Musiałem się poddać konieczności i przyjąłem ofiarowane stanowisko pod warunkiem, że nic bez porozumienia się wpierw z nim nie przedsięwzięmę i że on nie odmówi mi swojej światłej rady, a ja będę tylko wiernym jej wykonawcą.

Libelt przyobiecał mi to uroczyście, ale stosunek ten miał pozostać tajemnicą, bo chciałem zasłonić go przed gadatliwością sprzysiężonych i całą odpowiedzialność przyjąć na siebie. A co do urzędzenia się nowej władzy, przybrania osób do pomocy i najgłówniejszych rozporządzeń na pierwsze chwile, chciałem się wpierw namyśleć i nazajutrz zrana przyrzekłem odwiedzić go o godzinie 10-ej i stanowczo omówić z nim cały plan przyszłego działania i szczegółowych postanowień, jakich sprawa całego sprzysiężenia i wewnętrzne jego stosunki w Księstwie samem wymagały.

Na odbytej naradzie nazajutrz postanowiliśmy :

1. Że przybiorę do pomocy na sekretarza Kosińskiego, a czeladnika młynarskiego Esmana zawezwę do rady, bo on, mając po uwięzieniu Stefańskiego największe zachowanie pomiędzy mieszczactwem i rzemieślnikami w mieście i na prowincji, może się przyczynić do zjednania tej klasy władzy naczelnej sprzysiężenia i do ujęcia jej w karby posłuszeństwa i pewnego porządku, na czem luźnej przez Stefańskiego zaprowadzonej organizacji całkiem zbywało.

Plan przeze mnie podany nie był bardzo po myśli Libelta:

— Wichrzyciele, mówił, łatwo mogą w Esmanie rozbudzić nieufność przeciw tobie i wyzyskać ją dla sprowadzenia nowych zawikłań i obalenia raz jeszcze naczelnej władzy.

Nie wierzył również w szczerę współdziałanie Kosińskiego z powodu jego nieustającej opozycji przeciw wszystkim dawniejszym władzom. Ja znowu byłem przekonany, że szczerem i otwartem postępowaniem zdołam zapewnić sobie sumienne współdziałanie obydwóch. Jakoż Kosiński od owego czasu najsumienniejszym zajmował się swoim urzędem sekretarza, zerwawszy wszelkie stosunki z dawnymi towarzyszami swoimi: Słupeckim, Mikorskim i Malczewskim, których postanowiłem pozostawić całkiem na uboczu. Liczyłem bowiem na to, że skoro mi się uda przygarnąć żywiół miejski, intrygami nie będą mogli wichrzyć swobodnie w tej warstwie społeczności naszej, a wpływ ich na dziedziców i inteligencję od czasu owego sławnego polowania w r. 1844-tym upadł i niema obawy, aby go odzyskać mogli. Co zaś do Esmara, Libelt miał po części słuszość, jak się później pokazało, bo tylko szczęśliwy przypadek zdarzył, że intryganci nie zdołali zwalić nowej władzy.

2. Następną nagłą kwestją było natychmiastowe powiadomienie Litwy, Kongresówki i Krakowa o uchwale zapadłej przyśpieszenia wybuchu powstania, przyczem trzeba było przesłać instrukcje dotyczące przygotowania ludzi i przyborów wojennych, a wreszcie donieść o ustanowieniu nowej władzy sprzysiężenia, wybranej w porozumieniu z innymi naczelnikami związków prowincjonalnych.

Trzecią czynnością równie potrzebną było zadośćuczynienie wymaganiom dość licznych wychodźców z Królestwa, którzy w znacznej części bez dostatecznych powodów opuścili Kongresówkę, a teraz dopominali się u dawniejszego Komitetu o powierzenie im misji napo-

wrót do Kongresówki, gdzie, jak utrzymywali, pozostawić mieli obszerne stosunki i pragnęli je zużytkować na korzyść sprawy publicznej. Komitet przeszły, nie znając tych ludzi i nie posiadając najmniejszych wskazówek o nich z Kongresówki, nie śmiał dawać im poleceń żadnych, aby przypadkiem nie narazić patriotów w Królestwie na nieszczęście. Wskutek tego powstały skargi i narzekania na bezczynność Komitetu, który w tak naglącej potrzebie nie chce zużytkować poświęcenia ofiarujących mu się patriotów z gotowością służenia sprawie ojczyznej.

Ta gorliwość nie budziła we mnie wielkiego zaufania, bo nie mogłem zrozumieć, dlaczego ci panowie opuścili kraj, kiedy dzisiaj dopominają się, aby im ułatwić powrót do niego? A jakim sposobem mogliby dzisiaj rozpocząć działanie swoje w kraju wobec nierównie groźniejszych okoliczności, niż wówczas, kiedy się chronili za granicę?

Przedstawiłem zatem Libeltowi, że podług mojego zdania, chcąc położyć koniec czczym deklamacjom tych panów, należy oświadczyć, że kto się zgłosi z chęcią powrotu do kraju, będzie miał paszport i pieniądze na drogę. Libelt był z początku bardzo przeciwnym takiemu postanowieniu, które mogło bardzo wielu obywateli narazić na prześladowanie rządu. Na to mu odpowiedziałem, że ani adresów do osób nam znajomych ci panowie nie odbiorą, bo sami przecież przechwalają się obszernymi stosunkami swoimi w kraju; ani poleceń dawać im nie można, bo te mogą dopiero na miejscu otrzymać od swoich znajomych i przyjaciół. My więc ułatwimy im powrót do kraju, do którego i bez naszej pomocy wrócić mogą, skoro zechcą. Dał się wreszcie przekonać Libelt i wystarał się o kilkanaście paszportów i o pieniądze.

Ale zgłosiło się, jeśli mnie pamięć nie myli, ze wszystkim trzech ochotników, a z tych dwóch zawróciło z podróży i tylko jeden udał się w głąb kraju i nieszczęśliwie popadł w ręce policji na jednej ze stacji kolejowych. Tam wyrwawszy się z rąk policjantów, rzucił się pod koła nadchodzącego pociągu i zakończył życie. Od tej pory wszy-

stko ucichło i nikt nie skarżył się na bezczynność Komitetu, nikt się nie zgłosił o misję do Królestwa.

Po ułożeniu i wygotowaniu instrukcji dla innych dzielnic kraju, co kilka dni czasu zabrało, bo wszystko trzeba było atramentem sympatycznym przepisywać, wysłano Ruprechta do Warszawy, Röhra na Litwę i do Krakowa; do Gorzkowskiego zabrał list z doniesieniem o ustanowionej nowej władzy, albo Kozerski wracający tam dotąd, albo Wiesiołowski w powrocie do Galicji. Ten ostatni odebrał polecenie, aby akademikowi Antoniewiczowi, a w razie gdyby go nie zastał, akademikowi Gurnemu w Wrocławiu zostawił wygotowane dla nich instrukcje.

Załatwiwszy co najgwałtowniejsze na razie sprawy sprzysiężenia, trzeba było nareszcie zakończyć rzecz z owym osławionym Przyborowskim, o którym wyżej była mowa. Człowiek ten niegodny pod osłoną iście macierzyńską swoich opiekunek, przebywał spokojnie w Poznaniu, jak gdyby żadne przestępstwo, żadna odpowiedzialność za tyle niewinnych, za jego przyczyną przesładowanych ofiar w Królestwie nie ciążyła na jego sumieniu. Nie dość na tem: wieczorami przebywał nieledwie codziennie w restauracji Korzeniowskiego, gdzie zawiązał romans ze służącą gospodarza i tej opowiadał ze wszystkimi szczegółami kogo znał w Księstwie, u kogo przebywał w Kongresówce, jakie miał stosunki ze sprzysiężeniem narodowym (do którego nie należał) i jaką ważną jest osobistością w kraju i t. p., obiecując dziewczynie, że się z nią ożeni, jak tylko chwilowe przeminą niespokojności. Dziewczyna, której pochlebiało, że tak znakomity człowiek będzie niezadługo jej mężem, opowiadała wszystko znajomym panom, którzy się u Korzeniowskiego stołowali. Tym sposobem cały prawie Poznań wiedział o pobycie Przyborowskiego w mieście, o jego miłośkach z ową dziewczyną, jak również o wszystkich szczegółach, z któremi jej się zwierzał.

Nowa ta niegodziwość ze strony Przyborowskiego kazała się obawiać najsmutniejszych następstw, gdyby

tak rozgłośna wiadomość o jego pobycie w mieście, była doszła do uszu policji, a wówczas aresztowanie i wydanie go władzom rosyjskim nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Człowiek ten znając wiele nazwisk mógł być na nowo dużo ludzi wydać na pastwę wrogom, gdyby go przypadkiem pochwycono i oddano w ręce władz.

Pomimo jednak wszelkich napomnień ze strony dawniejszego Komitetu, Przyborowski nie chciał opuścić Poznania, aż mu w końcu oświadczone, że listy gończe za nim wysłane i jeżeli nie zechce natychmiast opuścić dobrowolnie miasta i Księstwa, władza postanowiła użyć przeciw niemu choćby najgwałtowniejszych środków przymusu. Wyjechał więc nareszcie i udał się do Głęśna do Konstantego Bnińskiego, u którego zamierzał założyć sobie na długi czas kwaterę główną.

Ale na wsi nie może się na dłuższy czas utaić pobyt obcego człowieka. To też wiadomość o nim przeszła do wsi i kował, Niemiec, pobiegł do blisko położonego miasta powiatowego Wyrzyska i doniósł landratowi, że u Pana w Głęśnie bawi od dni kilku jakiś nieznamy, który się z nikim nie widuje i musi być mocno podejrzany, kiedy się taką tajemnicą otacza. Ówczesny landrat powiatu wyrzyskiego, nazwiskiem Randow, należał do najzaciętszych wrogów Polski i Polaków, umyślił więc natychmiast zrobić obławę na schwytanie owego podejrzanego i wezwał do pomocy komisarza obwodowego i żandarmów. Szczęściem, że ostrzeżony na kilka chwil przed zjawieniem się tego najazdu Bniński kazał uprzętnąć rzeczy Przyborowskiego z pokoju, a samego wyprawił na poddasze, znajdujące się nad owym pokojem.

Pan landrat odbył rewizję z całą skrupulatnością policjanta-szpiega i z całą brutalnością pruskiego urzędnika, któremu się nadarzyła sposobność okazania przewagi swojej urzędniczej obywatelowi polskiemu. Po zrewidowaniu pokoju, w którym Przyborowski miał kwaterę i przytykających do niej poddasznych komór, zażądał drabinki do przejrzania poddasza samego. Przez ten czas

Przyborowski mógł się spuścić po ścianie do jednej ze zrewidowanych wązkim otworem, który się znajdował pod dachem i tym sposobem uniknął niebezpieczeństwa. Landrat, omylony w nadziei schwywania jakiegoś podejrzanego, politycznego przestępcy, a tem samem pozbawiony możności szkodenia Bnińskiemu, opuścił Glešno w bardzo kwaśnym humorze. Bniński, znając zawziętość landrata, nie był pewnym, czy tenże nie powtórzy odwiedzin swoich — wolał więc tego samego wieczora jeszcze wysłać Przyborowskiego do Sypniewa, wsi o 2 mile oddalonej od Glešna, do Nagła, Niemca, ale bardzo uczciwego człowieka — z prośbą, aby przesłanego wyprawił co najprędzej za granicę powiatu, aby go usunąć z pod władzy landrata wyrzyskiego. To ostrzeżenie nie było zbytecznem, bo p. landrat, niewiadomo, czy wskutek nowego donosu, czy wiedząc o zażyłości Bnińskiego z Naglem, zjechał niedługo potem do Sypniewa i tam również ścisłą odbył rewizję, ale z nielepszym skutkiem, jak w Glešnie. Przyborowski już był w innej prowincji, ale usadowiwszy się znowu u obywatela Józefa Wolszlegra w Szenfeldzie, pod Chojnicami, nie myślał o wyjeździe za granicę.

Uszedłszy szczęśliwym przypadkiem z zarządzonej na niego obławy w Glešnie, sądził, że mu już żadne nie zagraża niebezpieczeństwo i postanowił w Szenfeldzie w domu Józefa Wolszlegra założyć stałą dla siebie kwatere. Tymczasem pomimo gościnności gospodarza, który był przekonany, że pełnemu patriotyzmu i poświęcenia człowiekowi daje u siebie schronienie, dłuższy pobyt Przyborowskiego w tej miejscowości wcale nie był bezpiecznym z powodu blizkiego sąsiedztwa miasta powiatowego Chojnic.

Skorośmy się dowiedzieli o wszystkim co zaszło w Glešnie i Sypniewie, a mianowicie o ostatniem postanowieniu Przyborowskiego, które musiało ostatecznie pociągnąć za sobą schwywanie go przez policję pruską,—postanowiono wystąpić nareszcie z całą stanowczością

przeciw niemu. Wysłałem więc obywatela Piusa Arnolda, wiarusa z roku 1831-go z otwartym rozkazem władzy naczelnej związkowej, aby Przyborowski natychmiast wyjechał za granicę kraju, bo w przeciwnym razie będzie oddany pod sąd doraźny rewolucyjny i wyrok będzie na nim bez miłosierdzia wykonany.

Wolszlegier wzbraniał się z początku pozwolić na widzenie się wysłańca naszego z gościem swoim, aż Arnold musiał mu opowiedzieć rzecz całą o nim i przedstawić mu ogromną odpowiedzialność, jakaby na nim ciążyła, gdyby człowiek, którego przechowuje, popadł w ręce policji i stał się przyczyną nowych aresztowań w Królestwie. Wtedy dopiero Wolszlegier uległ naleganiom Arnolda, który odczytał Przyborowskiemu rozkaz Komitetu. To poskutkowało nareszcie i Przyborowski, przyparty do muru, wyjechał za granicę.

Wiadomość o wyjeździe jego zdjęła nam ogromny ciężar z głowy, bo już nie potrzeba było co chwila obawiać się o jego aresztowanie. Zajęliśmy się zatem głównie uzupełnieniem organizacji w osieroconym obozie Stefańskiego. Tam najwięcej miał do czynienia Esman, jako najwięcej wtajemniczony w te roboty. Upłynęło jednak parę tygodni, zanim zdołał pozbierać wykazy osób wciągniętych przez Stefańskiego do związku. Okazało się jednak, że materiały, jakich zdołał dostarczyć, były bardzo niedostateczne, bo to, co Stefański opowiadał o dziesiątnikach i setnikach, na których opierać się miała zaprowadzona niby przez niego pomiędzy klasą rzemieślniczą organizacja, nie istniało w rzeczywistości. Często dziesiątki nie wiedziały, kto był ich dziesiątnikiem, a ci nie wiedzieli znowu kto był ich setnikiem.

Nieład więc w całym znaczeniu tego wyrazu panował w tym obozie, a zaprowadzenie porządku było bardzo utrudnionem z powodu cząstkowych wprawdzie, ale niustających aresztowań przez policję zarządzanych, bo nie można było przewidzieć, czy ten, którego się dzisiaj postanowi dziesiątnikiem, nie będzie nazajutrz uwięzio-

nym. A do tego trzeba dodać, że system szpiegostwa na wielką skalę przez władze zarządzony, szerzył nieufność pomiędzy członkami i zdwajał niebezpieczeństwo.

Oprócz tego niektóre grupy nie chciały dać żadnej wiadomości o swojej organizacji i nie miały ochoty poddać się pod rozkazy władzy naczelnej, której członków nie znały. Zwolna więc tylko i z największym mozolem udawało się pozyskiwać te pojedyncze kółka dla rozporządzeń władzy naczelnej sprzysiężenia.

Łatwiej szło z obywatelstwem mniejszych miast, które Stefański i ślusarz Lipiński wciągnęli byli do swojego związku, a które teraz poruczono członkom związku centralnego. Ale jakkolwiek patriotyczne mieszczaństwo na prowincji okazywało gotowość do wykonywania rozporządzeń władzy naczelnej sprzysiężenia, były to siły liczebnie za słabe, mianowicie w miejscowościach, w których oddziały pruskie stały załogą i skąd w chwili powstania przeszkadzać mogły gromadzeniu się ludzi i wy marszowi w głąb Królestwa Kongresowego.

Polecono więc członkom sprzysiężenia do tego wyznaczonym, pilnie się rozpatrzeć, jakim sposobem można najłatwiej rozbroić załogi pruskie i jakich sił potrzeba będzie przydać miejscowym dla zapewnienia powstania na takich punktach koniecznie potrzebnej przewagi, iżby zamierzone rozbrojenie załóg pruskich szczęśliwie udać się mogło. Było to potrzebnem dla ułatwienia ostatecznych rozporządzeń władzy wojskowej. Równocześnie zaś z powyższemi przygotowaniem zawezwano centralizację, aby wyprawiła Mierosławskiego do kraju, bo on był rzeczywiście wybranym do ułożenia i wykonania planu powstańczego w całej Polsce. Na miejscu zaś wezwano wszystkich komisarzy powiatowych, aby zalecili dziedzicom w swoich powiatach przygotowywania ludzi, koni, broni i amunicji potrzebnych do uzbrojenia ludzi gotowych do powstania.

Wśród tych codziennych zajęć i kłopotów, jakich uzupełnienie organizacji i ostatecznych przygotowań do wy-

buchu powstania co chwila przymnażały, wśród niepoko-
jów, jakie rodziła niepewność, czy powstanie się uda i czy
w walce, którą z trzema wrogami prowadzić będzie trze-
ba — siły narodowe będą w stanie podołać tak olbrzy-
miemu zadaniu — doznałem pociechy, której miłe wspo-
mnienie do grobu towarzyszyć mi będzie.

W tych ciężkich chwilach przybył do mnie do Po-
znania 80-cio letni starzec Kasyusz, były profesor gimna-
zjum poznańskiego, a w ostatnich czasach mieszkający
przy parafii swojej w Orzeszkowie, jako ksiądz kalwiń-
ski. Był to prawdziwy Nestor patriotów wielkopolskich,
powszechnie szanowany nie tylko dla głębokiej nauki, jaką
posiadał, ale i dla gorącej miłości Ojczyzny, której całe
życie swoje wiernie był oddany. Do niego to w chwi-
lach krytycznych udawał się nawet zmarły przed nie-
dawnym czasem arcybiskup Dunin po światłą radę i po-
moc, które mu przywróciły nadwerżoną w początkach
ufiność publiczną.

Zacny ten człowiek przybył do mnie w towarzy-
stwie najstarszego syna swojego, który już oddawna był
przyjętym do związku i zaczął mi gorzkie czynić wy-
rzuty.

— Dowiedziałem się od mojego syna, powiada, że je-
steś na czele istniejącego oddawna związku i jakże mo-
głeś mnie, najszczerszemu przyjacielowi twojemu wyrzą-
dzić taką krzywdę i pominąć mnie w tak ważnej sprawie,
i łzy puściły mu się z oczu.

Sam rozrzewniony do gruntu, odrzekłem:

— Czcigodny profesorze! są ludzie, którzy należą do
świętości narodowych, których zasłaniać pierściami wła-
snemi jest obowiązkiem każdego prawego Polaka, ale ich
niewolno narażać na niebezpieczeństwo nieoddzielne od
podobnych przedsięwzięć.

— Ale ja chcę z wami dzielić wszystkie niebezpie-
czeństwa i myślę, że mnie od tego zaszczytu odsądzić nie
możecie.

Widząc, że dłuższym oporem zraniłbym w najświętszych uczuciach to szlachetne serce, zwróciłem się do jego syna i rzekłem:

— Żądanie szanownego ojca pańskiego jest dla mnie rozkazem, przyjmiemy go obydwaj do związku, ale to ma pozostać tajemnicą, o której tylko Bóg i my dwaj wiedzieć będziemy. Przysiąż mi pan, iż gdybym zdradził ojca pańskiego, strzelisz mi w łeb bez żadnego miłosierdzia — ale i ja przysięgam, żebym pana nie oszczędził, gdybyś nie dochował żądanej tajemnicy.

Poczem odebrałem od staruszka przepisaną rotę przysięgi. Niepodobna opisać radości jego, ścisnął mnie, całował, płakał i śmiał się na przemiany; przekonany jestem, że najobojętniejszy człowiek byłby się na ten widok rozczulił i nawrócił, bo byłby czuł, jak trzeba kochać Ojczyznę swoją.

Czcigodny cieniu! przyjmij te kilka słów ze szczerego serca płynących, jako hołd należny obywatelskim cnotom Twoim. Naród biedny przywalony ciężarem troistego ucisku, nie jest w stanie okazać Ci wdzięczności swojej, ale pamięć Twojego cichego, a tyle użytecznego Ojczyźnie żywota, nie wygaśnie w sercach przyjaciół Twoich.

„Bo na to nie pozwoli syn pięknej Latony,

By popiół kości Twoich był kiedyś wzgardzony“.

Około tego czasu nadeszła odpowiedź z Krakowa, na zawiadomienie tamtejszego Komitetu o ustanowieniu nowej władzy centralnej w Poznaniu.

Odpowiedź ta była nacechowana widoczną niechęcią i uprzedzeniami, które tem mocniej zadziwiać i oburzać musiały, że w niej przebijała nietylko pretensja osobista, ale nadto nieprzewidziane, a tak nagłe odskoczenie Gorzkowskiego, od poprzednio złożonego z jego strony oświadczenia w Poznaniu, że się godzi na uchwałę, jaka zapadnie na zgromadzeniu, na którym dawny Komitet się rozwiązał, a na jego miejscu nowa władza miała być wybrana.

Wiadomo, że zebranie owo było dziełem wyżej wymienionych wichrzycieli poznańskich, niezadowolonych z wyboru ówczesnego Komitetu, w którym byli w mniejszości i który udało im się zwalić; — że Gorzkowski zmuszony wrócić do Krakowa dla jakichś miejscowych interesów jego obecności wymagających, nie mógł doczekać się w Poznaniu ostatecznego wyniku obrad, — złożył deklarację, że się godzi na to, co zebranie postanowi. W piśmie zaś swoim podnosi teraz zarzut, że nowo wybrana władza w Poznaniu nieprawnie sobie przywłaszcza naczelne kierownictwo w sprzysiężeniu narodowym, bo władza naczelna prawem starszeństwa przysługuje jedynie Komitetowi krakowskiemu, bo jest dawniejszym od poznańskiego i t. p. Widać tu było wyraźnie złą wiarę Gorzkowskiego, bo wiedział, jakie Komitet ustępujący posiadał atrybucje, gdyż o tem centralizacja wszystkie władze prowincjonalne w swoim czasie była zawiadomiła. Ale bądź jak bądź, trzeba było dać odpowiedź na pismo wspomniane, a czas był tak krótki, że nawet nie mogłem zobaczyć się i porozumieć z Libeltem. Kosińskiego nie było także naówczas w Poznaniu, a z Esmannem był tylko jeden dzień w tygodniu umówiony. Musiałem więc sam zabrać się do odczynienia depechy sympatycznym atramentem napisanej i odpowiedź również atramentem sympatycznym napisać, a na to miałem tylko dwie godziny czasu, bo wysłaniec tego samego wieczora wracał do Krakowa.

W krótkich więc słowach skreśliwszy przebieg sprawy samej, wykazałem, że o przywłaszczeniu władzy naczelnej nie mogło być mowy, bo tę władzę ustępujący Komitet już dawno posiadał i ona przeszła na nowy za wspólną zgodą reprezentantów Galicji i Polski Kongresowej; a wystawiwszy niestosowność wszczynania sporów z władzą naczelną w tak trudnym, jak nasze położeniu, oświadczyłem, że Komitetowi poznańskiemu nie chodzi o władzę, ale przedewszystkiem o dobro publiczne i że dlatego gotów jest poddać się bezwarunkowo pod rozpo-

rzządzenie Komitetu krakowskiego, skoro inne prowincje zgodzą się na powierzenie mu naczelnej władzy w sprzyśięzeniu.

Nazajutrz opowiedziałem rzecz całą Libeltowi, który jednakże innego był zdania i obawiał się zawikłań w łonie samego sprzyśiężenia, jeżeli Gorzkowski rozzuchwalony uznaniem niejako pretensji swoich z naszej strony, zechce się już uważać za naczelnika całego związku narodowego. Odpowiedziałem na to, że kategoryczna odmowa z naszej strony nie powstrzymałaby Gorzkowskiego od dalszych wicherzeń i intryg; a gdyby inne Komitety ośwadczyły się za nim, nasza opozycja i takby się na nic nie przydała. Jestem jednakże przekonany, że Gorzkowski grubo się omyli w nadziejach swoich i że nie znajdzie poparcia w innych prowincjach, skoro ich reprezentanci na zebraniu poznańskim nie myśleli go powołać na kierownika naczelnego spraw sprzyśiężenia. Deklaracja zaś nasza będzie miała to za sobą, iż wykaże, że nam nie chodzi o utrzymanie się przy władzy, ale jedynie o dobro publiczne. Zresztą niezadługo przybędzie Mierosławski i inne ważniejsze sprawy będą na porządku dziennym, jak liche spieranie się o naczelnictwo, a gdy nastąpi wybór członków, mających zasiadać w rządzie narodowym, będą musiały zamilknąć wszelkie niedojrzałe zachcianki i pokątne intrygi wicherzycieli.

Wszystkie te uwagi moje były wprowadzie na przypuszczeniach oparte, ale miały wszelkie prawdopodobieństwo za sobą; to też Libelt uspokoił się w końcu. Tak samo przekonałem Esmana, że to była jedyna droga wyjścia z trudnego położenia naszego.

Tak przebyliśmy parę tygodni w spokoju, aż do przybycia Mierosławskiego, to jest do ostatnich dni Grudnia r. 1845-go. Mierosławski znalazł już przygotowaną dla siebie kwaterę w mieszkaniu dyrektora Ziemstwa Kredytowego, Jarochowskiego, w gmachu Ziemstwa. Był to dom należący do najpatriotyczniejszych rodzin w Księstwie. Sama pani, wysoko wykształcona i pełna poświęce-

nia dla sprawy ojczystej matrona, była jedną z najzacniejszych Polek wielkopolskich. Można sobie wystawić, z jaką troskliwością podejmowano Mierosławskiego w tym domu. A był to czas wielkiego już niebezpieczeństwa w Poznaniu.

Władze pruskie były już bez najmniejszej wątpliwości powiadomione o istnieniu sprzysiężenia, bo policja coraz większe obostrzenia zaprowadzała, a mianowicie co do osób przyjeżdżających do miasta. Wszyscy gospodarze hotelów odebrali rozkaz meldowania natychmiast policji każdego, który zajędzie do ich hotelu; aresztowania zaś pojedynczych osób, należących do klasy rzemieślniczej, nie ustawały, a nietylko miejsca publiczne, ale nawet i kamienice, zamieszkane przez podejrzanych Polaków, zostawały pod czujnym okiem szpiegów przez policję nasadzonych.

A chociaż w domach, gdzie sami państwo są patriotami, zwykle i służba podziela ich uczucie dla kraju, czcigodna pani Jarochowska sama jednak przynosiła jedzenie Mierosławskiemu, o którego schronieniu miała tylko liczba osób zaufanych wiedziała.

Mierosławski przez dzień siedział w swojej kryjówce i pracował nad instrukcjami dla oficerów, przeznaczonych na dowództwo różnych oddziałów, a wieczorami przychodził na narady ze związkowymi miasta i prowincji, z którymi chciał się porozumieć. Bywali więc wzywani i to tylko w małej liczbie, aby nie zwrócić uwagi policji.

Zebrania te odbywały się w mieszkaniu Tadeusza Leciejewskiego, mojego kolegi szkolnego, człowieka spokojnego, cichego, ale całą duszą oddanego sprawie ojczystej. Na tych zebraniach musiałem prawie zawsze być obecnym, już to dla dostarczenia Mierosławskiemu objaśnień, których potrzebował, już dla zapoznania go z niektórymi związkowymi, których osobiście nie znał. Trwało to przez dni kilka, dopóki Mierosławski nie wyjechał do Krakowa.

Na dni jednakże parę przed jego wyjazdem miałem z nim tajemną w cztery oczy rozmowę, w której mu zwróciłem uwagę, że plan zaskoczenia fortecy poznańskiej jest niemożliwym z powodu, że władze wojskowe, sądząc z rozmaitych w ostatnim czasie zarządzonych ostrożności, muszą mieć wiadomość o tem, a mianowicie, że wyszedł rozkaz zamykania bram miasta o godzinie pół do dziewiątej wieczorem i niewpuszczania nikogo, kto by po tej godzinie chciał wjechać do miasta, a tak samo niewpuszczania nikogo z miasta.

Że z 22 dział, które stały na Placu Działowym, odprowadzono 20 na fortecę, a tylko dwa z nich zostawiono dla nauki rekrutów.

Że począwszy z wieczora, patrole krążą przez noc całą naokoło cytadeli.

Że w każdym korytarzu stoi przy oknie żołnierz, dający baczenie na bramę do wnętrza wiodącą z poleceniem alarmowania załogi za spostrzeżeniem niezwyczajnego ruchu w tej stronie.

Że alarmowanie załogi odbywa się we dnie i w nocy.

Że główny odwach w mieście, w rynku wzmocniono o 60 ludzi, których wieczorem w cichości zaciągają na całą noc na wartę, a ostre ładunki znajdują się w izbie oficerskiej.

Że w końcu w mieście policja nakazała wszystkim oberżystom, aby każdego choćby w nocy przybyłego natychmiast po przybyciu meldowali do biura prezesa policji.

Wszystkie te rozporządzenia nie pozwalały wątpić, iż nietylko policja ma pewne już wiadomości o istnieniu sprzysiężenia w Księstwie, ale że i władzy wojskowej nie tajnym być musi zamiar nasz zaskoczenia fortecy.

O tych ważnych a całkiem uniemożliwiających rozporządzeniach władz wojskowych, już z natury swojej bardzo trudne przedsięwzięcie, — musiałem koniecznie zawczasu uwiadomić Mierosławskiego, tem więcej, że część planu działania w Księstwie opierał on głównie na

opanowaniu cytadeli poznańskiej. A chociaż uwagi nasze w rzeczach wojskowych zwykł był okrywać ironją i lekceważeniem, postanowiłem bądź co bądź z całym naciskiem zwrócić uwagę jego na ten właśnie przedmiot, który stał się ulubionem jego marzeniem i musiał bardzo szkodliwie wpłynąć na los powstania, gdyby chciał upornie przy wykonaniu napadu zamierzonego obstawać.

Powiedziałem mu zatem stanowczo:

1. Że opanowanie twierdzy w dzisiejszych okolicznościach jest niemożliwem, bobyśmy musieli chyba posiadać połowę załogi na nasze rozporządzenie wewnątrz cytadeli samej, a tego na nieszczęście nie mamy.

2. Że poświęcilibyśmy znaczną część ludzi gotowych do boju na przedsięwzięcie całkiem niewykonalne, a więc poświęcilibyśmy na niechybną śmierć lub więzienie i o tyle ujęlibyśmy ich powstaniu samemu na polu bitwy, bez żadnej dla nas korzyści.

3. Że o drugim naborze, który z całą powagą został przez Mierosławskiego ułożonym, myśleć rozsądnie nie można, bo jeśli nam się uda wyprowadzić szczęśliwie pierwszy, Prusacy nie zaniedbają rozesłać kolumn ruchomych na kraj cały i nietylko nie dozwolą żadnych zbiorowisk, ale nadto z pomocą policji i żandarmów wychwytają wszystkich podejrzanych, którzy po wyjściu pierwszego naboru, dla zebrania drugiego w kraju pozostaną. Zresztą z czego wytworzyć ten drugi nabór?— Wszystko co będzie gotowe do boju podąży odrazu na punkta zborne, a reszta co pozostanie w domu, to będą ludzie albo obojętni, albo przeciwni powstaniu, a do tych ostatnich zaliczyć trzeba lud oddawna obalamuony przez władze pruskie, że król raczył chłopom nadać własność, a szlachta była temu przeciwną i pragnąc odebrać im ziemię, chciałaby jeszcze i dawne przywrócić poddaństwo.

— Zdaniem mojem, dodałem, byłoby najrozsądniej zgromadzić wszystko co gotowe do powstania odrazu i wyprowadzić za granicę na linię bojową, a z tych sił

nie pozostawiać nic w kraju do urzeczywistnienia dalszych, więcej jak niepewnych planów.

Przyznać muszę, iż tym razem Mierosławski z wielką uwagą wysłuchał moich przedstawień i po krótkim namyśle odrzekł:

— Słuchaj, to co ci powiem, musi pomiędzy nami obydwoma pozostać najgłębszą tajemnicą. Jeżeli opanowanie fortecy okaże się istotnie niemożliwym, wówczas zabierzesz wszystko z miasta i okolicy i wyprowadzisz za granicę, a tam między Wartą i Prosną założysz oszańcowany obóz i zbierać będziesz siły z okolicy. Jest to tymczasowa instrukcja, a po powrocie moim z Krakowa, obszerniej jeszcze o tem pomówimy.

Ostatnie zebranie przed wyjazdem Mierosławskiego do Krakowa poświęconem zostało wyborowi z zaboru pruskiego członka, przeznaczonego do zasiadania w rządzie narodowym w Krakowie na zebraniu delegatów ze wszystkich części dawnej Polski wybrać się mającym. Karol Libelt został jednogłośnie obranym i miał się udać do Krakowa na parę dni przed wybuchem, którego ostateczny termin miano postanowić wspólnie z wysłańcami innych prowincji. Mierosławskiemu wystawiono pełnomocnictwo do reprezentowania sprzysiężenia w zaborze pruskim, a nareszcie polecono Libeltowi ułożenie odezwy Rządu Narodowego, którą ja sam przepisałem atramentem sympatycznym i później wyprawiłem do Krakowa; poczem Mierosławski w dniu 8 stycznia 1846 roku wyjechał z przydanym mu dla bezpieczeństwa Wład. Kosińskim.

Jak już wyżej wspomniałem, przez cały czas pobytu Mierosławskiego w Poznaniu, musiałem ciągle prawie bywać na zebraniach wieczornych, odbywających się z Mierosławskim i wskutek tego nie mogłem przez cały ten czas widzieć się z Esmanem, z którym również wieczorem tylko mogłem się widywać w Kosińskiego mieszkaniu, od którego klucz miałem. Bałem się znowu wysłać kogo do młyna, bo i sam Esman ostrzegął, że po-

licja bardzo pilne w tę stronę zwraca baczenie. Przewidując jednak, że liczne zatrudnienia mogłyby mi przeszkodzić do widzenia się z nim w dniu oznaczonym, umówiłem się z nim od samego początku, iż na podobny przypadek w następnym dniu posiedzenia powiadomię go o wszystkim co zaszło.

Zdawało mi się, że w taki sposób zabezpieczywszy się na wszelkie nieprzewidziane wypadki, zagrodziłem drogę dawniej praktykowanym intrygom w łonie sprzyśnięcia. Tymczasem inaczej się stało. Owi trzej nieoprawni wichrzyciele: Słupecki, Malczewski Adolf i Mikorski Józef, dowiedzieli się, niewiedomo czy od Wiesiołowskiego z Galicji, który bawił czas dłuższy w Poznaniu i żadnej sprawy nie umiał zachować w tajemnicy—czy może zdołali jakieś zwierzenie się wyzyskać od samego Esmana, dosyć, że wiedzieli o składzie nowej władzy, a dowiedziawszy się najprawdopodobniej od którego z zawezwanych obywateli należących do związku o obecności Mierosławskiego w Poznaniu i o naradach, jakie się z nim odbywały, a widząc Esmana w mieście niezatrudnionego, zapytali go, co znaczy, że nie jest na zebraniu. Ten oczywiście odpowiedział, że o żadnym zebraniu nie wie. A przecież powiadają, że tu jest Mierosławski i różne narady odbywa z członkami władzy i spiskowymi z miasta i z prowincji. Esman znowu odpowiedział, że o niczem nie wie.

Wtedy wzięli go do siebie i tam wystawili mu, że ja go oszukuję, że taję przed nim rzeczy, do których nie chcę, aby należał i zmusili go, aby napisał list do Gorzkowskiego z zaskarżeniem mnie o nieuczciwe z nim postępowanie i o podejrzone narady, które bez jego wiedzy z innymi odbywam. Słupecki zaś ze swojej strony wysłał z pismem Esmana list do Krakowa, wzywając Gorzkowskiego, aby coprędzej przybywał do Poznania i zaprowadził ład, bo związkowi nie mają zaufania do istniejącej władzy i chcą jej wypowiedzieć posłuszeństwo, że dzień zjazdu naznaczony i aby Gorzkowski koniecz-

nie na ten dzień stawił się do Poznania; swoją drogą rozpisali listy do rozmaitych obywateli w Księstwie, wzywając ich z polecenia władzy na ten sam dzień na naradę w ważnym publicznym interesie.

Mierosławski wyjechał był do Krakowa około 8-go stycznia 1846 r., a nazajutrz, czy na drugi dzień po jego wyjeździe przypadał dzień umówiony na widzenie się z Esmanem. Zeszliśmy się więc o wyznaczonej godzinie i ja wytłumaczyłem mu zaraz na wstępie, że zawezwany przez Mierosławskiego, abym był obecnym na posiedzeniach, które odbywał z niektórymi ważniejszymi spiskowymi z Księstwa, nie mogłem na dzień umówiony ani przybyć, ani też zawiadomić go o odbywających się z tymi naradach.

Następnie zawiadomiłem go o wszystkim co w tym czasie zaszło, jako też i o tem, że Mierosławski wyjechał właśnie do Krakowa dla porozumienia się z wysłańcami z innych prowincji o wybór członków zasiadać mających w rządzie narodowym i ostateczne naznaczenie dnia wybuchu powstania, że z zaboru pruskiego wybraliśmy Karola Libelta, na którego i on (Esman) byłby niezawodnie głos swój oddał.

Przez cały czas Esman patrzył na mnie jakimś dziwnym wzrokiem, w którym się odbijało zdziwienie i zakłopotanie wobec mnie. Aż na zapytanie moje, co mu jest, odpowiedział, że widzi, iż go haniebnie oszukano, przedstawiając mu, że moje z nim postępowanie jest nie-szczerem, i że ja tąę przed nim wszystkie ważniejsze sprawy, a że on teraz widzi, iż wszystko było kłamstwem, bo ja mu najsumienniej przedłożyłem obraz wszystkiego co zaszło od ostatniego z nim widzenia (które miało miejsce przed przybyciem Mierosławskiego).

— Ja tu mam list z Krakowa, który mi dzisiaj odano i jeszcze go nie odczytałem, powiada.

Zrobiliśmy to obydwaj. List był od Gorzkowskiego z Krakowa do Esmana pisany, treść jego była następująca:

„Kochany bracie! Weź kija i rozpędź tych łajdaków, którzy Cię oszukują, ja przybędę na dzień oznaczony i dopomogę ci do zaprowadzenia porządku“.

— Więc musiałeś pisać do Gorzkowskiego, odezwałem się, po przeczytaniu powyższego pisma. Odrzekł:— Oni mnie do tego zmusili i opowiedział mi wszystko o czem wyżej nadmienilem i dodał, że dzień zebrania z Gorzkowskim wyznaczono nazajutrz.

Nie chcąc go zawstydząć surowym a zasłużonym wyrzutem z powodu jego łatwowierności względem ludzi, którzy na zaufanie wcale nie zasługiwali, zwróciłem mu jak najłagodniej uwagę na to, co bezpośrednio sprawy związkowej dotyczyło.

Nie dziwię się, rzekłem, że nie masz stale wyrobionego zdania o moim charakterze, bo się od niedawna znamy, ale mogłeś przynajmniej doczekać się dzisiejszej naszej rozmowy, a byłbyś się przekonał o ile zasługiwało na wiarę wszystko co ci o mnie nagadali owi panowie. Nie chodzi tu o mnie dodałem, ale o sprawę publiczną. W tej chwili Mierosławski jest w Krakowie i rozminał się w drodze z Gorzkowskim, z którym miał się widzieć koniecznie i że podróż tamtego może spełznąć na niczem, lub przynajmniej zabrać dużo drogiego czasu.

Esman tłumaczył się, że nie miał nawet czasu ochłonać z pierwszego wrażenia, bo Słupecki tak nalegał na niego, aby zaraz w jego obecności napisał do Krakowa. Widząc, że żal i oburzenie przeciw tym ichmościom, którzy go zmusili do tak niewczesnego kroku, posunięte były do ostatnich granic, bo sobie włosy z głowy wydierał, starałem się go uspokoić, a zarazem zobowiązałem go, aby mnie zawiadomił skoro Gorzkowski przybędzie, ale jeżeli się będzie z nim widział, aby mu nie powiadał o naszej rozmowie, ani o intrydze Słupeckiego i towarzyszków, bo ja sam chciałem rozmówić się z nim w tej sprawie.

Nazajutrz Esman przyszedł mi powiedzieć, że Gorzkowski przyjechał i mieszka w oberży pod „Złotą gę-

sią" i że zebranie będzie o ósmej na wieczór. Poszedłem do niego o godzinie pierwszej, zaraz po wyjściu z biura dyrekcji Ziemstwa Kredytowego, gdzie pracowałem jako radca — ale nie zastawszy go w domu, dowiedziałem się od przybyłego z nim Kozerskiego, że najpewniej Gorzkowskiego będę mógł zastać wieczorem o godzinie siódmej.

Tymczasem około godziny szóstej przybył do mnie Kalikst Bojanowski, obywatel już starszy i powszechne zachowanie mający w Księstwie i zapytał mnie w imieniu reszty obywateli (zawezwanych przez Słupeckiego i spółkę), czy z mojego polecenia zawezwani zostali na dzisiejsze zebranie, bo wezwanie, które odebrali było niby z polecenia władzy do każdego z nich wystosowane, teraz jednak dowiedzieli się, że to jest przeciw istniejącej władzy jakiś zamach, do którego oni należeć nie myślą i jeżeliby kto inny nie ja miał stanąć na czele związku, wtedy oświadczają, że tylko moim, a nie kogo innego rozporządzeniom chcą być posłuszni, a żądają dowiedzieć się ode mnie, czy sobie życzę, aby poszli na to zebranie, bo inaczej postanowili nie brać w niem żadnego udziału. Podziękowałem za położone we mnie zaufanie i opowiedziałem rzecz całą, jak z moich zatrudnień skorzystano i zawezwano Gorzkowskiego, naczelnika związku w Krakowskiem, aby im dopomógł do zwalczenia istniejącej i do wybrania nowej władzy, a zarazem prosiłem, aby poszli na zebranie i tam otwarcie zdanie swoje wypowiedzieli.

Przytem całym niemiłym zajściu, było to oświadczenie Bojanowskiego wielką dla mnie pociechą, bo nie myślałem, że tak wielkie posiadają u związkowych i w końcu wpadłem na myśl, że Słupecki, Malczewski i Mikorski, mogli byli z polecenia związkowych, a nie na własną rękę i odpowiedzialność, zwołać dzisiejsze zebranie i sprowadzić Gorzkowskiego z Krakowa. Przekonawszy się teraz, że cała ta niebezpieczna komedia była tylko powtórzeniem dawniejszej intrygi, któ-

rej ci sami i zawsze ci sami ludzie używali na zwalenie poprzednich komitetów rzekomo niby niezdolnych do kierowania sprawami sprzysiężenia, a w rzeczy samej chodziło im o opanowanie władzy naczelnej, do czego nie posiadali ani zdolności, ani zaufania publicznego—nie mogłem nie uczuć słusznego oburzenia przeciw wicherzycielom, u których narów intrygowania przeszedł po prostu w manję, która bardzo dotkliwe szkody przyniosła sprawie publicznej.

Wszakże to oni zaszczepili nieufność pomiędzy związkowymi przeciw każdorazowej władzy naczelnej, wszakże oni wpływali na mniej wytrawne i niecierpliwe umysły, aby je skłonić do natychmiastowego na swoją rękę powstania, kiedy właśnie należało zalecać wytrwałość, jedność i wielką ostrożność w mówieniu i działaniu, aby kraj miał czas i możliwość przygotowania wszystkich sił i zasobów potrzebnych dla powstania; wszakże oni doprowadzili w końcu rzeczy do tak rozpaczliwego stanu, że już nic innego nie pozostawało, jak, albo pozwolić na wychwytnie całego związku w zaborze pruskim przez policję, albo przyśpieszenie terminu powstania pomimo niedostatecznych przygotowań do niego.

Ale godząc się na pierwszą z dwóch wyżej wymienionych ostateczności, współdziałanie zaboru pruskiego przypadało bezpowrotnie dla powstania narodowego, a zawód uczyniony innym częściom kraju, mógł być narażać powstanie na znaczne klęski, może nawet na stłumienie ruchu w samym dniu wystąpienia do boju braci naszych w innych zaborach. Otóż dla tych przeważających względów postanowiono przyśpieszyć dzień powstania, boć to było przynajmniej dopełnieniem świętego obowiązku względem Ojczyzny ze strony sprzysiężonych z pod zaboru pruskiego.

Ale od chwili jak powyższa uchwała została postanowioną i z gorączkowym niemal pośpiechem w całym zaborze pruskim weszła w wykonanie, od tej chwili wicherzenie owego szczupłego odłamu, upornie trwają-

cego w swojej występnej robocie, straciło wszelki pozór troskliwości o dobro publiczne i przybrało charakter niegodnego przeszkadzania każdej uczciwej pracy dlatego jedynie, że tych panów pominięto przy utworzeniu nowej władzy.

Te wszystkie uwagi, które po rozmowie mojej z Kalikstem Bojanowskim nie mogły już ulegać żadnej wątpliwości, rozdrażniły mnie do najwyższego stopnia. Postanowiłem nie oszczędzać wicherzycieli i uprzedzić Gorzkowskiego o tej nowej intrydze i oszczędzić mu grubych nieprzyjemności z powodu, że się wmięszał tak lekkomyślnie do sprawy, którą z jego pomocą intryganci na swoją korzyść niegodnie wyzyskać chcieli. Esmanowi, który właśnie przybył do mnie po radę, czy ma iść na zebranie, odradziłem stanowczo, bo oskarżenie jakie chciał podnieść przeciw owym panom o haniebny podstęp, jakiego użyli, aby go zawikłać w intrygę przez nich uknowaną do zwalenia władzy istniejącej,—mogło się przeciw niemu zwrócić, że łatwowierność swoją mógł do takiego posunąć stopnia, iż się dał użyć za narzędzie ludziom znanym już z podobnych sprawek w świeżo ubiegłym czasie, co też Esman zrozumiał.

Był to człowiek dobry i wielki patriota, ale młody, niedoświadczony, a przytem skłonny do nieufności, jaką klasa społeczeństwa, do której należał, wogóle przeciw szlachcie żywiła; uległ podszeptom złych ludzi, ale poznawszy błąd swój, odczepił się od nich natychmiast i odtąd wytrwał na drodze obowiązków dla sprawy publicznej i sprawy sprzysiężenia, czego dał liczne dowody w więzieniu pod śledztwem i w czasie roków sądowych, nie zdradziwszy nikogo z towarzyszków niedoli.

Po tej krótkiej naradzie podążyłem do mieszkania Gorzkowskiego. Zastałem go w domu, ale gdy mu się przedstawiłem, zaledwie raczył mi głową kiwnąć z miną jakiegoś surowego sędziego, przed którym stawa winowajca. Oczywiście, że ja przybrałem postawę zimną i żalując, żem go odwiedził, postanowiłem nie wspomnieć

ani słowem o zebraniu, które się wkrótce odbyć miało, a natomiast zapytałem, jak dalece postąpiła organizacja związkowa w Krakowskim, bo wnioskując z tak dalekiej podróży, jaką w tym właśnie czasie odbył, sędzę, że musi być całkowicie ukończoną.

— Tak, odpowiedział z wyraźnym odcieniem złośliwego zadowolenia, że mnie, jak sądził, będzie mógł na tym punkcie upokorzyć, wszystko u mnie w porządku, bo władza posiada zaufanie ogólne, ale tam, gdzie władza nie umie sobie zdobyć takiego zaufania, powinna ustąpić.

Przyznałem słuszność wyrzeczonej przez niego zasady i zabierałem się do wyjścia.

— Jestem w kłopotcie, powiada, bo muszę być koniecznie o 8 godzinie w pewnym miejscu, a nie wiem, gdzie się tu wystarać o powóz i konie.

Odpowiedziałem, że to nie byłoby bezpiecznie, bo policja mogłaby na to zwrócić swoją uwagę, ale że ja się postaram zadosyć uczynić jego życzeniu i odszedłem. Wiedząc, że Włodzimierz Wolniewicz przybył do miasta swojemi końmi, poszedłem do niego i poprosiłem, aby swego ekwipażu użyczył na cały wieczór pewnemu obcemu panu, na co zaraz z całą gotowością przystał. Załatwiwszy tę sprawę, tak mocno niepokojącą Gorzkowskiego, poszedłem do Libelta, by go zawiadomić o tem co zaszło w ostatnich 48 godzinach, w których nie miałem czasu z nim się widzieć. Opowiedziawszy wszystko co zaszło w tym czasie, sądziłem, że go zaspokoję całkowicie klęską, jaka czekała naszych wiecznych konspiratorów przeciw władzy związkowej. Ale zamiast oczekiwanego uspokojenia, Libelt mocno był zrażonym i zaniepokojony temi ciągłymi objawami lekceważenia władzy związkowej, bo mieściła ona w sobie zaród anarchji i wyraźną ochotę działania na swoją rękę, gdyby się ku temu jakakolwiek nastęrczyła sposobność.

Pragnąłem mu wystawić różnice prawa, jakie posiadać będzie rząd narodowy do ukarania winnych i uję-

cia w karby bezwarunkowej uległości nieposłusznych, kiedy przeciwnie władza związkowa opierać się musi jedynie na patriotyzmie i dobrej woli sprzysiężonych. W duszy jednak podzielałem obawy jego, bo objawy niekarności i niezgody, jakie się w ciasnym kole sprzysiężenia spostrzegać dawały, były w istocie wadą narodową i mogły dużo złego wyrządzić sprawie powstającego narodu. Rozmowę naszą przerwało przybycie Gorzkowskiego, który blady, rozdrażniony wracał z zebrania, na którem doznał niespodziewanej porażki. Głównie biadał, że go skompromitowali, okłamawszy poprzednio, owi trzej panowie, o których już kilkakrotnie w tym opisie była mowa, że go sprowadzili do Poznania i na b ł a z n a wystrychnęli. Rzecz sama, jak mi opowiedzieli ci, którzy byli na owem zebraniu i nazajutrz mnie odwiedzili, odbyła się w sposób następujący.

Gorzkowski, przybywszy na miejsce umówione, zabrał miejsce i z miną dyktatorską podniósł głos w przekonaniu, że wszyscy zgromadzeni należą do opozycji, a było ich, ile pamiętam, siedmnastu, i oświadczył, że przybywa naumyślnie z Krakowa, aby położyć koniec nieporządkom, jakie powstały w Księstwie z powodu niezauwania do władzy istniejącej i wzywa zgromadzonych, aby mu wymienili nazwiska obywateli, których chcą postawić na miejsce obecnej władzy, jaką koniecznie z urzędu zrzucić należy. Ale się zdziwił i zakłopotał niepomahału, gdy go w dość szorstki sposób zapytano:

— A kto panu powiedział, że władza obecna nie posiada zaufania ogólnego?

Zagadnięty w ten sposób na razie Gorzkowski, odpowiedział, że wie o tem od Słupeckiego. Ten znowu chciał całą rzecz zwalić na Malczewskiego Adolfa, że od niego ma wiadomość, o której uprzedził Gorzkowskiego. Ale Malczewski spostrzegłszy, że rzecz krzywego nabiera kierunku nie stracił przytomności i chcąc się wywinąć od współdziałania w tej intrydze, odparł, że o niczem nie wie, i że z Słupeckim nigdy o czemś podob-

nem nie mówił. Wówczas wezwani z prowincji obywatele oświadczyli Gorzkowskiemu, że władza obecna posiada w zupełności zaufanie ogółu, i że gdyby byli wiedzieli, że obecne zebranie zwołanem zostało poza wiedzą władzy, nie byłiby z pewnością przybyli do Poznania, gdzie, jak się na miejscu dowiedzieli, chciano ich użyć do poparcia jakiejś niegodnej intrygi, do której oni ręki swojej nigdy przykładać nie myślą. Poczem opuścili wszyscy miejsce zebrania, a po ich wyjściu Gorzkowski zawstydzony i upokorzony w swojej dumie, wyszedł także z tej gorącej kąpieli wprost do Libelta. Tutaj dopiero wybuchnął całym gniewem i zawziętością przeciw ludziom, których przed godziną jeszcze uważał za sprzymierzeńców, za przyjaciół, którzy poprzec mieli jego własne osobiste uroszczenia do osiągnięcia de fakto naczelnej władzy nad sprzysiężeniem całego kraju, o co się, jak widzieliśmy, od samego początku tak namiętnie ubiegał.

Wysłuchawszy spokojnie wyrzekañ jego na zawód jakiego doznał, odezwałem się spokojnie, ale ze stanowczością:

— To ci bardzo zdrowo, niech to będzie nauką dla ciebie, abyś się nie męszał do rzeczy, których nie znasz, bo przez to dajesz szkodliwy przykład zwoływania pokątnych sejmików do zwalania władzy, ilekroć ona nie podoba się kilku intrygantom, nie posiadającym najmniejszego zaufania pośród rozsądniejszych obywateli Księstwa. Uskarżasz się na zawód, jakiego doznałeś, własne tylko niepowodzenie mając przed oczami, ale nie wiesz, ile szkody przynieść może sprawie publicznej twoja całkiem niepotrzebna podróż do Poznania. Oto właśnie rozminęliście się w drodze z Mierosławskim, który pojechał do Krakowa celem ostatecznego porozumienia się z wysłańcami z innych części Polski. Twój wyjazd może bardzo utrudnić, a kto wie, czy nawet i nie udaremnić całej podróży Mierosławskiego.

— A diabliż ich wiedzieli, że mnie tak haniebnie obełgali o waszych stosunkach. Zaręczali mi przecież, że cały związek jest oburzony przeciw władzy i wezwali mnie, abym zaradził złemu na miejscu i ja też temu uwierzyłem i przyjechałem.

— Dobrze, ale cóżbyś był zrobił na miejscu, kiedy nie znasz miejscowych ludzi, boć w przeciwnym razie nie byłbyś na ślepo zawierzył zaręczeniom tych, którzy, jak sam powiadasz, tak haniebnie cię obełgali. Czyż to nie mogłeś uprzednio pytać Libelta, jak cała ta sprawa stoi? Kiedym przyszedł do ciebie dzisiaj, miałem zamiar ostrzedz cię o całej intrydze, ale mnie traktowałeś z góry jak sędzia winowajcę jakiego, to też pozostawiłem cię twojemu losowi. Powiem ci więcej: wiem, kto był autorem listu do ciebie przesłanego, znam nawet odpowiedź twoją, bo ją sam odczytnie; powiem ci więcej: zwołani na to zebranie obywatele byli u mnie z zapytaniem, czy wezwanie, jakie odebrali w imieniu władzy, z mojego polecenia rozesłano i na moje oświadczenie, że nie, zapytali, czy sobie życzę, aby byli obecni na tem zgromadzeniu, bo inaczej nie wezmą w niem udziału i dopiero, gdym ich poprosił, aby poszli i zdanie swoje objawili, zgodzili się, aby pójść, oświadczywszy, że tylko moim rozporządzeniom chcą być posłuszni. Sądziłem może, iż nie wiem o niczem i cieszyłeś się może w duchu z mojej naiwności i niespodzianki, jaką mi zgotujesz, pokazało się, że to ty szedłeś na ofiarę mnie przeznaczoną. Nie narzekaj więc na nikogo i sam sobie przypisz winę tego, co cię spotkało, a teraz wracaj jak najprędzej do Krakowa, abyś jeszcze zastał Mierosławskiego, który ciebie potrzebuje.

Gorzkowski był to sobie człowieczek niskiego wzrostu, szczupły, z twarzą wychudzoną i cery żółtej, chorobliwej, słabe zdrowie oznaczającej. Jakoż mieliśmy sposobność przekonania się o tem tego samego jeszcze wieczora. Wskutek bowiem, czy zaziębnienia, czy gwałtownych wzruszeń, dnia tego doznanych, dostał mocnego

ataku astmy, tak, że z trudnością mógł oddychać. Libelt otworzył zaraz okna dla wpuszczenia świeżego powietrza i pobiegł, aby mu przynieść szklanekę limonjady. To go otrzeźwiło na tyle, iż po jakimś czasie mógł powrócić do swojego mieszkania. Obawialiśmy się mocno, aby się nie rozchorował na dobre i to w chwili, kiedy i nam samym groziło ze strony policji ciągle niebezpieczeństwo. Poszedłem na drugi dzień zrana go odwiedzić i zastałem go w łóżku bardzo cierpiącego. Prosił o lekarza, musiałem zatem pobiedz czemprędzej do zanego Marcinkowskiego, (bo się obawiałem sprowadzić Mateckiego, który mógł ściągnąć na siebie uwagę policji, jako już z dawniejszego czasu źle u niej zapisany)— i poprosiłem go, aby odwiedził człowieka chorego, przybyłego z Krakowa, którego jak najprędzej z Poznania wyprawić trzeba było.

Marcinkowski natychmiast pojechał i obłożywszy go plastrami, zalecił, aby się bezzwłocznie udał w podróż, bo się może mocniej rozchorować skutkiem niezdrowego w mieście powietrza.

Jakoż Gorzkowski po opatrzeniu miał się lepiej i wyjechał tego samego dnia do Krakowa.

Teraz należało mi koniecznie zająć się wewnętrznymi naszymi sprawami. Już dawniej podzieliłem był Księstwo na cztery grupy powiatów, celem równoczesnego zawiadomienia naszych związkowych komisarzy powiatowych przez czterech zaufanych ludzi, o dniu powstania, który miał być ostatecznie postanowionym w Krakowie. Tego podziału zamierzyłem użyć teraz, aby przeszkodzić dalszym bałamuctwom i pokątnym zamachom naszych niepoprawnych wichrzycieli. Wypisałem więc hasła, jak np. od wujaszka z Krakowa, od cici Antosi i t. p. na każdą grupę powiatów inne, wraz z instrukcją, że komisarze stosować się mają tylko do poleceń, które im przywozą ludzie opatrzeni tem samym hasłem, jakie im się obecnie przysyła, że mają natychmiast ostrzedz związkowych w swoim powiecie, że tylko

od swoich komisarzy powiatowych odbierane rozkazy i polecenia uważać mają za obowiązujące.

Aby zaś nikt oprócz komisarzy i władzy naczelnej nie znał owych haseł, obwinąłem każde w karmelek i papier szczelnie zalepiłem gumą. Wyszukałem następnie czterech wysłańców, z których każdy odebrał tyle haseł, w sposób powyższy opatrzonych, ilu było komisarzy w grupie powiatów dla niego do objazdu przeznaczonych.

Zaleciłem każdemu z nich, aby albo swojemi, albo od znajomych pożyczonemi końmi puścili się bezzwłocznie w wyznaczoną podróż, a to z powodu, że na poczcie zapisywano nazwiska podróżnych, furmani zaś musieli meldować policji, kto i dokąd od nich konie najmuje. Wysłańcom zaleciłem ściśle zachowanie tajemnicy o celu ich podróży, a raport obowiązani byli zdać w przeciągu najdalej dni pięciu.

Kiedy się już załatwiłem z tą sprawą, która, jak mi się wydawało, była najpilniejszą w tym czasie, przyszedł do mnie Dzwonkowski, obywatel z Królestwa, który zmuszony przed aresztowaniem opuścić swoje strony rodzinne, bawił od niejakiego czasu w Księstwie i opowiedział mi niektóre jeszcze szczegóły z wczorajszego zebrania, które mnie więcej jeszcze rozdrażniły przeciw sprawcom tych ciągłych wicherzeń w łonie sprzysiężenia naszego. Udawałem przed nim, że się usuwam od działania i o niczem nie chcę wiedzieć. Jak dzień powstania będzie wyznaczonym, wsiądę na koń i pojedę z innymi na linię bojową, ale kierownictwem spraw związkowych zajmować się nadal nie myślę. Moje nazwisko rozgłoszonem zostało przez wichrzycieli, którzy je z pewnością starali się podkopać w łonie sprzysiężenia i nie omieszkaliby i nadal przeciw mnie występować. Wprawdzie przyczyny te dawały powód do ustąpienia mojego, w rzeczy samej jednakże nie myślałem w tak krytycznej chwili porzucać mojego stanowiska, boby to wyglądało na dezercję, a oświadczenie się obywateli wezwanych na

wczorajsze zebranie umocniło mnie w przekonaniu, że związkowi nie stracili do mnie zaufania.

Wśród tej rozmowy, wszedł od mnie Adolf Malczewski z miną wesołą, jak gdyby nic nie było zaszło i zaczął zaraz rozprawiać o konieczności zbierania pieniędzy od obywateli na potrzeby bieżące. Przyjąłem go bardzo zimno i na wniosek jego odpowiedziałem z obojętnością:

— A róbcie sobie co chcecie, a mnie dajcie pokój. Wczoraj pragnęliście zwalić władzę, otóż oświadczam, że napróżno się do mnie udajesz ze swoim projektem, bo ja o niczem wiedzieć nie chcę.

Odpowiedź moja widocznie go zakłopotowała, ale go nie zbiła całkiem z toru; odpowiedział mi zwalając całkiem winę na Słupeckiego, że na takie głupstwa zważać nie powinienem, zwłaszcza, że nasi porządnie natarli uszu temu szaleńcowi i oświadczyli, że do mnie mają zaufanie. Zaczął mi przedstawiać, że nie powinienem opuszczać mojego stanowiska, zwłaszcza, że po wczorajszym zajściu wszystko wróciło znowu do dawnego porządku.

— Nie namawiaj mnie, odpowiedziałem, bo ja tego porządku nie widzę, a gdybym go chciał zaprowadzić, musiałbym chyba zacząć od usunięcia ciebie pierwszego, bo tobie stare narowy szlacheckie siedzą w krwi i kościach, jak staremu psu legawemu tresura, i mógłbyś się jeszcze doczekać, iżbym ci musiał kazać wepchnąć nóż pod żebra, a toby z pewnością nastąpiło, gdybyś nie zaprzestał dotychczasowych szaleństw twoich.

Pomimo tych ostrych słów, Malczewski nie przestawał mnie nakłaniać do zatrzymania władzy, w czym i Dzwonkowski dopomagał mu usilnie.

Dałem się wtedy niby nakłonić, gdy mi Malczewski zaręczał najuroczyściej, że zaprzestanie dalszych bałamuctw i szczerze i sumiennie wykonywać będzie dane mu polecenia. Jakoż dotrzymał przyrzeczenia swojego i odtąd z całym zapalem poświęcił się sprawie publicznej.

Był to człowiek, który pomimo wszystkich swoich wad szlacheckich posiadał dużo przymiotów szacownych. Duszą i ciałem patriota, żołnierz odważny, bo tego dał dowody w r. 31-ym, w którym odebrał kilka ran i ozdobionym został krzyżem złotym „Virtuti militari“, był zręcznym agitatorem, czego w ostatnich chwilach naszego sprzysiężenia od każdego wymagać musiano. Poleciłem im zatem obydwom, aby Malczewski w Księstwie, a Dzwonkowski w Królestwie zajęli się zbieraniem funduszków i dodałem im potrzebnych do tego pomocników.

Działo się to w czasie nieobecności Mierosławskiego, który, jak wyżej wspomniałem, bawił z Kosińskim w Krakowie, celem porozumienia się ze związkowymi w Galicji i ustanowienia dnia do wybuchu powstania.

Tymczasem policja pruska coraz nowe zarządzała arestowania, a władze pruskie miały już pewność o istnieniu związku między Polakami pod zaborem pruskim. Jakoż przy końcu stycznia reskryptem królewskim ustanowioną została bezpośrednia komisja śledcza pod prezydencją Frankenberga, szefa wszystkich sądów w Ks. Poznańskim. Pośród groźnych okoliczności należało koniecznie znaleźć o ile można bezpieczniejsze schronienie dla Mierosławskiego, którego powrotu lada dzień oczekiwać należało. Że zaś w Poznaniu samym Mierosławski nie mógłby się ukrywać zadługo z powodu śledzącej nas na każdym kroku policji i obstrzeżeń władz pruskich, które coraz nowe zarządzały ostrożności, należało koniecznie wyszukać na prowincji miejsca u jakiego mniej podejrzanego obywatela, u którego Mierosławski mógłby się na parę dni przechować. Mówię na parę dni tylko, bo niebezpiecznym było, aby dłużej w jednym miejscu przesiadywał.

Polecono więc Malczewskiemu, aby się wystarał o takie miejsca bezpieczne, w których Mierosławski byłby mógł odbywać narady ze związkowymi, bez ściągania na siebie podejrzeń policji. Zebrania te miały się urzą-

dzać pod pozorem polowań, na które tylko zaproszeni zgromadzać się mogli. Jednym z takich miejsc były Świniary, u obywatela Rowińskiego, człowieka podeszłego już w wieku i całkiem niepodejrzanego policji.

Mierosławski po powrocie z Krakowa zabawił tylko parę dni w Poznaniu dla naradzenia się z głównymi sprzysiężonymi, poczem w pierwszych dniach lutego Malczewski odwiózł go do Świniar z poleceniem, aby się ściśle zastosował do danej mu instrukcji i aby nie zostawiał Mierosławskiego w tem miejscu dłużej, jak 3—4 dni.

Dla porozumienia się ze związkowymi na prowincji umówiono polowanie w Srebrnej Górze, u obywatela Mateusza Moszczeńskiego. Na to zebranie zawiozła p. Malczewska Mierosławskiego, a po odbytej naradzie Malczewski, stosownie do danego mu polecenia miał odwieźć Mierosławskiego w inne miejsce.

Tymczasem Mierosławski pomimo nalegań nie chciał opuścić Świniar, gdzie dotąd przebywał, podając za przyczynę, że niedomaga na zdrowiu, i że gdzieindziej nie znalazłby może takich wygód, jak u pp. Rowińskich. Musiano więc odwieźć go do Świniar, gdzie go w parę dni aresztowano. Pokazało się zatem, że zalecane przeze mnie ostróżności nie były zbyt ważnymi, i że Mierosławski z własnej winy ściągnąć na siebie musiał uwagę policji. Scena jego aresztowania, jak nam to w więzieniu opowiadał, odbyła się w sposób następujący:

W dniu 12 lutego zrana o godzinie 10 postąpił jakiś niezwykły ruch w podwórzu. Wyjrząwszy przez okno, ujrzał kilku żandarmów otaczających dom mieszkalny, a za nimi na bryczce gościa w mundurze z czerwonym kołnierzem. Był to komisarz obwodowy z Klecka, nazwiskiem Uhlmann, który natychmiast udał się do mieszkania Mierosławskiego. Ten ostatni, jak tylko ujrzał żandarmów, zamknął drzwi na klucz i zajął się paleniem papierów, których nazbyt wiele nawet posiadał. Wrzucione w ogień papiery nie chciały się palić, bo ich za

wiele naraz wrzucił w piec, a tymczasem komisarz groził wysadzeniem drzwi, jeśliby mu ich dobrowolnie nie otworzono. Mierosławski był zatem zmuszony drzwi otworzyć, a komisarz z żandarmem weszli natychmiast do jego mieszkania, przygasili ogień i zabrali niedopalone papiery wraz z tymi, które w jego kuferku były pozostały; samego zaś aresztowano, sprowadzono na dół, wsadzono na bryczkę, którą komisarz przyjechał i odwieziono go wprost do Gniezna; stamtąd w nocy przewieziono go pod strażą dwóch żołnierzy i policjanta do Poznania.

Malczewski dowiedział się natychmiast o aresztowaniu kogoś obcego, który bawił w Świniarach i domyślił się, że tym aresztowanym może być tylko Mierosławski. Spodziewając się zaś, że Prusacy w nocy przewiozą więźnia do Poznania, wysłał oddział z kilku ludzi złożony na bity gościniec do tegoż miasta prowadzący, a Piusowi Arnoldowi polecił, aby na bryczce patrolował około Gniezna.

Tymczasem Prusacy przewieźli go boczną drogą, nie spotkawszy żadnej przeszkody. W Poznaniu nie wiedziano o tym wypadku i ja 13 lutego po obiedzie wyjechałem do Kociałkowej Górki, dokąd i Mierosławski miał przybyć, a gdybym go tam nie zastał, miałem jechać do Dominowa, gdzie i on z pewnością miał się znajdować. Przybywszy do Kociałkowej Górki, uderzyło mnie, że nietylko Mierosławskiego, ale nawet gospodarza domu, Tadeusza Radońskiego nie zastałem na miejscu. Pojechawszy do Dominowa, zastałem Apolinarego Kurnatowskiego, który się stawił na umówione tamże zebranie. Czekaliśmy może do godziny 3 po obiedzie, a gdy nikt więcej się nie pojawił, postanowiliśmy wrócić do Poznania mocno zakłopotani, że Mierosławski nie przybył.

Obadwaj przeczuwaliśmy, że musiało zająć coś złego, a Kurnatowski, który był jednym z 4 wysłańców na Księstwo, zaraz po powrocie Mierosławskiego z Kra-

kowa wyprawionych, opowiedział mi, że zajechawszy nazajutrz po odebranych hasłach obu komisarzy powiatowych jego okręgu—do Orzeszkowa, do zacnego starca Kasyusza. Był obecnym, jak sołtys miejscowy przyniósł gospodarzowi domu wiadomość, że był wraz z innymi sołtysami do komisarza zawezwany i że odebrali wszyscy polecenia, aby ściśle uważać, bo rozjechało się kilku panów do zawiadomienia mieszkańców o dniu rewolucji.

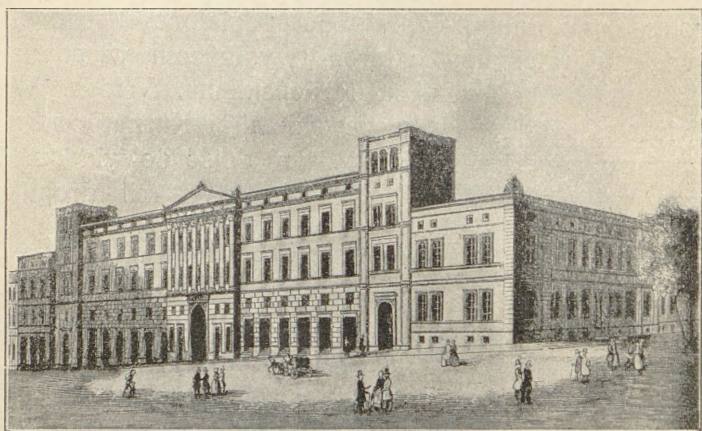
Nie mogliśmy się obadwaj połapać z myślami, jakim sposobem w dniu wczorajszym udzielono instrukcji w największej tajemnicy czterem wysłańcom w powiaty, a mianowicie Anastazemu Radońskiemu. Włodz. Wolniewiczowi, Adolfowi Malczewskiemu i Kurnatowskiemu zacnemu mogły już na drugi dzień dojść do wiadomości komisarza obwodowego pruskiego, o 8 mil drogi do Poznania.

Tak zaniepokojeni dojechaliśmy do bramy warszawskiej, a tam żołnierz stojący na straży nie chciał nas wpuścić, powiadając, że niewolno nikomu do miasta wjeżdżać. Oświadczyliśmy, że jesteśmy z Poznania i żeby nas zameldował na odwachu komu należy. Na to wyszedł oficer, zapisał nasze nazwiska i dopiero pozwolił wjechać do miasta. Nie było już wątpliwości, że zająć musiało coś bardzo niebezpiecznego.

Wjechawszy na Chwaliszewo, zastaliśmy ulice całkiem opróżnione, chociaż pora nie była jeszcze zbyt opóźniona. Kiedyśmy dojechali do mostu Chwaliszewskiego, ujrzelśmy na drugiej stronie nałożone na ulicy ognie i przy nich dwie kompanie żołnierzy. Nie zatrzymywano nas i podążyliśmy ulicą Szeroką na Rynek, stamtąd na prawo ulicą Wroniecką, a potem skręciwszy na lewo, jechaliśmy wprost ku alei, ku pałacowi Ziemstwa Kredytowego, bo konie i powóz należały do dyrektora Ziemstwa Jarochońskiego. Tam kazałem przystanąć, wyskoczyłem z powozu, w którym zostawiłem płaszcz futrzany i kalosze, a sam skręciwszy na

lewo, udałem się do mojego mieszkania, zaniepokojony o żonę moją, która właśnie spodziewała się choroby. Zastałem ją nadspodziewania spokojną i z pełną rezygnacją przygotowaną na los, jaki mnie spotkać może. Posłałem natychmiast po d-ra Mateckiego, który żądał, aby go zawiadomić skoro tylko powrócę.

Przyszedł więc natychmiast i zawiadomił mnie pokrótce o tem co zaszło. O godzinie pół do drugiej z południa wystąpiło wojsko, policja i żandarmi; obstawiono



Bazar w Poznaniu.

(Według drzeworytu wykonanego w r. 1848).

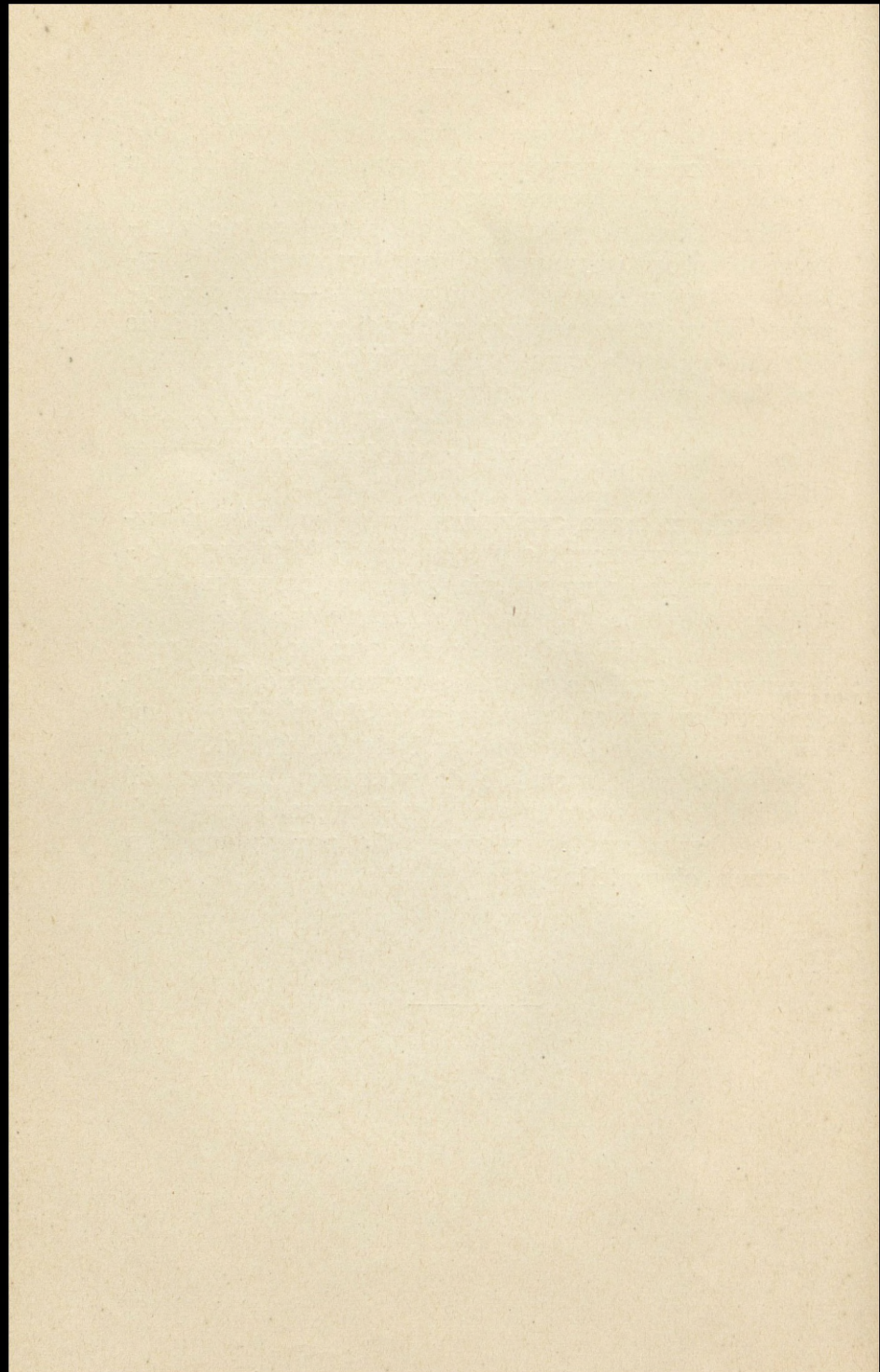
pomieszkania osób podejrzanych rządowi i rozpoczęły się aresztowania wraz z rewizjami. Równocześnie na całej przestrzeni Księstwa zarządzono aresztowania i mocno mnie zastanowiło, że wedle tego co mi Matecki powiedział, wychwymano wszystkich związkowych komisarzy w powiatach. To już nie mogło być dziełem przypadku.

W całym mieście podejrzywano Henryka P., że przed prezesem policji Minutolim, z którym żył w ścisłej przyjaźni, miał się wygadać o związku i o osobach do

niego należących. Wszystkie panie, które wówczas bawiły w Poznaniu, przychodziły odwiedzić moją żonę, a przytem stwierdzały powyższe podejrzenia.

Matecki radził mi uciekać, ale rady jego nie przyjąłem, bo skoro wszyscy moi współpracownicy i przyjaciele polityczni dostali się do więzienia—mnie nie wypadło oddzielić się od nich; z drugiej strony widząc, że całą głowę odcięto związkowi, nie było sposobu prowadzić dalej przygotowań do wybuchu, a więc i ucieczka moja mogłaby tylko była mieć na celu ochronienie własnej osoby, gdy nie było możliwości służenia sprawie publicznej.

Nazajutrz zrana aresztowano mnie w moim mieszkaniu i zaprowadzono do prezesa policji Minutolego. Zapytałem go zaraz na wstępie, jaka jest przyczyna mojego aresztowania. Odpowiedział, że nie wie i że działa z rozkazu komisji śledczej, a zarazem dodał, że mnie bocznymi ulicami do więzienia zaprowadzić każe. Podziękowałem mu za tę względność, ale dodałem, że nie popełniwszy żadnej zbrodni, w biały dzień i głównymi ulicami iść mogę spokojnie do więzienia. Zaprowadzili mnie do dawniejszego lazaretu wojskowego, który chwilowo przeznaczono na więzienie dla pochwytanych w Księżtwie obywateli.



CZĘŚĆ II.

W cytadeli poznańskiej. — Rozmowa z prezesem komisji śledczej i komendantem. — W Sonnenburgu. — Kompromitujące zeznania Mierosławskiego. — Troski więźniów. — Rozmowa z Frankenbergiem. — Życie więziennicze. — Przybycie do Berlina. — Śledztwo i szykany w Hausvogtei. — Korowody z sędzią. — W Moabicie. — Zażalenie Henryka Ponińskiego. — Wizyta prezesa sądu. — Sprawa więzienna Mierosławskiego. — Przyczyna jego kompromitujących zeznań. — Jego wykrety. — Przygnębienie oskarżonych. — Odwołanie zeznań. — Narada więźniów. — Oburzenie przeciw Mierosławskiemu. — Twierdzenia jego o „Powstaniu poznańskim“. — Oczyszczające komentarze. — Apostoł z pokolenia Iskarjoty. — Wróżby ks. Łobodzkiego. — „Ojczyznia“ Trentowskiego. — Donosy Emiljana Moszczeńskiego. — Tymczasowe wyzwolenie Guttrego. — Wiara w wizję ks. Łobodzkiego. — Amnestja i tryumf więźniów polskich. —
Wpływ r. 46 na ducha narodowego.

Koleje moje przez czas więzienia były dosyć ciekawe i dlatego postanowiłem sobie opisać je szczegółowiej, choćby tylko jako wspomnienie przeszłości.

W lazarecie wojskowym przesiedziałem dwa dni tylko. Przeprowadzono mnie do cytadeli, gdzie 40 stópni pod ziemią przeznaczono dla mnie więzienną celę w Rawelinie Nr. 4-ty. Była to strzelnica, zbudowana do obrony wałów, jedynie tylko małym otworem opatrzona, przez który piechota w czasie oblężenia razić mogła nieprzyjaciela ogniem karabinowym. Cała była świeżo wyrzucona wapnem, ściany więc były mokre; zrobiono do zamykania otworu okienko nie przymykało się całkowicie, śnieg więc w czasie zawiei wlatywał do

wnętrza i zasypywał moje łóżko; podłoga z grubych dwucalowych desek nie była przybita i wiatr ze spodu dał również do wnętrza i pomnażał zimno, że od niego ręce i nogi kostniały. Cela od tyłu była zamknięta przepierzeniem z grubych desek, z rodzajem sztachetów u góry, przez które ciepło z palącego się na korytarzu pieca żelaznego przechodzić miało dla ogrzania jej wnętrza, ale zamiast ogrzać więzienie, cały ten przyrząd rozszerzał tylko swąd z pieca żelaznego.

Skoro przybyłem na miejsce, dozorca więźniów spytał mnie, czy żądam, żeby mi przyniesiono kolację. Odpowiedziałem, że mi się jeść nie chce, bo postanowiłem sobie, albo się wydostać z tej dziury, albo się głodem zamorzyć. To ostatnie było tylko dalekiem przypuszczeniem, bo wiedziałem, że będę potrzebnym do śledztwa i że zmuszę komisję tym sposobem do przeznaczenia mi innego więzienia.

Na drugi dzień odmówiłem również śniadania i obiadu, a o kolację dnia tego już mnie nie pytano. Tak samo i dni następnych nie troszczono się już wcale o mnie.

W tym samym oddziale siedzieli obok mnie: Białokórski, Malczewski Adolf, Trzeciński Walenty i Władysław Kościelski, późniejszy Sefer-Basza.

Mogliśmy przez owe sztachety rozmawiać ze sobą, kiedy im powiedziałem o moim zamiarze mocno się zakłopotali, obawiając się, aby ze mnie osłabionego głodem Niemcy nie zdołali wyciągnąć jakich zeznań. Uspokoiłem ich, że o niczem nie wiem, więc też niczego zeznać nie mogę.

Trzeciego dnia wieczorem przybył do mnie prezes komisji śledczej Frankenberg, zapytał mnie o moje nazwisko, a ja nawzajem zapytałem, z kim mam zaszczyt rozmawiać. Odpowiedział, że jest szefem wszystkich sądów w Ks. Poznańskim, czy zadowolony jestem z żywności; oświadczyłem mu że najzupełniej. Na to odezwał się dozorca więźniów, że ten pan od czasu jak został odstawiony do więzienia, żadnego pożywie-

nia przyjąć nie chciał. Frankenberg zapytał mnie, dlaczego to robię; — odpowiedziałem, że postępowanie ze mną uważam za bezprawne. Na to odrzekł, że w tej mierze pozostawić muszę sąd jemu i komisji śledczej, dodając, że sobie tylko zaszkodzić mogę, bo za karę mogę się dostać do gorszego jeszcze więzienia.

— Co do tego, odpowiedziałem, „raczy mnie pozostawić wolność działania“.

Oburzony p. prezes, odrzekł:

— I owszem, jak się panu podoba. Czy nie masz pan jakiego innego żądania?

— Owszem, odpowiedziałem, proszę o arkusz papieru, abym mógł zażalenie do naczelnego prezesa przesłać, ale zarazem proszę, aby mi pozwolono pisać w innym miejscu, bo w tej dziurze ręce drętwieją od zimna.

Polecił więc dozorczy więzienia, abym u niego napisał owe zażalenie. Jakoż tego jeszcze wieczora napisałem do naczelnego prezesa i między innymi oświadczyłem, że gdzie się sprawiedliwość kończy, tam się zaczyna gwałt i samowola; tam niema winnych, tylko—ofiary.

Nazajutrz zrana dnia 4 mojej głodowej kuracji, przysłano mi doktora, jakiegoś p. Kohen, który zaczął mi perswadować, że upór mój będzie bez skutku, a tylko sobie sprowadzę śmierć połączoną z wielkimi cierpieniami. Nareszcie zapytał mnie czy nie cierpiałem kiedy na zapalenie mózgu.

— Co pan przez to rozumiesz, odpowiedziałem, czy pan sądzisz, że ja warjat jestem?

— Trudno przypuścić, powiedział, aby człowiek przy zdrowych zmysłach mógł powziąć podobny zamiar.

— Mój panie doktorze, kiedy pan przyjdiesz do celi więźnia, nie zostawiaj pan szlachetnych uczuć człowieka za drzwiami, jak tureckie pantofle, odpowiedziałem mu na to.

— W takim razie, odpowiedział z gniewem, moja misja ukończona — i wyszedł.

Jak się później dowiedziałem, obgadał mnie po całym mieście, że jestem dzikim człowiekiem.

W kwadrans może po tem zajściu zjawił się u mnie w celi sędzia, nazwiskiem—jeżeli mnie pamięć nie myli—Jonnemann i oświadczył, że przybywa na mój wniosek dotyczący zmiany więzienia. Odpowiedziałem, że takiego wniosku nie stawiałem i że o zmianę więzienia prosić nie myślę, jak nie prosiłem, aby mnie do tej nory wsadzono. Zaczął tedy przedstawiać, że taka prośba nie ubliży mojej godności osobistej, że to jest forma tylko, do której muszę się zastosować bez żadnych szkodliwych dla mnie skutków. Odpowiedziałem mu krótko, że pod żadnym warunkiem takiej prośby do prześwietnej komisji śledczej nie podam. Po tej kategorycznej odpowiedzi zaczął mnie prosić, abym się nie upierał, ile że on chodził z moim bratem do szkół i z pewnością nie byłby zdolnym proponować czegoś takiego, coby mnie narazić mogło na jakikolwiek zarzut ze strony opinii publicznej.

Alé wszystko to nic nie pomogło i ja nie odstąpiłem od raz powziętej myśli. Wtedy, powiada, że on jako sędzia zrobi ze swojej strony przedstawienie, że cela jest tak zimna i wilgotna, iż w niej sam dłużej nad godzinę wytrzymać nie był w stanie. Jakoż poszedł ogrzać się do pieca, bo ręce mu tak zziębły, że pisać nie mógł. Wróciwszy napisał istotnie przedstawienie ze swojej strony i podpisawszy się na niem prosił mnie, abym i ja się podpisał. I tego nie chciałem zrobić, ale jak mnie zaczął namawiać i przedstawiać, że to co napisał mogłaby komisja śledcza uważać za mieszanie się w nieswoje rzeczy, skoro ja jako więzień z jego przedstawieniem się nie zgadzam—podpisałem skrypt.

On zabrawszy papiery wyszedł i widocznie komisja śledcza musiała być zebrana u góry w pomieszkaniu dozorca, bo w niespełna 10 minut przyszło dwóch posługaczy, zabrało moje rzeczy i przewieziono mnie do miasta, do więzienia kryminalnego, w którym pozostałem aż do 3 marca.

Był to dzień, w którym Niegolewski Władysław miał zamiar dostać się z przygotowanymi ludźmi do wnętrza cytadeli i uwolnienia z niej naczelników powstania. Było to bardzo szlachetne przedsięwzięcie, ale chociażby się było powiodło, choćbyśmy byli mogli wy-dostać się z więzienia— już dla sprawy publicznej nie byłibyśmy mogli nic działać, bo każdego z nas przy pomocy policji i żandarmów można było przyaresztować, skoroby się w swoich pokazał stronach. O zorganizowaniu zatem i wprowadzeniu do Królestwa jakiegokolwiek siły z Poznańskiego mowy już być nie mogło, nie mniej jednakże czyn Niegolewskiego nosi na sobie cechę szlachetnego poświęcenia dla sprawy publicznej. W dniu tym 3 marca wieczorem usłyszałem strzał alarmowy armatni, a niedługo potem turkot armat pędzących w galopie przez miasto, a za nimi odgłos licznej kawalerji klusem podążającej. Nie znając przyczyny tego alarmu, bardzo się zaniepokoiłem w mojem więzieniu i pewny byłem, że to oznaka jakiegoś nowego nieszczęścia. Wieczorem zaś na drugi dzień wywieziono mnie do Głogowy i osadzono w więzieniu na pierwszym piętrze obok odwachu i zamknięto na siedem zamków.

Tam przy zabitych deskami oknach nie widziałem świata przez sześć tygodni. Plackomendant tej fortecy, którego nazwiska zapomniałem, kazał mi się rozebrać zaraz po przybyciu mojem do więzienia i szczerze zrewidował z pomocą podoficera mnie całego i rzeczy moje, czy nie mam przy sobie pieniędzy lub papierów; następnie zabrał mi tytoń i cygara, ale fajki pozostawił na oknie.

Kiedy mu zwróciłem uwagę, że zabrawszy tytoń, może zabrać i fajki, odpowiedział, że nie ma na to rozkazu. Było to zapewne rozporządzenie do rozbudzenia tęsknoty do palenia, które więźniowi, odłączonemu od reszty świata, jakiegokolwiek rozstargnienie myśli sprawić mogło. Niewolno również było palić świecy, a przy zabitych deskami oknach o godzinie pół do 3-ej z południa

całkowity zmrok panował w izbie. Nie dość na tem, gdy mi przyniesiono obiad, żołnierz z nabitą bronią i podoficer wraz z posługaczem pilnowali mnie, abym sobie nożem nie odebrał życia, co nawiasem powiedziawszy więcej wyglądało na utrapienie więźnia, niż na jakąbądź obawę samobójstwa, bo nóż był tak tępy, że nim niczego ukrajać nie było podobna. Placmajor odwiedzał mnie codziennie zrana, a że był człowiek rozmowny, więc mnie wywabił na pogawędkę, a pomiędzy innymi pytał mnie się, jak mi się podoba w więzieniu.

— Bardzo dobrze, odpowiedziałem.

— Przebacz pan, mówił, ale temu uwierzyć nie mogę; więzienie pańskie jest tak obostrzone, że niepodobna, abys pan tej surowości uczuć nie umiał.

— Przecież, odpowiedziałem, znajdujesz mnie pan spokojnym i nie skarżę się panu na obchodzenie się ze mną.

— To prawda, odrzekł, ale z drugiej strony wydziwić się nie mogę, jak taki człowiek jak pan, mógł się dać nakłonić do spisku.

— A kto panu powiedział, odparłem, że ja do spisku należę? o niczem nie wiem, do niczego nie należałem i przekonany jestem, że mnie z więzienia uwolnić muszą.

— Kogo? pana? zawołało z zadziwieniem stare placmajorzysko, prędzej mnie na dłoni włosy wyrosną, zanim pana sąd za niewinnego uzna. Pan siedzisz po uszy w tej historii.

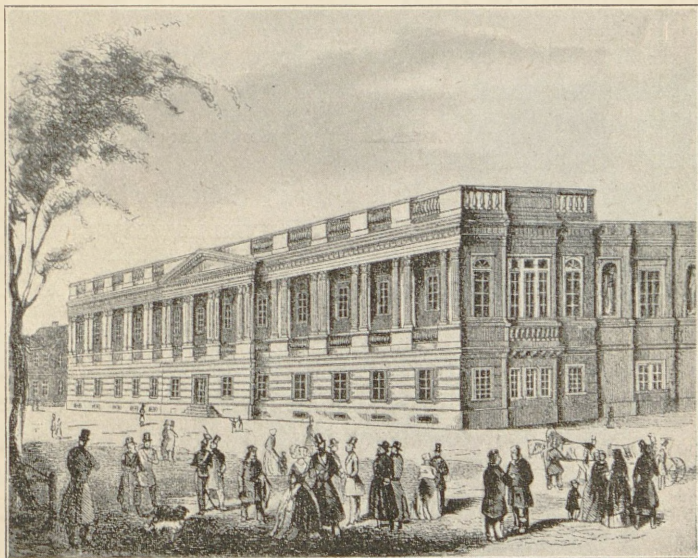
— Ej, majorze, odrzekłem, ja będę wolnym i po mojem uwolnieniu dam panu wiadomość o sobie.

— Zrób to pan, odpowiedział, a możesz być przekonany, że się szczerze tą wiadomością ucieszę.

— Dziękuję panu bardzo, odparłem, za łaskawą życzliwość jego, a tymczasem korzystając z tej życzliwości, proszę, jeżeli to się zgadza z przepisami służby pańskiej, abys do żony mojej napisać raczył parę słów z doniesieniem, że zdrow jestem. Wszakże to tylko na

uspokojenie obaw biednej kobiety, która nie wie co się ze mną stało i czy jestem jeszcze przy życiu.

Po krótkim namyśle zapewnił mnie, że napisze i — dotrzymał słowa. W parę tygodni później, pytał mnie, czybym chciał palić fajki lub cygara. Odpowiedziałem mu, żebym chętnie palił, gdyby wolno było.



Biblioteka Raczyńskich w Poznaniu.

Otwarta w r. 1829.

(Według drzeworytu współczesnego).

— To pan zrób podanie, odrzekł, a ja je zabiorę i przedstawię komendantowi fortecy, generałowi Brandenstein, a przekonany jestem, że na to zezwoli.

— A nie, odparłem, podania żadnego robić nie będę. Jeżeli wolno, to dobrze, a jeżeli niewolno, to się obejdę.

— Jaki z pana człowiek uparty, zauważył stary placmajor, to ja już biorę na moją odpowiedzialność i tytoń i cygara panu oddaję.

Podziękowałem mu i poczęstowałem go cygarem, które zaraz sobie zapalił.

— Ale pan w takiej ciemności siedzisz, może pan chcesz żebym panu i świecę oddał?

— Ja nic nie chcę, ale jeżeli wolno światło palić, to wolę, niż ciemno siedzieć.

— Znowu to samo, odrzekł, ja takiego człowieka jak pan w mojem życiu nie widziałem.

— A to się cieszę niewymownie, że panu dostarczyłem takiego egzemplarza.

Przyniósł mi świecę i dodał, że ze mnie rzeczywiście ciekawy egzemplarz.

Obok mnie na dole, ale o drugą ścianę siedział ktoś którego przywieziono z Galicji. Porozumiawszy się z nim za pomocą głosu, bo nie wiedziałem, czy zna porozumiewanie się przez pukanie w ścianę, prosiłem go, aby śpiewając głośno, opowiedział mi, co się w tamtych stronach dzieje. Wyśpiewał mi tedy na nieszczęście, że wszystko przepadło, i że chłopci mordują szlachtę w całej Galicji. Na tę wiadomość pierwszy raz po mojem uwięzieniu gorzko zapłakałem. Więcej z nim porozumiewać się nie mogłem, bo mu śpiewać zakazano. Później dowiedziałem się, ale już w Moabicie, centralnem więzieniu pod Berlinem, że wówczas ze mną siedział w Głogowie i Adolf Malczewski, ale po drugiej stronie odwachu. Czy więcej nas jeszcze przewieziono do Głogowy, powiedzieć nie umiem, a nazwisko mego śpiewającego towarzysza niedoli wyszło mi z pamięci.

Wkrótce potem przewieziono mnie do Sonnenburga. Było to więzienie przeznaczone dla przestępców i zbrodniarzy, ale w r. 1846-ym wyprzątnięto jedno ze skrzydeł tego gmachu w gwiazdę budowanego i oddano je na pomieszczenie tymczasowe więźniów politycznych. Dyrektorem tego więzienia był niejakiś Borhardt, człowiek już wiekowy i bardzo uczciwy. Kilku z naszych, których tam pierwszych przywieziono, doznało od niego ludzkiego przyjęcia i to spowodowało komisję śledczą do przysła-

nia na jego miejsce z Poznania na urząd dozorcę więźniów politycznych faworyta Frankenbergowskiego, nazwiskiem Szulz, który z całą surowością obchodził się z więźniami.

W Sonnenburgu zaszło kilka przypadków, o których nadmienić muszę. W czasie kiedy uprzątało cele, więźniowie wychodzili na ganek, a naprzeciwko mojej celi było próżne okno, przy którym była cela Kosińskiego. Dowiedziałem się od współwięźniów, że Kosiński tak nieuleczalnie skompromitowanym został zeznaniami Mierosławskiego, iż miał wszystko za stracone i sam straciwszy wszelką nadzieję wydobycia się z rozpaczliwego położenia, przyobiecał złożyć zeznanie swoje na piśmie. Korzystając razu pewnego z chwili, w której uprzątało moją celę, postarałem się z nim skomunikować i zaklinałem go, aby zaniechał nieszczęśliwej myśli przyznawania się do czegokolwiek, wystawiając mu zgubne skutki, jakie stąd dla sprawy, dla innych i dla niego samego wyniknąć mogły. Na to mi odpowiedział, że Mierosławski tak go skompromitował, iż wszelkie zaprzeczenia do niczegoby już doprowadzić nie mogły; że dla niego niema ratunku i że do wszystkiego przyznać się woli. Działo się to, o ile sobie przypominam, w miesiącu maju, a w tym czasie nikt z uwięzionych w Sonnenburgu nie był jeszcze pod śledztwem. Kosińskiemu przeto tylko zeznanie samego Mierosławskiego przedłożono.

Wiadomość o zamiarze Kosińskiego i zeznaniach Mierosławskiego rozeszła się jakby piorunem pomiędzy więźniami i wywołała przeciwko obydwom, ale szczególnie przeciw Mierosławskiemu, ogromne oburzenie. Nazwano go „szują“ i tylko tego przydomku w rozmowach o nim używano. — Nadmienić muszę, że okna cel więzionych tak były osadzone, że za ledwo ręką do nich dostać było można, ale wszedłszy na stołek, można było rozmawiać z sąsiadami pomimo rozstawionych straży, bo echo tak się odbijało, iż żołnierz nigdy nie mógł wiedzieć, w którym miejscu pomiędzy więźniami rozmowa się toczy.

Zeznania Mierosławskiego wpłynąć musiały szkodliwie na mniej silne charaktery, a słabe do zupełnego przywieść upadku, jak tego dowodem memoriał przez Kosińskiego dla komisji śledczej sporządzony. Później jeszcze obszerniej się zastanowimy nad całą tą sprawą, tutaj tylko wspomnę o dalszych wypadkach, jakie zaszły w Sonnenburgu.

Codziennie wypuszczano nas dla użycia świeżego powietrza do ogrodu, przyległego do naszego więzienia, gdzieśmy mogli widzieć twarze uwięzionych, a po części rozmawiać ze znajomymi. Że zaś co parę dni wypuszczano nas do ogrodu po drugiej stronie więzienia leżącego, mogliśmy i tam tak samo udzielać sobie wiadomości. Zdarzyło się więc, że po tej drugiej stronie zobaczyłem Karola Libelta w oknie, który mi powiedział po francusku, że rzeczy źle idą, bo ci właśnie, którzy powinni by milczeć jak grób, śpiewają przed komisją wszystko, co im ślina do ust przyniesie.

— Ha, to muszą coś wiedzieć, kiedy śpiewają, odpowiedziałem, ale my, którzy o niczem nie wiemy, nie będziemy mogli nic wyśpiewać.

Następnie zobaczyłem Kurnatowskiego Apolinarego w oknie.

— Olesiu, powiada do mnie, bardzo źle ze mną, bo mi odbierają sędziego śledczego, który jest uczciwym człowiekiem, a chcą mi dać Dunkera, którego się obawiam.

Na to odpowiedziałem:

— Gdyby miał przyjść do ciebie Dunker, to złap go za łeb i wyrzuć za drzwi, bo skoro byłeś pod śledztwem sędziego, nie potrzebujesz pozwolić się indagować przez policjanta i to oświadczyć twojemu sędziemu i zaklnij się na słowo, że tak zrobisz. A zresztą, pocóż się masz obawiać kogokolwiek, kiedy nic nie wiesz, niczego zeznać nie możesz, drobniejszych szczegółów, to możesz niepamiętać.

— Więc nie nie mówić, powiadasz, choćby baty bili?

— Nie, odparłem i tak zrób, jak ci mówię, a będzie dobrze.

Jakoż trzeciego dnia przechodząc koło jego okna, usłyszałem następujące słowa:

— Niech ci Bóg da zdrowie, Olesiu, twoja rada poskutkowała doskonale, bo kiedy mi sędzia oświadczył, że bardzo żałuje, iż mnie dłużej nie będzie mógł indagować, bo go odwołują do Berlina, ale że przynajmniej na jego miejsceznaczony człowiek, który ze wszech miar zasługuje na szacunek, to jest pan radca policji Dunker, oświadczyłem natychmiast p. sędziemu, że jak się Dunker poważy wejść do mojej celi, to go złapię za kark i za drzwi wyrzucę. Kiedy to powiedziałem, otwierają się drzwi i wchodzi Dunker, a mój sędzia zabrał czemprędzej papiery i wyprowadził Dunkera ze sobą za drzwi.

Już nie pomnę, kogo potem Kurnatowski dostał za sędziego śledczego, ale z pewnością niewiele lepszego od Dunkiera, bo oni wszyscy niewiele byli warci. Uczciwsi nie chcieli podjąć się tego obowiązku, a ci, których komisja wybrała, czyhali tylko na sposobność, aby podchwytującymi pytaniami zmusić więźnia do zeznań kompromitujących. — Przypadek posłużył, że mój pocziwego Kurnatowskiego uwolnił od Dunkerowskiej indagacji, której się biedak bardzo obawiał i łatwo podstępny policjant mógł być z niego wyłudzić jakie kompromitujące zeznanie.

W czasie naszego pobytu w Sonnenburgu odwiedzali nas co dwa miesiące członkowie komisji śledczej, nibyto dowiadując się, czy zadowoleni jesteśmy z żywności. Niektórzy z naszych uważali się, że nam dają nie świeże, cuchnące mięso, ale ja odpowiedziałem zawsze, że jestem zadowolony.

Przybył nareszcie sam pan Frankenberg, znany z zawziętości przeciw Polakom, z którym już miałem dość nieprzyjemną rozmowę w Poznaniu na fortecy. Jakem tego pana, wchodzącego do mojej celi, zobaczył — krew się paruszyła we mnie. To też skoro mnie zapytał, jak jestem

zadowolony z jedzenia, odpowiedziałem, że jedzenie jest najmniejszą rzeczą i gdyby całe prawo człowieka tylko na tem polegać miało, wówczas bylibyśmy porównani ze zwierzętami, a nawet czulibyśmy się niżej zwierząt traktowanymi, bo jestem przekonany, że Wasza Eksce-lencja więcej masz troskliwości dla swoich psów i koni, bo z pewnością pytasz się każdego dnia, czy jeść dosta-ły — nas zaledwie co dwa miesiące raz zapytują o to samo.

Na tę odpowiedź dozorca więźniów Szulz, który był z nim razem przyszedł do celi, pobladł, bo jako podły słu-żalec nie przypuszczał może, żeby tak wysokiemu dygni-tarzowi można wprost powiedzieć, co się ma na myśli. Jego Eksce-lencja zaś wykrzywił usta, jakby do złośliwe-go uśmiechu i z widoczną chęcią pogrążenia mnie, od-rzekł:

— Niech pan nie sądzi, że komisja śledcza nie wie o pańskich sprawkach; my mamy zawsze wiadomości o pewnych zebraniach i uchwałach.

— To mnie bardzo cieszy, przerwałem, że panowie tak dobrze jesteście powiadomieni o wszystkim, bo w takim razie musicie wiedzieć, że ja całkiem jestem obcym podobnym zarzutem, jeżeli to, co Wasza Eksce-lencja do-piero powiedziałaś, ma przeciw mnie być zarzutem.

— Nie będziemy uprzedzali toku indagacji, odparł, z której się przecież prawda wysnuć musi.

— Tak i ja myślę, odpowiedziałem, żebyśmy lepiej indagacji nie uprzedzali. Poczem Frankenberg ukłonił się i wyszedł.

Co się mojej osoby tyczy, to byłem o wiele swobod-niejszy na umyśle, niż w Głogowie, bo mi stąd przynaj-mniej wolno było pisać do żony mojej i miałem wiado-mości od niej samej i o niej, że jest zdrowa; natomiast więzienie było daleko nieznośniejsze z powodu niezmier-nej liczby pluskiew, które przez noc spać nie dały i za-ledwie nad ranem usnąć było można, gdy z ogromnym trzaskiem i hałasem przy odsuwaniu sztab żelaznych, któremi oprócz zamków więzienia nasze były zamykane,

przynoszono nam śniadanie. Cele zaś były tak wąskie, że kiedy usiadłszy na łóżku oparłem się o jedną ścianę, mogłem bardzo wygodnie oprzeć się nogami o drugą. Przytem okna były obrócone na południe i upał słoneczny tak dogrzewał, że się trzeba było do koszuli rozebrać, aby mózdz wytrzymać w tem gorącu. Pół godziny na użycie świeżego powietrza przeznaczone, jeżeli kolej wypadła w godziny południowe, nużyło bardziej, niż siedzenie w celi; to też wielu z nas odmawiało przechadzki o tym czasie.

Pewnego dnia wywołałem ogromne zaniepokojenie w całym więzieniu wskutek następującego zajścia. Będąc przy oknie, zobaczyłem po raz pierwszy Anastazego Radońskiego, który wypuszczony na przechadzkę miał twarz bladą i minę strasznie zasmuconą. Mnie wzięła pustota zaśpiewania mu przez okno jednej zwrotki z piosnek ulotnych z r. 1831-go i zaintonowałem:

Maszeruj wesoło,
Wypogódź tve czoło,
Tak rada uchwala,
Tralalalalala!"

Ostatni wiersz wszystkie piętra powtórzyły ze mną wśród śmiechu i krzyków, tak, że żołnierz stojący na straży zadzwonił, sądząc, że więźniowie rewolucję zrobili. Przybiegł naprzód podoficer od służby, następnie sam kapitan dowodzący załogą i wypalił do nas mowę na ustraszonego, że ma instrukcje bardzo obszerne i że potrafi surowo ukarać podobne wybryki i dodał, żebyśmy nie zapominali, że żołnierze mają broń nabitą. — Dalszych wszakże poszukiwań nie czyniono, bo może mnie, jako sprawcę tego hałasu, byliby zapakowali do ciemnego lochu.

W Sonnenburgu przesiedzieliśmy do września i przez ten czas trzech, albo czterech może, było pod indagacją, zresztą pozostałych uwięzionych śledztwo miało się odbywać w Berlinie, dokąd nas ekstrapocztami pojedynczo

przewożono, a przewożenie owo było tak urządzone, żeśmy późnym wieczorem przybywali do Berlina.

Mnie wsadzono do Hausvogtei, gdzie dopiero w grudniu rozpoczęto ze mną śledztwo.

Dostał mi się za sędziego śledczego Mikieta, prawdziwy rzemieślnik w zawodzie kryminalnym, a oprócz tego człowiek bez czci i wiary, sięgający do środków pruskiem prawem niedozwolonych. Nadużycia jego wykryły się przy rokach sądowych i człowiek ten tak dobrze był skompromitowany przez własnego protokulistę, że udawał chorego, ile razy miał się stawić na termin z oskarżającymi go więźniami.

Śledztwo, które prowadził ze mną w tem więzieniu, trwało sześć tygodni z wyjątkiem niedzieli, codzień zrana od pół do 9-tej do godziny 12-tej i od godziny 2-giej do 6-tej wieczorem. — Ja, dowiedziawszy się za pomocą pukania w ścianę o tem, co sobie pozwalał z innymi więźniami, byłem przygotowany na to, że jeżeli i ze mną pozwoli sobie najmniejszego brutalstwa, wyrznię go kałamarzem w twarz i zbije skórę co się zmieści. Musiał zmiarkować mój zamiar, bo nigdy nie pozwolił wyjść choćby na chwilę swojemu protokuliście, a dla mnie był z uprzedzającą grzecznością. Sam przystawiał mi krzesło i odzywał się do mnie:

— Niech pan radca raczy usiąść.

Jeszcze przed rozpoczęciem indagacji zameldowałem się był, że chcę pisać do domu. Wpuszczono mnie więc do jego kancelarji, gdzie tylko zastałem samego protokulistę. Ten oświadczył mi, że mi niewolno pisać, gdzie się znajduję.

— Cóż to za nowa szykana? odrzekłem i z czyjego to polecenia takie obostrzenie nastąpiło, kiedy w Sonnenburgu wolno mi było pisywać co tydzień i wymieniać miejsce, gdzie się znajduję.

Na to pokazał mi nibyto reskrypt komisji śledczej prostą kartkę, bez podpisu i bez daty. Zobaczywszy ten dokument, domyśliłem się w tej chwili, że to jest podro-

biony rozkaz i powiedziałem, że się do tego nie zastosuję i poprosiłem, aby mi nazajutrz dano arkusz papieru dla napisania zażalenia do rzeczzonej komisji.

Jakoż nazajutrz napisałem zażalenie, ale odpowiedzi nie odebrałem; natomiast zawezwano mnie trzeciego dnia do biura i pozwolono mi napisać w obecności owego protokulisty do domu z datą Berlin, ale bez wymienienia więzienia z zawiadomieniem mojej żony, że list do mnie ma adresować na ręce komisji śledczej. Zdaje się, że wskutek mojego wystąpienia chciał się na mnie zemścić Mikieta i kazał mi powiedzieć, że jeżeli nie każę sobie przysłać pieniędzy z domu, będę dostawał żywność przeznaczoną dla więźniów trzeciej klasy, w której znajdowali się złoczyńcy, lub pochwytni w mieście przez patrole nocne włóczęgi płci obojej. Że zaś wiedziałem, iż na więźniów w klasie Hausvogtei się znajdujących rząd przeznaczał codziennie po piętnaście srebrnych groszy na każdego, odpowiedziałem posłańcowi Mikiety, że mam prawo żądać dla siebie przeznaczonych przez rząd dla więźniów mojego stanu owych 15 srebrnych groszy na dzień, a do domu napiszę, aby mi przysyłano co miesiąc 10 tal., co, jak obrachowałem, wystarczyć powinno.

Znowu więc nie udało się Mikiecie szykanować mnie podobnymi sposobami. W toku indagacji, kiedy mnie na żadnej odpowiedzi pochwyć nie mógł, powiedział mi razu jednego, że moje zapieranie się pogorszyć tylko może moją sprawę, bo przeciw mnie 13-tu współoskarżonych zeznaje.

— Jakto, zapytałem ze zdziwieniem, więc współoskarżeni mają wiarę?

— Najzupełniejszą, odpowiedział Mikieta, daję panu słowo na to.

— To w takim razie, odrzekłem z zimną krwią, niech pan pisze, że należę do związku, ale że mnie do niego przyjął pan Mikieta i jego protokulista, p. Fagiewicz.

— To panu nie uwierzą, odpowiedział.

— Przepraszam, podług teorii pańskiej, że jako

współoskarżony, będę miał zupełną wiarę, a pan zamiast moim inkwirentem, będziesz moim kolegą więzienia.

Widać było w twarzy tego człowieka całą wściekłość, jaką pałał względem mnie i tylko powstrzymywała go obawa przede mną, jak to później opowiedział mi Fagiewicz, który pilnował przy widzeniu się z żoną moją. Powiedział mi dalej, że jak cieszył się na każdego z uwięzionych, którego miał indagować, tak zawsze miał strach potężny, kiedy ja miałem przyjść na śledztwo. Innym razem uderzył w strunę zaufania.

— Ja panu powiem, prawili, kto tego wszystkiego narobił, ale niech to pan zatrzyma u siebie, bo ja to tylko w zaufaniu panu powiadam. Tego wszystkiego narobił Malczewski.

— To niepodobna, odpowiedziałem.

— Daję panu słowo, że prawda; mam akta, z których znam jego zeznania, ale ich panu pokazać nie mogę, bo to niewolno.

Wiedziałem, że to kłamstwo, bo byłem przekonany, że Malczewski niczego nie zeznał, ale chcąc Mikietę podrażnić, odrzekłem:

— Wiesz pan, co ja temu błaznowi zrobię?

Ucieszony Mikietą, że ja coś na Malczewskiego naga dam i że tym sposobem pokłóciwszy dwóch oskarżonych, będzie mógł obydwuch w śledztwie zahaczyć, nadstawił uszu i ciekawie zapytał:

— No?

Ja odpowiedziałem:

— Każę mu, aby mi tego publicznie dowiódł, co na mnie naga dał.

Znowu widziałem w jego twarzy powstrzymaną złość, a ja spokojnie bawiłem się piórem, nie uważając ni by na niego. Wreszcie niedługo przed końcem śledztwa, wyjął z akt kopertę, pokazał mi ją i stanawszy za krzesłem, zapytał, czy nie znam tego pisma? Był to istotnie adres napisany moją ręką do listu, który jeden z emisariuszy Centralizacji, nazwiskiem Tomasz Malinowski, był

przed paru laty pisał do sekretarza poczty w Dreźnie, Martina, będącego pośrednikiem pomiędzy Poznaniem a Wersalem, i który ja po niemiecku zaadresować musiałem, bo Malinowski nie znał tego języka. Zobaczywszy ową kopertę, zacząłem pilnie spoglądać na nią, a czułem, że z tyłu Mikieta kiwa na protokulistę, że mnie teraz zła-pał. Po dość długiej chwili wpatrywania się w charakter pisma, powiedziałem z zimną krwią Mikiecie:

— Wiesz pan, iż gdybym nie wiedział, że takiego listu w życiu mojem nie pisałem, przysięgłbym, że to moja ręka.

— O, powiada, to „W“ zupełnie pański charakter.

— Widzisz pan, powiadam mu, że ja lepiej mogę odnaleźć podobieństwo do mego pisma, niż ktokolwiek obcy—w tym „W“ właśnie widać naśladowanie, pewien przymus ze strony piszącego, kiedy przeciwnie napisane po polsku „in Dresden“, jest zupełnie do mojego pisma podobne.

Na to osłupiał i nie wiedział co powiedzieć, ale wreszcie dorzucił:

— Nie podobna przecież, aby ktoś miał pańską rękę naśladować.

— Najlepszy sposób, odrzekłem, zapytajcie tego Martina, czy on mnie zna i czy był kiedykolwiek ze mną w jakiej korespondencji.

— No, tak, tak, odparł, ale może pan znasz tę rękę, która pisała list w tej kopercie przesłany — i pokazał mi list, który Tomasz Malinowski był napisał, jak już wyżej wspomniałem.

— Ta ręka, powiadam, jest podobna do jakiegoś pisma, które znam, ale sobie przypomnieć w tej chwili nie mogę, kto pod obcym pisze charakterem.

— Wszakże to pismo podobne do ręki Słupeckiego? zapytał Mikieta.

— Jest podobieństwo, odrzekłem, ale to jednak nie jest jego pismo.

— Potem dopiero pokazał mi podpis, który zaczynał

się od liter Sł., ale przekreślone obie litery zakrawały na H.

— Jakbyś pan czytał to nazwisko? zapytał mnie.

Przypatrzywszy się, powiedziałem:

— To tak wygląda na „Huperlin.“

— Tak, odparł Mikieta, ale to mogłoby być także Słupecki.

— A ja znowu powiadam, że mogłoby być Słupiński.

Potem zapytuje mnie, czy nie wiem, kto ten list pisał.

— Skądże ja o tem mogę wiedzieć, weźcie pod indagację Huperlina, Słupińskiego, albo Słupeckiego, to może dojdziecie tego, kto pisał.

Nie mogąc nic wydobyć ze mnie, chciał mi podsunąć inne znaczenie mojego zeznania w protokule i podyktował, że ja powiedziałem, iż wspomniany list pisał Słupecki. Ja pozwoliłem napisać to w protokule, ale jak przyszło do czytania, zaprotestowałem, że tego nie powiedział, co w protokule napisano.

— Nie? a jakże pan powiedziałeś?

— Powiedziałem, że pismo podobne do pisma Słupeckiego, ale dodałem zarazem, że to nie jest całkowicie Słupeckiego charakter.

— Ależ to trzeba było zaraz zwrócić mi uwagę, kiedy dyktowałem.

— A co mnie do tego, odparłem, co pan dyktujesz, ja uważam wtedy dopiero, jak mi odczytują protokół.

Musiał kazać cały arkusz wyjąć i napisać tak, jak zeznałem. Wszystko to jątrzyło go ogromnie i musiał się na mnie uskarżać przed inspektorem więzienia, bo tenże przyszedłszy raz do mojej celi na pogawędkę, zaczął się uśmiechać, patrząc na mnie tak, że mnie ta wesołość jego zniewoliła do zapytania, z czego się tak cieszy? Odpowiedział ze śmiechem, że Mikieta okropnie na mnie zawzięty.

— To mnie mało obchodzi, odrzekłem, ale jego pan przestrzeż, żeby się miał na baczości ze mną, bo za naj-

mniejszą niegrzeczność sprawię mu takie ciągi, że mnie całe życie popamięta.

Na to zrobiwszy minę poważną, odparł:

— Wiem, że śledztwu żadnego nie zrobię uszczerbku tem, co panu powiem, bo od samego początku jak pana zobaczyłem, przyszedłem do przekonania, że sędzia śledczy nic z pana nie wydobędzie; ja przecież znam się na fizjognomjach, bo już wielu bardzo więźniom miałem sposobność się przypatrzeć. Otóż posłuchaj pan mojej rady i zatrzymaj nadal zimną krew, bo tym sposobem masz go pan w swojej mocy. Nech on się wścieka na pana, to lepiej, jak gdyby pana chwalił, a spokój pana przy śledztwie tak dalece go drażni, że on nie jest w stanie zachować zimnej krwi, jaką pan zachowujesz — przeciwnie, gdybyś się pan uniósł, mógłbyś mu pan dać sposobność do wzięcia góry nad panem.

— Ja, odpowiedziałem, z najzimniejszą krwią mógłbym mu potężną sprawić łaźnię i cóżbyście mi mogli zrobić więcej? Chyba mi nałożyć kajdanki, które już nie jednemu więźniowi politycznemu, większe daleko zasługi posiadającemu, jak ja, nieraz założono.

— To prawda, przerwał, ale zawsze radzę zachować zimną krew.

Inspektor ten nazwiskiem Franz był niezłym człowiekiem i tak dalece dla mnie względny, że w nowy rok zaprosił mnie do swego mieszkania wieczorem. Oczywiście nie przyjąłem tego zaproszenia, z obawy, aby go ktoś nie denuncjował, wskutek czego mógł być utracić swoją posadę. Na drugi dzień podziękowałem mu bardzo grzecznie i wymieniłem powody, dla których z zaproszenia jego nie skorzystałem.

W parę dni później przybył do mnie zrana z miną wesołą i zapytał, czy mnie hałas nocny nie zbudził.

— Słyszałem, rzekłem, jakieś krzyki, ale się nie mogłem domyślić, coby to być mogło.

— No, mieliśmy rodzaj buntu w naszej Hausvogtei. Przyprawdzono nam w nocy kilkudziesięciu wałęsają-

cych się przemysłowców i kobiet złego prowadzenia, schwytyanych przez nocne patrole. Nie mając próżnych miejsc, musieliśmy zasadzić wszystkich mężczyzn do jednego więzienia, a obok nich wpakowano wszystkie kobiety. Tymczasem w nocy te łotry przebili ścianę do kobiet i wszyscy przeszli do ich oddziału. Jak długo trwał ten improwizowany bal, nie umiem powiedzieć, ale krzyki, hałasy i śmiechy zwróciły uwagę posterunków i ci znać dali, że się coś nadzwyczajnego dzieje w tych więzieniach. Nie mogliśmy tym łotrom dać rady i musieliśmy sprowadzić wojsko, które ich kolbami do porządku przywróciło. Musiano i przeciw kobietom użyć gwałtu, bo nie chciały dobrowolnie pójść do innego więzienia.

— Ależ to widzę, u was żartów niema, dodałem, a obok mnie siedzi jakaś kobieta, która po całych dniach głośne ze sobą prowadzi rozmowy, już to modląc się, już też przygotowując sobie odpowiedzi na możliwe zapytania sędziego śledczego.

Chciałem się pozbyć tej sąsiadki, bo nam przeszkadzała w pukaniu w ścianę, a nade mną miał kwaterę Apolinary Kurnatowski, z którym po całych nocach porozumiewaliśmy się w ten sposób, że on chodząc wydeptywał litery, ja znowu wszedłszy na stołek w sufit uderzałem cybuchem tak, że nikt nie mógł pomiarkować, a tem mniej podejrzывать, że chodzenie po celi jest sposobem porozumiewania się pomiędzy więźniami, ile że ja uderzenia w suficie ściśle stosowałem do odgłosu, jaki kroki Kurnatowskiego sprawiały. Inspektor zaręczył mi, że niedługo sąsiadka moja mnie opuści, bo będzie powołaną przed sędziego śledczego. Jakoż po trzech dniach nie było jej już w celi, ale my z Kurnatowskim pozostaliśmy przy dotychczasowym sposobie porozumiewania się z obawy, aby na miejsce niewiasty nie wpakowano szpiega, któryby nas mógł podsłuchiwać. Niedługo jednak już trwała nasza korespondencja, utrzymywana za pomocą nóg i cybucha, bo około 15-go stycznia 1847-go roku zamknięto śledztwo ze mną i w parę dni przewieziono mnie

do Moabitu. Nadmienić tutaj muszę, że przez cały przeciąg toczącej się ze mną indagacji oka zmrużyć nie mogłem w nocy. Miotła mną obawa, aby kogo ze współoskarżonych nie skompromitować, lub odpowiedziami mojemu własnej sprawy nie narazić.

Po ukończeniu zaś śledztwa spałem tak spokojnie, jak gdybym się na wolności znajdował. Taki wpływ wywarło przeświadczenie, że nikomu nie zaszkodził, a w własnej sprawie zeznaniami mojemu mocno podkopałem ważność zarzutów i obwinień, jakie na mnie ciążyły.

Po przewiezieniu mnie do Moabitu sekretarz tego więzienia, który mi towarzyszył, zaprowadził mnie do biura dyrektora, nazwiskiem Grabowskiego, który pomimo że był Niemcem, chętnie się wywodził z polskiej familji i wielką miał dla Polaków sympatję. Nie wiedząc zrazu, co za człowiek, byłem z nim bardzo grzecznie, ale zimno; on jednakże tem się nie zraził i szukał po prostu ze mną przyjaźni, której mu odmówić nie mogłem. Kiedy już byliśmy ze sobą na stopie zażyłości, wymawiał mi po parę razy, że go z taką oziębłością traktowałem. Przeprosiłem go jak najszczerzej, prosząc, aby uwzględnił okropne położenie więźnia, który do tej pory otoczony był ludźmi największą zaciętością przeciw niemu pałającymi.

W Moabicie mieścili się w dwóch skrzydłach wszyscy aresztowani w r. 1846-tym za należenie do związku narodowego. Przez okno wszakże nie można było nikogo widzieć, bo szkło było kratkowane i bardzo niemiłe światło wpuszczało do celi; okno zaś otwierało się z góry na dół, a było umieszczone tak wysoko, że nawet wszedłszy na stołek, można było widzieć tylko niebo i mury otaczające więzienie. Z przechadzającymi się zaś współwięźniami na dziedzińcu można było wprawdzie przez otwarte okna rozmawiać, ale głosem tak podniesionym, że nikt przypuścić nie mógł rozsądnie, aby więźniowie mogli sobie udzielać jakiegokolwiek wiadomości sprawy związku dotyczącej.

Pewnego razu jednak — było to już kilka tygodni po przewiezieniu mojem do Moabitu i wtenczas już z dyrektorem Grabowskim byłem na stopie zupełnie przyjaznej — zdarzyło się, że Adolf Malczewski przechodzący koło mojego okna zaczął mnie conceptem dość lichym, na co mu odkrzyknąłem:

— Łiesz jak Henryk.

Henryk P. posłyszał tę rozmowę i wskutek niej podał zażalenie do sądu kameralnego. Zrobiła się z tego wielka historia i dyrektora Grabowskiego pociągnięto do wytłumaczenia się z zarzutu, że więźniom za wielką wolność daje. Grabowski mocno zmartwiony tym wypadkiem, przyszedł pewnego razu do mojej celi i prosił, abym mu powiedział na słowo, jaka to była rozmowa moja z Malczewskim. Powiedziałem mu i zaręczyłem pod słowem honoru, że rozmowy we właściwym tego słowa znaczeniu nie było, że Malczewski powiedział na mnie concept niebardzo stosowny i ja mu na to odkrzyknąłem: „Łiesz jak Henryk P.“ — to było wszystko i ani słowa więcej nie rozmawialiśmy, o porozumiewaniu się więc nie mogło być mowy. Grabowski podziękował mi szczerze i żalił się, że Henryk P. z tych kilku nie znaczących wyrazów ulepił sążniste oskarżenie do sądu kameralnego. Zaręczałem mu więc, że odtąd ani słowem nie odezwę się przez okno.

W kilka tygodni potem przyszedł do mnie pewnego dnia zrana o godzinie 8-ej Grabowski i powiedział mi, że mój sędzia śledczy Mikieta tak mnie oskarżył przed prezesem sądu kameralnego, że poprostu zrobił ze mnie dzikiego człowieka, i że prezes powziął myśl poznania mnie osobiście i że z pewnością za pół godziny najdalej odwiedzi w tym celu więzienie.

— Staraj się pan zrobić na nim dobre wrażenie, dodał, bo tym sposobem zdołasz zobojętnić fałszywe denuncjacje Mikiety.

Niedługo potem przyszedł do mojej celi pan prezes i po zwykłej prezentacji zapytał mnie o zdrowie. Podzię-

kowałem bardzo grzecznie i dodałem, że z mojem zdrowiem jest wiele lepiej. Na to odezwał się Grabowski:

— Tego pana wpakowano w Poznaniu na fortecę aż dwa piętra pod ziemią, do tak wilgotnego lochu, że wskutek tego dostał bardzo mocnego reumatyzmu w nodze.

Ja zachowałem się zupełnie spokojnie, jak gdyby nie o mnie była mowa i widziałem po minie p. prezesa, że go zadowolniło moje zachowanie się skromne i całkiem bierne. Zaczął ze mną potem rozmawiać o rozmaitych przedmiotach, a ja odpowiadałem zupełnie spokojnie i gdy się nadarzyła sposobność, pozwoliłem sobie powiedzieć jaki niewinny dowcip, który nieraz bardzo rozśmieszył p. prezesa.

Rozmawialiśmy tak ze sobą więcej jak pół godziny; poczem p. prezes podał mi rękę i pożegnał się ze mną.

W niespełną godzinę powrócił do mnie dyrektor Grabowski uradowany i zaraz na wstępie opowiedział mi, że prezes bardzo mnie sobie upodobał i wydziwić się nie mógł, skąd Mikieta z taką zawziętością przyczepił się do mnie i niezasłużonemi oskarżeniami obarczył. Grabowski powiedział mu na to, że Mikieta stara się zaszkodzić każdemu z oskarżonych, ale że przeciw mnie jakąś osobistą zemstą pałać musi i na każdym kroku prześladować pragnie.

— Zawsze, dodał Grabowski, wizyta prezesa może dobry wpływ wyrzucić na sprawę pańską.

Jakoż przy stanowieniu wyroków, trzech sędziów było za skazaniem na śmierć, trzech innych głosowało za uwolnieniem mnie od skargi; do tych ostatnich przyłączył się prezes i uwolniono mnie od tejeż.

Mikieta nie zadowolnił się na oskarżeniu mnie przed prezesem sądu, ale jeszcze odmałował mnie z równą zawziętością przed królewskim prokuratorem, jak mnie o tem zawiadomił Grabowski i w kilka dni potem pan prokurator kazał mnie przywołać na ganek, także w celu obejrzenia mnie i przekonania się naocznie o prawdziwości słów tego mojego oskarżyciela. Chodził ze mną po ganku

może z kwadrans, ale bardzo mało ze mną rozmawiał i wszystko z miną urzędową; ja też krótko mu odpowiadałem i konferencja nasza niebawem się zakończyła.

W kilka tygodni później wszyscy oskarżeni odebrali skargę prokuratora drukowaną.

Nieznany jest dotąd społeczeństwu prawdziwy przebieg wypadków zaszłych w więzieniu po aresztowaniu związkowych w lutym 1846-go r. Moraczewski zaledwie pobieżnie i nie z zupełną dokładnością i świadomością rzeczy o nich pisał; to zaś co Mierosławski w dwóch wydaniach sławnego swego dzieła: „Powstanie Poznańskie“ o sobie i innych z właściwym sobie talentem opisuje, zostaje do wypadków i osób, które w nich udział brały, w takim samym stosunku, jak romans na tle historycznym osnuty do prawdy i rzeczywistości, chociaż tutaj badzo ważny jeszcze wzgląd przychodzi, że autor we własnym interesie zmuszony był naginać lub przekręcać wypadki, stosując do nich działania osób, nie dla tego, iżby takie miało być jego przekonanie, ale jedynie dla potrzeby wynikającej z planu własnej obrony i systemu potwarzy, która wszędzie główną część obrony jego stanowić musi. Chodziło mu głównie o zrzucenie własnej winy na innych, o zatajenie całkowitej prawdy, obok tego zaś o napisanie sobie samemu nie tyle zasłużonej, ile kolosalnej pochwały. Z tego powodu zmuszony jestem sprostować wiele twierdzeń, które Mierosławski w wyżej wymienionem dziele z podeptaniem prawdy na uniewinnienie swoje zamieścił.

Jak już wyżej wspominałem, po przewiezieniu większej części więźniów do Sonnenburga, więzienia dla złoczyńców przeznaczonego, udało mi się w maju 1846-go roku skomunikować się z Kosińskim i starałem się odwieść go od zamiaru pisania dla komisji śledczej memoriału, który w skutkach swoich mógł być bardzo szkodliwym dla współwięzionych. Kosiński wyznał mi, że go Mierosławski w zeznaniach swoich o podróży do Krakowa tak bardzo skompromitował, że podanych przez

niego szczegółów zaprzecić się nie może. Kiedy się to działo, nikt jeszcze z główniejszych związkowych nie był pod śledztwem, a Kosińskiemu wówczas żadnych innych protokołów nie przekładano z wyjątkiem zeznań zacnego Mierosławskiego. Komisja zatem śledcza wyłudziła z Kosińskiego ów własnoręczny memoriał jedynie wskutek zeznań Mierosławskiego, a na podstawie obu tych dokumentów wymuszała z innych zeznania, wystawiając każdemu, iż wobec tak wiarogodnych dowodów, dłuższe tajeństwo prawdy nie może mieć żadnego celu i tylko pogorszyć musi położenie tych, którzy wbrew oczywistości nie zechcą przyznać się do winy.

Niewiadomo wprawdzie, czy Mierosławski odrazu porobił zeznania swoje, czy też przez czas jakiś zaprzeczał wszystkiemu, ale to pewna, że on pierwszy je złożył przed komisją śledczą, że on spowodował przez to zeznania Kosińskiego, a później kilku innych jeszcze związkowych, jako też i to jest prawdą, że nikt inny nie złożył tak obszernych, tak szczegółowych i tak nazwiskami napełnionych zeznań, jak on właśnie.

Że taka zbyt szczerą spowiedź jednego z naczelników spisku przeważnie wpłynąć musiała na innych związkowych, jak tego oczywisty na Kosińskim mieliśmy dowód, że zachwiać musiała mniej silne charaktery, a słabe do zupełnego przywieść upadku, nikt pewnie wątpić nie zechce, komu choć cokolwiek wiadome są przejścia indagacji śledczych.

Zachodzi teraz pytanie, co mogło spowodować Mierosławskiego do tak bezwzględnych i niewczesnych zeznań? Być może, iż z jednej strony, jak powszechnie mniemano, wpływać mogły pogrożki oddania go w ręce rządu rosyjskiego, jeżeliby całej nie wypowiedział prawdy; lecz z drugiej strony, jak to sam wyznał w więzieniu — mnie i Białoskórskiemu, mógł się poszczycić łatwowernością, z jaką dał się złudzić zaręczeniom sławnego policjanta Dunkera, który go upewniał, że jest niepodobieństwem dla rządu karać tylu obwinionych, że wskutek

tego musi nastąpić amnestja, którą król pruski postanowił udzielić oskarżonym, tylko że przed jej ogłoszeniem chce mieć dokładną wiadomość o celach związku i jego rozgałęzieniu. Oczywista więc, że w takim położeniu rzeczy im w obszerniejszych rozmiarach związek przedstawi się rządowi, im więcej osób będzie skompromitowanych, tem łatwiej nastąpi przyrzeczona amnestja. Mierosławski ujęty takimi przyrzeczeniami Dunkera nie szczędził ani szczegółów, ani nazwisk, sądząc zapewne w niepojętej naiwności swojej, że tym sposobem tylko przyśpiesza amnestję dla siebie i tych, których oskarżał. Dwa tylko zarzuty odpierał ze stałością, bo one głównie własnej jego osoby dotyczyły, a mianowicie, że ruch 46-go r. nie miał na celu wojny z Prusami o odzyskanie Księstwa i zabranych prowincji polskich, lecz że był wyłącznie przeciwko samej Rosji wymierzony, a tylko z pomocą zabranej Prusakom broni, miał być wykonany; — i to było prawdą, lecz drugie, że nie mając zamiaru rozpocząć z Prusami wojny, nie mógł wydawać w instrukcjach swoich rozkazu do wyprawienia Niemcom niesporów sycylijskich; że zatem dodatek ten ktoś z podwładnych bez jego wiedzy i zezwolenia w instrukcjach zamieścić musiał, czy jest prawdą, powiedzieć nie umiem. Poza tem Mierosławski nic i nikogo nie zataił.

Rzecz jasna, iż przy śledztwie każdy z główniejszych obwinionych miał zeznania jego przeciw sobie, a skarga prokuratora na tych właśnie zeznaniach się opierała i stąd przeciwko niemu tak powszechne powstało oburzenie. Jakże, mówiono, człowiek tak lekkomyślny, tak słabego charakteru, śmiał stawać na czele ruchu narodowego? Jakaż rękojmię złożył na to narodowi, że uczciwie i dobrze pokieruje sprawą publiczną, kiedy zaledwie dostał się do więzienia, odrazu wydał cały związek i jego uczestników? Zarzuty były słuszne, chociaż czasami za daleko je posuwano, bo aż do wyrzucania mu otwartej zdrady. Ale czyjaż to wina, że tak nisko upadł w opinii ziomków swoich?

Wyjawienie przez niego nazwisk tak wielkiej liczby spiskowych przy śledztwie przedwstępnem, kiedy jeszcze o zaprowadzeniu procedury jawnej nikt z uwięzionych wiedzieć nie mógł, bo ona o wiele później reskrypcją królewską ustanowiona została, takie, mówię, wyjawienie, nie mogło mieć żadnego politycznego charakteru, kiedy, jak widzieliśmy, było raczej owocem słabości i łatwowierności do nierozumu posuniętej.

Komu obowiązek uczciwego człowieka nakazywał najściślejsze milczenie względem osób i spraw związkowych, ten złamawszy go nie miał prawa nadawać później znaczenia politycznego zdradzonej przez siebie tajemnicy, jak to Mierosławski w dziele swoim „Powstanie Poznańskie“ przedstawić usiłował. Wszakże głównie wskutek zeznań jego niektórzy obwinieni nieuleczenie i na dotykanych dowodach skompromitowani zostali przed sądem pruskim. A przecież, jak sam wyznał mnie i Białoskórskiemu, wszystkiego z początku się wypierał i dopiero, gdy mu pokazano na koszuli cyfrę L. M. przyznał, że się nazywa Mierosławski, aż do tej chwili nie wiedział żaden z więźniów, że on się Mierosławski nazywa, bo i komisarz, który go aresztował, nie wiedział kogo aresztuje i odtąd zaczął zeznania swoje składać. Wszakże jemu z wszystkich uwięzionych najmniej było wolno dopuszczać się takich ciężkich przewinień, których głos publiczny nie przebacza żadnemu związkowemu, a tem mocniej potępiać je musi w naczelniku sprzysiężenia.

Mierosławski wtedy tylko byłby miał prawo dopominać się szacunku współziomków, gdyby w dochowaniu tajemnicy dotrzymał im był tej solidarności, jakiej się po złożeniu zeznań swoich już tylko we własnym interesie niesłusznie od nich domagał. Dawszy przykład wytrwałości i stałego charakteru innym, nie byłby potrzebował potem zebrać poparcia tych właśnie, których opinia współziomków razem z nim potępiała, ani byłby potem potrzebował w dziele swoim wyżej wspomnianem oskarżać

przed opinią publiczną tych, którzy sumiennie dochowawszy zaprzysiężonej wiary, usunąć się musieli od niego w chwili, kiedy po ukończeniu śledztwa przeprowadzono więźniów do Moabitu i Mierosławski i niektórzy z tych co pod śledztwem wygadali wszystko, o czym wiedzieli, mogli się byli wkrótce przekonać, jak stoją odosobnieni, upokorzeni i grubo obarczeni odpowiedzialnością wobec tych, którzy w niczem nie zdradzili tajemnic związkowych; jak powszechne było przeciw nim oburzenie, kiedy nieraz posłyszeć musieli nazwiska swoje z niemiłym jakim dodatkiem, który głęboko boleć musiał.

Aż do tej pory ci wszyscy co lekkomyślnie zeznawali pod śledztwem trzymani w ścisłym odosobnieniu, mogli nie pojmować dokładnie całego ogromu ciężającej na nich odpowiedzialności, a zeznania Mierosławskiego mogły być dla każdego z nich niejakiem własnej winy usprawiedliwieniem przed sobą; mogli nawet nieprzewidywać srogiego wyroku potępienia, jaki na nich współoskarżeni i opinia kraju wydać miała.

Ale w Moabicie, kiedy wszelkie pod tym względem wątpliwości zamieniły się w straszną rzeczywistość, najtwardszym nawet grzesznikom spaść musiała z oczu zasłona i zachwiało się i zaniepokoiło milczące może dotąd sumienie. Czuli się więc strasznie przygnębionymi i byliby gotowi wszystko zrobić, byle naprawić zło, które współoskarżonym i samej sprawie sprzysiężenia zeznaniami swojemi wyrządzili. Ale i reszta sprzysiężonych, a mianowicie naczelników związku, srogo dotknięta została tem położeniem sprawy związkowej. Wszyscy ci, którzy tak niebacznie i nieroztropnie dali się pociągnąć do zeznań pod śledztwem, byliby musieli stawać na oczy oskarżonym przez siebie współwięźniom i nietylko przeciw nim świadczyć, ale co gorsza i oskarżać ich publicznie przed sądem pruskim. Chodziło więc głównie o odwołanie poczynionych zeznań, które może już ani im samym, ani oskarżonym przez nich współziomkom dopomódz nie mogły, ale o tyle były ważnemi, że cofnawszy je, nie by-

liby już stawali na oczy tym wszystkim, których pod śledztwem oskarżyli.

Tym więc sposobem oddać mogli przysługę sprawie przysiężenia, skoro tym aktem skruchy i zwrotem na drogę obowiązku mogli okazać, że chcą pozostać wiernymi zaręczeniom, jakie składali wtedy, kiedy ich do związku przyjmowano. Bo czemże jest odwoływanie zeznań własnych przed sądem publicznym, jeżeli nie oczywistym uznaniem własnej winy, jeżeli nie publicznym rozdarcie aktu oskarżenia, przeciw kolegom przy śledztwie złożonego?

Te chwile ogólnego upokorzenia, w jakim się znajdowali ci wszyscy, którzy pod śledztwem zeznania porobili, uchwycił zrećźnie Adolf Malczewski i za pomocą wyrobionych przez siebie komunikacji w więzieniu, zdołał nakłonić winnych do odwołania swoich kompromitujących zeznań. Pierwszy Kosiński, uznawszy otwarcie i szczerze błąd swój przed kolegami, postanowił odwołać przed sądem wszystkie zeznania swoje.

Trudno opisać, ile człowiek ten cierpiał moralnie; rozpacz malowała się na wynędzniałej ze zmartwienia twarzy; sam siebie najciężej obwinał i szukał jakby ulgi w robieniu sobie cierpkich wyrzutów, których wyjątkowo przeciw niemu nikt ze współobwinionych nie podnosił.

Wiedziano bowiem powszechnie, że owe niemiłosierne szczegółowe podania Mierosławskiego co do podróży do Krakowa zmusiły go do przyznania się, że w niej brał udział, a przyznawszy się do niej, nie umiał wyprzeć się znajomości z Mierosławskim, a przyznawszy to jedno, nie umiał wyprzeć się reszty. Współczucie dla Kosińskiego było ogólne, bo wiedziano, że odwołanie zeznań w własnoręcznym jego piśmie zamieszczonych, będzie dla niego niepodobnem. Radzono mu zatem, aby się ograniczył jedynie cofnięciem zeznań swoich w kwestiach, któreby innych kompromitowały i przeciw nim służyć mogły za dowód; a co do siebie samego, aby nie pró-

bował nawet zapierania się wobec sądu, bo tylko po raz drugi skompromitować się może. Ale żal z niedotrzymania kolegom zaprzysiężonej solidarności płynący i poczucie obowiązku nie dozwoliły mu posłuchać próśb i przedstawień przyjaciół; oświadczył, że bądź co bądź odwoła wszystko.

— Wiem, mówił, że się skompromituję przed sądem, ale to będzie zasłużoną dla mnie karą za złamanie uroczystą przysięgą stwierdzonego obowiązku dochowania tajemnicy.

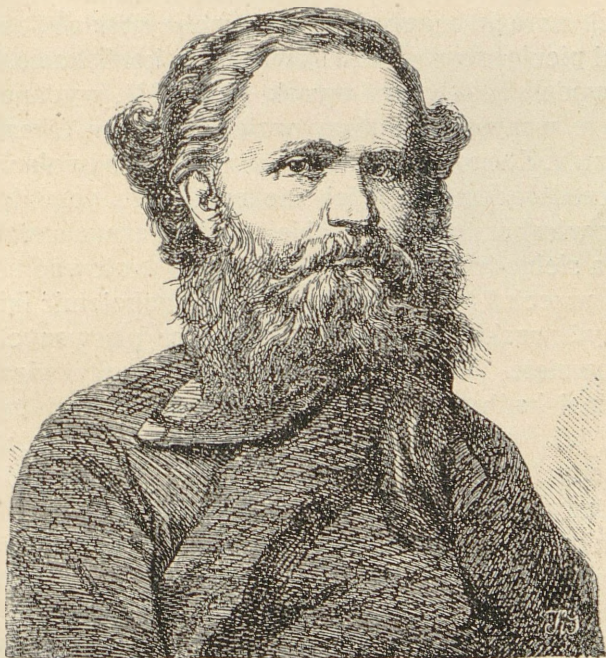
Za przykładem Kosińskiego poszli inni i tylko ciężką nierównie winą obarczony Mierosławski chciał na razie wmówić we wszystkich, że inaczej pojmuje obowiązki demokracji i spiskowego.

Na pierwsze przedstawienie Adolfa Malczewskiego Mierosławski, chcąc winę swoją tak dobitnie przy śledztwie zadokumentowaną osłonić pozorami zasad, które ni-by tam chciał reprezentować, odpowiedział dumnie, że demokracja wojująca, do której on należy, przyznaje się otwarcie do zamiarów swoich; że postąpił w obecnej sprawie, jak mu ze stanowiska, które zajmował, postąpić należało; że inni powinni pójść za jego przykładem i przyznać się do wszystkiego, bo tego wymagała godność narodowa.

Wszystkie te deklamacje nie zmieniły przekonania współwięzionych o jego winie i ani na włos podnieść lub chociaż zobojętnieć tej winy przed nim nie zdołały. Zeznania jego przed Dunkerem były zbyt szczegółowe, zbyt nieoszczędzające losu mnogich rodzin, aby do powyższych słów jego można było jakkolwiek przywiązywać wiarę. A i sam Mierosławski pewnie jej nie przywiązywał, bo niepodobna przypuszczać, aby nie wiedział, ilu ludzi pogrzyżył w nieszczęściu, ile rodzin przeklinać go musiało. Surowość zaś, z jaką Prusacy postępowali z więźniami przed i w czasie śledztwa samego, nie pozwalała najograniczeńszemu nawet umysłowi poddawać

się złudzeniom, że rząd w interesie amnestji chciał odegrać jakąś polityczną komedję ze związkowymi.

Przyszłość, jaką Mierosławski zgotował dla tych wszystkich, których wydał, nie mogła nikomu być wątpliwą. Kodeks karny pruski zawiera tylko dwa przepisy odnoszące się do tego rodzaju przestępstw politycznych—śmierć lub długoletnie więzienie. Jakże można



Ludwik Mierosławski,

ur. 1814, zm. 1878 r.

było pogodzić poprzednie jego zeznania z zasadami, które wypowiedział potem? Czemże mogły być w oczach związkowych późniejsze jego powoływania się na spełnienie obowiązków Polaka, na potrzebę poszanowania godności narodowej, kiedy dawszy się opętać tak osławionemu szpiegowi jak Dunker, pierwszy zdeptał owe świę-

te obowiązki, pierwszy własną i narodową godność spuścił z oka?

Nie licząc tych, którzy własną winą wtrącili się w przepaść bez ratunku, a których liczba wcale nie była tak wielką, zostawała ogromna większość takich związkowych, którzy niczego nie żeznali pod śledztwem, a których zeznania Mierosławskiego i kilku jego towarzyszków narazić mogły na śmierć lub długie i ciężkie więzienie, których związki mogły być zniszczone kosztami procesu karami pieniężnymi, dorównywającami konfiskacie, jak tego dowodem mogły być wyroki po r. 1831, wydane przeciw tym wszystkim, którzy wzięli udział w ówczesnym powstaniu. Z tego to powodu ważnem było odwołanie zeznań przed sądem, bo jeżeli nie mogło nie pomódz tym, którzy własnymi przeciw sobie samym zeznaniami wykopal dla siebie przepaść, z której nic ich uratować nie mogło, to przecież takie odwołanie mogło zubożyć lub nadwyreżyć przekonanie sędziów z owych pierwszych zeznań powzięte. W najgorszym zaś razie oszczędzało im sromotnej hańby występowania przed sądem i publicznością, jako oskarżycieli własnych ziomków swoich.

Kiedy Mierosławski odmówił odwołania zeznań swoich, wtedy, kilku z główniejszych związkowych powzięło szlachetny lubo w tem położeniu bezskuteczny zamiar uratowania własną ofiarą całej masy oskarżonych. Na jednym z nocnych zebrań, podobno w celi Adolfa Malczewskiego zeszło się kilkunastu główniejszych spiskowych i naradzali się nad tym właśnie projektem, czyby przez dobrowolne poświęcenie się kilku przywódców sprzysiężenia nie można uwolnić od wszelkiej odpowiedzialności przed rządem reszty uwięzionych.

Było nas około dwunastu zebranych. Pamiętam tylko Apol. Kurnatowskiego, Garczyńskiego Józefa, Malczewskiego Adolfa, Guttrego Aleksandra, Anastazego Radońskiego i Mateckiego Teofila. Żaden z wymienionych lub przy naradzie owej obecnych nie zdradził w niczem tajemnicy związku, projekt więc, o którym wspomniałem,

nie miał na celu zakrycia własnej winy, tak jak projekt, który Mierosławski doradzał we własnym interesie.

Kwestja tak ważna nie mogła być na razie rozstrzygniętą, zachodziły bowiem ważne pytania, które wpierych dojrzałe rozebrać należało, mianowicie: czy sprzysiężonym wolno wogóle przyznawać się do udziału w związku, skoro ich do zachowania tajemnicy najuroczystsza zobowiązywała przysięga; powtóre, żeby takim wystąpieniem nie rozgrzeszało się właśnie tych, którzy ją samowolnie pogwałcili pod śledztwem, a nawet czy się nie osłaniało jawnej zdrady, jak wówczas powszechnie prawie utrzymywano ¹⁾; nareszcie, czy rząd pruski chciałby

¹⁾ Na powyższem zebraniu bardzo silne posądzenia objawily się przeciwko Henrykowi Ponińskiemu. Anastazy Radoński przyznał się, że odebrawszy polecenie do zawiezienia wiadomości w dniu powstania w te powiaty, które mu były przeznaczone, zaczął wychwalać to rozporządzenie w obecności Wolniewicza, Sokolnickiego, Białkowskiego i Henryka Ponińskiego. Uderzyło go mocno, ale nareszcie wtedy dopiero, kiedy już był wszystko wypowiedział, że H. Poniński bardzo chciwie się dopytywał o wszystkie szczegóły tego rozporządzenia, a w końcu zagadnął jego samego, które on (Radoński) powiaty miał dla siebie przeznaczone. Każdy człowiek jest zwykle ostrożniejszym, kiedy o własną jego skórę chodzi; to też pocziwy i zamyśli Anastazy Radoński zmiarkował, że lepiej nie wywnętrzać się całkowicie ze szczegółami, które równie jak i całe polecenie miały zostać tajemnicą samym tylko wysłańcom znaną tak dalece, że żaden z nich nie wiedział o drugim, ani o powiatach, jakie któremu były przeznaczone.

Odpowiedział więc, że on na skrajne powiaty przeznaczony, poczem Henryk Poniński wychodząc wpadł w niezwykły zapal i oświadczył, że gotów żonę i dzieci poświęcić dla dobra sprawy publicznej. Skoro wyszedł, Wolniewicz odezwał się do pozostałych:

— Przysięgnę, że ten człowiek nas zdradził.

Przy śledztwie mordowano nieustannie Anastazego Radońskiego, żeby się przyznał, iż był jednym z wysłańców przeznaczonych do zawiezienia wiadomości w dniu powstania, i że dla niego były przeznaczone powiaty na Krajinie, t. j. prawym brzegu Noteci leżące. Że zaś na owem wyżej wspomnianem zebraniu powiedział obecnym, że mu przeznaczono

się zadowolić tą dobrowolną ofiarą kilku i czy wogóle zechce wejść w podobną umowę z uwięzionymi — i to było najgłówniejsze.

Otóż co do ostatniej, najważniejszej kwestji, zdanie pomocników, których rady zasięgano, było wprost przeciwnem zamiarowi związkowych. Wedle nich (prawników) rząd wogóle nie byłby chciał wchodzić w żadne umowy z obciążonymi o zbrodnię stanu, nie mógł zaś tamować rozpoczętego biegu sprawiedliwości, skoro sprawa cała powierzona już była umyślnie na ten cel przeznaczonemu sądowi. Przyjęcie zaś na siebie całej winy przez kilku oskarżonych mogłoby jedynie sądowi posłużyć za dowód przeciw nim samym, ale na los innych oskarżonych niczem wpłynąć nie było w stanie.

Wspomniałem o tej mało komu dotąd znanej okoliczności i kładę na nią nacisk, już to, aby pokazać na co się mogły przydać zeznania przed sądem składane, już też, aby przekonać, o ile zasługują na wiarę zarzuty Mierosławskiego, kiedy obwinia spiskowych o egoizm, brak odwagi cywilnej i niepojmowanie obowiązków narodowych.

Owóż widzimy dość wyraźnie, po czyjej stronie było

skrajne powiaty, oczywista, że ktoś z obecnych musiał o tym szczególnie powiadomić władze pruskie. Że znowu z owych, którzy się na tem zebraniu znajdowali. Wolniewicz zdołał ujść za granicę, a Sokolnicki i Białkowski nie nie zeznali pod śledztwem, Radoński zaś nie mógł się przyznać do powiatów na Krajnie, bo tam od dwóch lat nie był, a przeznaczone mu były powiaty nadgraniczne: Pleszewski, Ostrzeszowski i t. d. miał więc podejrzenie słuszne czy niesłuszne, że Henryk Poniński musiał o tem przed indagacją zeznać.

Oprócz tego Ignacy Singer, oficer z wojska polskiego, który także był aresztowany, gdy go w Poznaniu wypuszczono do ogrodu na świeże powietrze, zaraz na drugi dzień po swoim aresztowaniu, a więc w miesiącu marcu opowiadał, że wpuszczono do niego Henryka Ponińskiego, którego poprzednio nie znał i że tenże zapytał go, za co aresztowany. Singer odpowiedział na to, że nie wie i domyślić się nie może. Dlaczego się znajduje w więzieniu. Na to miał mu Henryk Poniń-

poszanowanie obowiązków sumienia, a kto przeciw nim jawnie nagrzeszył, a co gorsza, że później za własne błędy i przewinienia oskarżał publicznie tych samych, których nieuleczalnie skompromitował pod śledztwem.

Oświadczenie Mierosławskiego, że nie odwoła zeznań swoich przed sądem, wywołało przeciw niemu oburzenie do tego stopnia, że mu wówczas niektórzy poczęli jawną zarzucać zdradę. Uradzono zerwać z nim wszelkie stosunki i własnemu zostawić go losowi. Wtenczas to Mierosławski, widząc, że za daleko poszedł, zaczął spuszczać ze swoich pretensji i żądał już tylko, aby ci przynajmniej, którzy pod śledztwem poczynili bardzo obszernie zeznania, dotrzymali mu przed sądem tego nowego koleżeństwa; ale i tutaj doznał całkowitego zawodu. Nikt nie chciał już należeć do spółnictwa z nim, bo ono nie przynosiło ani pożytku dla sprawy, ani zaszczytu dla nikogo i wszyscy postanowili zeznania swoje odwołać. Tutaj główną zasługę położył Adolf Malczewski, za którego usilnem staraniem ci wszyscy, którzy pod śledztwem porobili zeznania uznali wreszcie wielkie swoje winy oraz

ski powiedzieć, że wolał się przyznać do wszystkiego, bo go Guttry i Kurnatowski zdradzili.

Ze rzecz sama była zdradzoną, a mianowicie co do wysyłki owych czterech sprzysiężonych na powiaty, dowodziło to, co mi Kurnatowski Apolinary w drodze z Dominowa do Poznania był opowiadał o owym soltysie, który był przyszedł do profesora Kasyusza i zawiadomił go, że komisarz obwodowy zawezwał wszystkich soltysów i nakazał im pilne mieć baczność na przyjeżdżnych panów, bo wysłani zostali w powiaty „do opowiadania rewolucji“.

Ostatni przypadek naprowadzał na myśl, że tego samego dnia, w którym Anastazy Radoński tak niepotrzebnie opowiadał o wysłaniu obywateli w powiaty Księstwa, że w tym samym, mówię, dniu policja musiała być o tem zawiadomiona, skoro na drugi dzień potem już w powiecie ostrzeszowskim komisarz mógł być zwołać soltysów do siebie. Kto zaś tę usługę oddał policji? Materiałnych dowodów na to nie było, chociaż każda z wymienionych wyżej wiadomości mieściła w sobie ważne powody do podejrzenia, a nawet do posądzenia.

konieczność powrotu na drogę powinności obywatelskich. Mierosławski więc pozostał sam jeden i zdecydował się nareszcie odwołać zeznania swoje osób dotyczące.

Takie było prawdziwe przejście całej tej sprawy w więzieniu przed rozpoczęciem roków sądowych się toczącej. Trudno zatem pojąć i zrozumieć, jak Mierosławski to proste zwrócenie się na drogę obowiązku, które w końcu sam musiał uznać za słuszne i konieczne, mógł potem nazwać odbieżeniem sprawy publicznej ze strony wszystkich oskarżonych, lub tylko niedotrzymaniem mu obowiązującej solidarności w spodziewanem, bo należnem mu wtórowaniu¹⁾; jak wobec wszystkich żyjących świadków, ciężkości jego winy, miał odwagę na str. 78, swojego sławnego dzieła „Powstanie Poznańskie“ następujące wyrzec słowa: „Miałże Mierosławski nie czuć i nie słyszeć, co, wyjąwszy szlachtę na Pałukach, wołała doń przez wszystkie szpary więzienia Europa? Ile że dla uświęcenia słowa swojego w jej przeświadczeniu, i z oskarżonego zostać oskarżycielem. Mierosławski nie potrzebował ani pół zeznania nowego uczynić, skoro krew od lat dwóch tryskająca z tysiąca nazwisk przed sam tron Boży, ani jednego nazwiska nowego, ani jednego czynu utajonego do wygadania mu nie pozostawiły. Mierosławski, prosty natenczas zapozwy narodowej woźny, potrzebował tylko, ażeby się nikt odważonego raz zeznania nie wyparł i tyle akurat pozostał szczerym przed sądem chrześcijaństwa, ile nim już był dla inkwirentów tajnych“.

„Aż do końca maja 1846 r., epoki, w której ostrzeżony o przemianie procedury pruskiej²⁾ na istne areny dla

¹⁾ Zob. Powstanie Pozu. II wydanie, str. 77.

²⁾ Rozkaz gabinetowy, nakazujący zastosowanie procedury jawnej do sprawy uwięzionych i przeznaczający sąd kameralny w Berlinie do wyrokowania w tym procesie, podpisany został przez króla d. 18 lipca 1846 r., a więc w maju tegoż roku, ani Mierosławski. ani żaden z uwięzionych wie-dzieć jeszcze nie mógł o tem prawie. Jak znówu wyżej wspom-

demokracji wojującej, Mierosławski ustalił w sumieniu swoim plan ogólnej obrony, już mu przedłożono 22 zeznań, obejmujących więcej, niż rządy wiedzieć pragnęły, więcej, niż im potrzeba było do zakatowania całej Polski. Jedynym jego przemyśleniem przez osiem miesięcy codziennej nieomal indagacji, było te 22 i drugie tyle piśmieniowych, tomowych protokołów oczyścić ze zbytecznego wylania i za pomocą prawdopodobnego komentarza ku zamierzonemu planowi propagandy uchylić“.

Naprzód z główniejszych spiskowych, którzy oprócz Mierosławskiego wszyscy prawie z początku w Sonnenburgu byli więzieni, żaden przed drugą połową 46-go r. nie był pod śledztwem prócz Kosińskiego, któremu przed tą epoką przedłożono już zeznania Mierosławskiego; cały znowu wątek spraw związkowych posiadali wyłącznie naczelnicy sprzysiężenia i Mierosławski. Skądże więc o tych wszystkich tajemnicach, o tych wszystkich szczegółach dowiedzieć się mogli inkwircenci wówczas, kiedy żaden z owych naczelników nie był jeszcze pod śledztwem, oprócz samego Mierosławskiego, kiedy Kosińskiemu żadnych innych z początku nie przedłożono zeznań, jak tylko te, które Mierosławski porobił, a które były tak dobitne, że Kosiński nieuleczalnie był skutkiem nich skompromitowanym. Skądże to pochodzi, że później inkwircenci przy śledztwie przedstawiali zeznania Mierosławskiego Rajewskiemu Lucjanowi, Malczewskiemu Adolfowi, Radońskiemu Anastazemu, Kurnatowskiemu Apolinaremu, Szczanieckiemu Konstantemu, Libeltowi Karolowi, Mielżyńskiemu Sewerynowi, Ostrowskiemu Sewerynowi, Łackiemu Władysławowi, Guttremu Aleksandrowi, Leciejewskiemu Tadeuszowi, Słupeckiemu Janowi, Jarochowskiemu Cyprjanowi, Białoskórskiemu Feliksowi, Bnińskiemu Ignacemu, Biesiekierskiemu Stanisławowi, Howieckiemu Andrzejowi, Zagórskiemu Feliksowi, Nie-

niałem, Kosińskiemu przedłożono w maju tegoż roku zeznanie Mierosławskiego; złożył je więc przed ogłoszeniem prawa.

golewskiemu Władysławowi — chociaż ci wszyscy nie pod śledztwem nie zeznali, ani żaden z nich nie wydał pana Mierosławskiego i ani jeden z nich nie figuruje pod skargą jego jako świadek. Natomiast znowu Mierosławski mniej więcej obszernie o wszystkich porobił zeznania i przeciw wszystkim przez prokuratora królewskiego podanym był za świadka¹⁾.

Oprócz wymienionych wyżej główniejszych związkowych wielu innych jeszcze uwiezionych żadnych nie porobiło zeznań. Któż tedy miał dostarczyć komisji śledczej tak ogromnej liczby tomowych zeznań, które Mierosławski oczyszczać umiał swoimi komentarzami, kiedy liczba tych, co z takim wylaniem spowiadac się mieli inkwirentom tajnym, ogranicza się do sześciu włącznie z Mierosławskim, a wszyscy razem więci nie znali ani setnej części tego, co Mierosławski w zeznaniach swoich wypowiedział o związku i osobach do niego należących. On jeden ze stanowiska swojego znosząc się z główniejszymi związkowymi w rozmaitych częściach kraju, wiedział o wszystkich, znał ich nazwiska i wiedział o całej organizacji związku. Że zaś o niczem nie zapomniał powiadomić tajnych inkwirentów, przekonuje najlepiej akt oskarżenia ogólnego i szczegółowa skarga prokuratora. A jednak o tem wszystkim zamilcza w swoim dziele i z oskarżonego robi się oskarżycielem ziomeków swoich, których krótko przedtem własne zeznania jego nad przepaścią postawiły.

Alę obok tych oskarżeń, które obarczać musiały każdego, komu sprawy procesu Berlińskiego nie były tajemnicą, wyslizgnęło się jednak mimowolnie z pod pióra tak wprawnego do zakrywania prawdy jedno delikatne zeznanie, którego doniosłość w tego rodzaju sprawach znaną i zrozumiałą może być tym tylko, którzy przebywali koleje śledztw politycznych.

¹⁾ Mierosławski porobił zeznania o takiej samej prawie liczbie osób w Galicji.

Mówię tu o tak zwanych komentarzach Mierosławskiego, dodawanych do zeznań innych współobwinionych, których protokoły oczyszczał niby ze zbytecznych wydań — ma się rozumieć z polecenia komisji śledczej, bo bez jej upoważnienia nie byłoby mu wolno dotykać się tej pracy.

Otóż podobnych oczyszczających komentarzy ci tylko do zeznań innych współoskarżonych dostarczać mogą interesowanej ciekawości komisji śledczej, którzy bardzo szczegółowe, bardzo dokładne i w rozumieniu inkwizycyjnym bardzo lojalne odbyli spowiedzie. Komentarze takie dotyczą zwykle osób, które komentator sam wydał pod śledztwem, a które albo do innego przyznać się nie chciały, albo tylko na pewnych kwestjach częściowo podchwycić się pozwoliły. Innych oczyszczań żadna komisja śledcza nie dozwoli, a wszyscy ci, co mieli do czynienia w ciągu indagacji swoich z zeznaniami Mierosławskiego, oddać mu mogą sprawiedliwość, że były bardzo kompletne.

Mierosławski więc owem nieogłędnem zeznaniem swoim niezbyt pochlebne wystawił sobie świadectwo we względzie posług, jakie oddawał komisji śledczej.

Z drugiej strony, jeżeli zeznania owe, do których redagował komentarze swoje, były istotnie tak sromotnymi, tak niegodziwymi, jak utrzymuje — jakże mógł potem przyzywać ludzi, którzy je złożyli do pomocy w funkcjach swoich woźnego zapowzy narodowej? Jakże mu chodzić mogło o to szczególnie, aby żaden z nich odważonego raz zeznania nie zapał przed sądem, jakże zeznania takie, które rządowi wystarczyły miały do zakatowania całej Polski, miały służyć do podniesienia sprawy narodowej w oczach Europy i chrześcijaństwa? Podług mnie żądać potwierdzenia podobnych zeznań przed sądem publicznym, jest to samemu chcieć zakatować Polskę przed światem.

Przyznaję, że odwoływanie przed sądem publicznym wobec kraju i Europy zeznań poprzednio poczynionych, smutną przedstawia stronę procesu, a smutniejsze jesz-

cze położenie tych, którzy samochłąc w tak fatalnej postawili się konieczności, ale nie rozumiem i nie pojmuję, jak zatwierdzeniem takich właśnie jak Mierosławski posiada zeznań, mógł sobie w zeznaniu ustalić plan obrony związkowej. Czy zeznania, które rządowi wystarczyć mogły na zakatowanie Polski całej, mogły Mierosławskiemu dopomóc do mniemanej jego obrony związkowej? Zdaje mi się, że nie, bo w podobnych zdarzeniach można co najwięcej jedną tylko odegrać rolę, albo obrońcy, albo oskarżyciela — a oskarżycielami byliby wszyscy ci, którzyby zeznania swoje przed sądem byli potwierdzili.

Tak jak znam więzienną sprawę Mierosławskiego, zgodziłbym się prędzej na zdanie, że zamiast oczyszczać zeznania innych ze zbytniego wylania przed inkwizentami, zamiast myśleć o obronie związkowej, (którą chyba mógł podjąć przeciw własnym i nielicznym towarzyszów swoich oskarżeniom) całą uwagę innych zwrócić musiał, aby siebie jakim bądź kosztem oczyścić z ciężkich i zasłużonych zarzutów, aby jakkolwiek zbojętnić winę własną współoskarżonych w więzieniu, a potem kosztem ich uratować własne imię przed sądem opinii publicznej. Ku temu to celowi zmierzały głównie i wyłącznie wszystkie targi jego z współwięzionymi o pozyskanie wszystkich do spółnictwa w ciężkim przewinieniu własnym. Nadaniem takiego obrotu sprawie całej zeznania jego tracić musiały najzupełniej cechę zdradzania związku i związkowych pod śledztwem; poparci zaś przez ogół solidarności w tem, co Mierosławski zrobił, przenosili z niego na tenże ogół całą odpowiedzialność zato, co zrobił.

Oprócz tego żądanie bezwarunkowej z nim solidarności mogłoby się było dać jeszcze wytłumaczyć niedorzeczną jego łatwowiernością w przyrzeczeniu ogólnej amnestji, którą mu Dunker przy śledztwie zapewniał. Rzecz stawała się całkiem inaczej, kiedy Mierosławski, nie mogąc nagiąć przekonania całości do pierwotnego planu swojego, pragnął powołać do zaszczytu wspólnej z sobą niby obrony związkowej przed sądem jawnym

tych przynajmniej pięciu, którzy tak samo, jak on powydawali innych pod śledztwem. Tu już plan jego we własnym tylko sobistym ułożony interesie, jaśniej przeziierać zaczął z pod osłony patriotyztu, odwagi cywilnej i poświęcenia. Tu już nie mogło chodzić o ogólną sympatję, bo ta, wedle zaręczeń Dunkera, nastąpić mogła jedynie wskutek dowiedzionego udziału jak większej liczby osób w sprzysiężeniu. Mierosławskiemu chodzić mogło teraz jedynie o to, aby uniknąć przed sądem i publicznością niemilego odwoływania zeznań swoich, przez co musiałby był potępić całą spowiedź swoją pod śledztwem tak sumiennie wykonaną, a samemu znowu przeciw wszystkim innym występować było rzeczą trochę kompromitującą patriotyzm jego wobec Polski. Potrzeba mu było zatem współników.

Mniejsza o to, że potwierdzając zeznania swoje przed sądem, gotował dla oskarżonych przez siebie grzywny, więze i topór kata. Wszakże taką drobnostkę zakryć mogła szumna przed kratkami mowa i na wzór „Powstania Poznańskiego“ puszczone w świat broszura jaka, w której łatwo byłoby wystawić siebie jako męża poświęcenia i nieustraszonej odwagi cywilnej, a owych pięciu towarzyszy przemienić w hersztów i bohaterów sprzysiężenia. Tym sposobem kompromitująca prawda byłaby przez niego zakryta, a on sam, nie odwołując zeznań swoich, nie byłby potrzebował potępić ich publicznie i zawsze jeszcze byłby mógł liczyć na jakieś względy rządu pruskiego, na Dunkerowską amnestję dla siebie przynajmniej. Odwołanie zaś publiczne zeznań własnych kompromitować go musiało koniecznie wobec rządu i niszczyło wszelkie nadzieje ułaskawienia. Że nim te głównie względy powodowały, przebija dość wyraźnie w słowach, które zamieścił na str. 79 i 80 „Powstania Poznańskiego“; kiedy mu się jednakże nie udało pozyskać współnictwa owych pięciu do swojej obrony związkowej, pozostał sam jeden ze swoim subtelnie obmyślanym planem obrony osobistej i w tak odosobnionem położeniu miał już

tylko do wyboru: albo odwołać zeznania własne przed sądem jawnym co do osób przynajmniej — i tem samem wyznać publicznie, że mocno zawinił — albo wobec kraju i Europy zatwierdzić poprzednie zeznania swoje w całości i wystąpić sam jeden jako oskarżyciel przed sądem pruskim własnych ziomków swoich. W tak postawionej ostateczności zdecydował się dopiero do owego, jak nazywa, wyklamywania tych wszystkich przed sądem jawnym, których pod śledztwem nieuleczalnie skompromitował¹⁾. To samo jednakże wyklamywanie jest już nie-

¹⁾ Mierosławski mógł wyklamywać przed sądem tych tylko, których pod śledztwem wydał, a na wydanie osób nie miał podobno od nikogo mandatu. Przecież pomimo to wywiązał się z taką akuratnością z zadania swojego przed komisją śledczą, iż wielu niekoniecznie potrzebnie podanych szczegółów nie mógł już potem ani cofnąć, ani zobojętnieć, czyli wyklamać przed sądem. Czy to potrzeba było zwierzać się Dunkerowi, chociaż podstępny inkwirentów były, jak powiada, przewidziane, że Łacki, panna Emilja Szczaniecka i dyrektor Ziemstwa Jarochofski dali mu w domach swoich schronienie? Czy sprawa polska wymagała od Mierosławskiego tak dokładnego opisu domu, sieni i pokoju, w którym go dyrektor Jarochofski przechowywał w Poznaniu? Czyż to Dunker i komisja śledcza potrzebowali się dowiedzieć od Mierosławskiego, że w mieszkaniu Leciejewskiego odbywały się narady związkowych i że na jednej z nich wybrano Libelta do Rządu Narodowego? Albo, że widząc się z Bnińskim Ignacym w Poznaniu dał mu polecenie atakowania miasta Piły w czasie wybuchu? Czy Europa którąkolwiek szczeliną więzienia pragnęła się dowiedzieć od Mierosławskiego, że pani Maleczewska przewoziła go w takiej to bryce ze Świnar do Srebrnej góry, że taką to czapkę nasadzono mu na głowę w tej podróży?

Podobne szczegóły, o których tutaj mowa, nie do samego tylko rozciągają się Poznańskiego, dotyczyły one osób i wypadków galicyjskich, a Wiesiołowski Franciszek w pamiętniku swoim wyraźnie powiada, że zeznania Mierosławskiego o nim samym skłoniły go dopiero do własnych.

Str. 160 Pamiętnika z r. 1845 i 1846 przez Wiesiołowskiego wydane zawiera co niżej:

„W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć jak ludzie tacy, a zwłaszcza Mierosławski, którego wyznam szczerze, na-

zaprzeczoną dowodem, że jego prawdomówność przed komisją śledczą i Dunkerem była ciężkim z jego strony pogwałceniem obowiązków honoru i sumienia i w żadnym razie nie mogła być warunkiem podniesienia sprawy polskiej, lub poszanowania godności narodowej i własnej.

Boć jeżeliby rzeczywiście tak przeważne względy taką miały nakazywać konieczność, Mierosławski nie mógł i nie powinien był uleść naciskowi kilku czy kilkunastu zatrzaśców, których głos, dzięki własnym zeznaniom jego, mógł i tak wkrótce zamilknąć na rusztowaniu, lub pośród murów ciemnego więzienia.

Człowiekowi, co to niby w interesie sprawy narodowej chciał występować przed Europą, nie byłoby wolno dla tak błahych powodów robić ofiary z własnego sumienia i obowiązków obywatelskich dla narodu. Ale na szczęście wielkość i świetność sprawy narodowej nie może polegać na wyłamywaniu się jednostek z pod ogólnego prawa, na podeptaniu najświętszych obowiązków względem współbraci własnych, na denuncjowaniu ich wrogom własnego kraju. Sprzysiężenie nie jest czczą formą, którąby wolno było każdemu bezkarnie odrzucić kiedy mu się spodoba. Jest ono, przeciwnie, najuroczystsze

tenczas miałem jeszcze za ideal bohatera rewolucyjnego mogli tak postąpić. Złej woli, słabości lub zdrady nie przypuszczałem.

„Widząc moje niedowierzanie, referent przedłożył mi protokoły Tyszowskiego, Guttrego i Mierosławskiego, z których czytał mi kilka ustępów, dotyczących się mojej osoby. (Wiesiołowski dał się uwieść swojemu inkwizentowi przynajmniej co do Guttrego, bo ten żadnych zeznań nie złożył). Między innymi zeznał ten ostatni, iż gdy do niego do Krakowa przybyłem, odezwał się: (co istotnie tak było).

— No, kiedy mamy Wiesiołowskiego, to na cóż nam czytać raport Dembowskiego, wszak on będzie nam najlepszym żywym raportem? Powiedział on dalej, że ja, będąc na czele spisku, mam klucz do wszystkiego co się tyczy Galicji“.

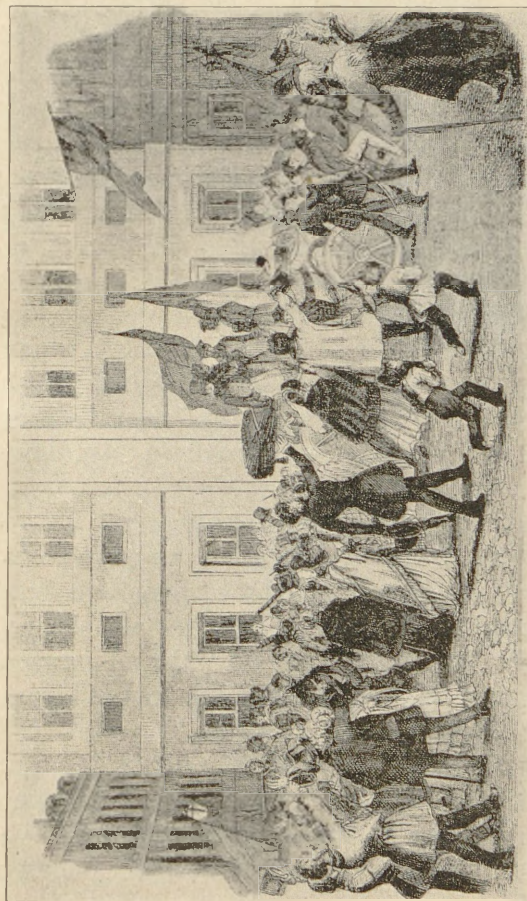
Wyznać muszę, że całe to tłumaczenie się Wiesiołowskiego w niczem nie umniejsza jego winy, bo cóż go zmuszało pójść za przykładem tych, którzy zdradzali związek i wyda-

zobowiązaniem każdego, kto przystępuje do pracy na tej drodze dla sprawy narodowej, do zachowania nienaruszonej tajemnicy tak co do środków, jakimi kraj ku wyswobodzeniu swojemu rozporządzać może, jak co do wewnętrznej organizacji związku samego, jak wreszcie co do osób, które do związku takiego należą. Tym jedynie sposobem uchronić można przed czujnością i prześladowaniem wroga i pracę samą i ludzi do niej powołanych.

Z drugiej strony związku tajemne są ową niezbędną koniecznością, której uciemieżony naród chwycić się musi, bo mu najezdca ani myśleć, ani działać otwarcie nie pozwala. A jeżeli związkowi zdradzą, lub przypadkiem popadną w ręce wroga, czy można któremu z nich poczytać za cnotę, jeżeli łamiąc zaprzysiężoną wiarę współtowarzyszom swoim i krajowi, odsłania pod śledztwem tajemnice związku i wydaje bezwzględnie znanych mu osób nazwiska? Takie postępowanie tylko nieprzyjaciółom kraju różne zapewnia korzyści, ale sprawę narodową zawsze o znaczne przyprawia straty. Takimi to sposobami dostarcza się tylko wrogom szczegółowych dowodów przeciw związkowym, że potem losem ich według upodobania rozrządzać mogą. Świadkiem: ostre wyroki sądu

wali kolegów swoich na łup nieprzyjacielowi? Wszakże obowiązek każdego spiskowca, a tem więcej naczelników sprysiężenia, zmuszał do zażajenia wszystkiego o czem wiedzieli; Wiesiołowski zaś, jak się pokazuje z jego własnych zeznań w Pamiętniku jego podanych, nie oszczędzał nikogo, a wyjawiając wszystko o czem wiedział, nietylko kompromitował swoich współtowarzyszów niedoli, ale sam na siebie pisał wyrok w obliczu sędziów austriackich i—narodu.

Co się dotyczy Tyszowskiego, to człowiek ten zasługuje na najwyższą pogardę. Zrobił układ z władzami austriackimi, iż pod warunkiem, że go na wolność wypuszczą zaraz po złożeniu zeznań, przyrzekł wszystko powiedzieć o czem wiedział, lub o czem tylko mógł zasłyszeć; o tak niegodnem postępowaniu człowieka niewarto więcej mówić, dodam tylko, że śmiało ogłosił się dyktatorem na całą Polskę, a później po zawarciu układu z rządem austriackim, z dyktatora zeszedł na stanowisko donosiciela.



Pochód tryumfalny Polaków przez Berlin w r. 1848.
(Według ryciny współczesnej).

kameralnego w Berlinie w r. 1847-ym — ośmiu na karę śmierci, kilkudziesięciu na ciężkie więzienie od 6—25 lat skazujące, do czego prowadzi zdradzenie tajemnic związku i osób do niego należących.

Jeżeli Mierosławski chce podobnego rodzaju poświęcenie wynieść do godności zasług dla sprawy narodowej złożonych, musi wpieryw koniecznie dowieść zdrady kraju tym wszystkim, którzy, jak świadczy historia, pod śledztwem nie zdradzili zaprzysiężonej w związku tajemnicy, musi następnie wydrzeć z serca i pamięci narodu wspomnienia Łukasińskich, Konarskich, Lewitu, a w ich miejsce nakazać cześć dla Jabłonowskich, Orzeszków i dla siebie samego. Ale dokądby to zaprowadzili naród ci nowi apostołowie z pokolenia Iskaryoty?!

Na tym opisie zamykam skreślenie postępowania Mierosławskiego pod sądem śledczym. Jest ono rzetelne i z prawdą zgodne, a że je obszerniej opisać musiałem, skłoniły mnie do tego aż w dwóch wydaniach odmalowane przez Mierosławskiego nieprawdy o współwięzionych.

Teraz, zanim przystąpię do wspomnień o rokach sądowych, które się w drugiej połowie roku 1847-go w Berlinie odbywały, nadmienić muszę o jednej okoliczności, która, jak szczerze wyznam, wielkiego na mnie nie wywarła wrażenia, atoli w żywej została mi pamięci, bo wszystko co mi opowiadano, pomimo wszelkiego nieprawdopodobieństwa ziściło się co do joty w r. 1848-ym.

Było to na początku miesiąca sierpnia 1847-go r., kiedy w godzinie na przechadzkę przeznaczoną wpuszczono mnie przez omyłkę do klatki, w której już zastałem towarzysza, a że to już było po doręczeniu oskarżonym skarg prokuratora, nie zachowywano z więźniami tak wielkich ostrożności, jak z początku. Tym towarzyszem był ksiądz Łobodzki.

Był to człowiek w podeszłym już wieku, miłego oblicza, spokojny, poważny i wzbudzający ufność do sie-

bie. Zapytał mnie zaraz na wstępie, z których stron jestem i jak się nazywam. Kiedym mu to powiedział, twarz mu się rozweseliła i rzekł do mnie:

— A toć ja jegomości znam z młodych lat, bom bywał w domu rodziców jego po kweście, kiedy byłem zakonnikiem u karmelitów w Kcyńi.

Przypomniałem go sobie bardzo dobrze, gdy mi jeszcze przytoczył niektóre figle moje, jako młodego wówczas chłopca. Po niedługiej z nim rozmowie, zaczął od tego:

— Bo jabym jegomości coś powiedział, aleby mi może jegomość nie wierzył, bo to wy młodzi lubicie sobie żartować z tego, co starzy opowiadają.

— Nie chwila to do żartów, odpowiedziałem, kiedy wszyscy przygotowani jesteśmy na śmierć lub długoletnie więzienie.

— Śpij jegomość zdrów, odparł ksiądz, nie nam nie zrobią i jeszcze nas się prosić będą, żebyśmy z więzienia wyszli, a święcone jajko na przyszły rok będziemy w domu jedli; bo to widzi jegomość, ja mam takie widzenia w nocy i chociaż nie śpię, to mi się przesuwają przed oczami rozmaite wypadki, które się później zawsze sprawdzają. I tak w r. 1830 miałem też podobne widzenie; przesuwaly mi się przed oczami wszystkie pułki jazdy, krakusów i piechoty—wszystko to widziałem jasno, jak na dłoni; ale potem czerwona luna wszystko pokryła i zaraz powiedziałem, że naszym chudziakom powstanie się nie uda. I sprawdziło się to wszystko. Otóż i teraz w więzieniu miałem podobne widzenie—i powtarzam jegomości, że nas będą prosili, abyśmy z więzienia jak najprędzej wyszli.

Nie pokładałem wiary w tem proroctwie, bo wnioskując ze skargi prokuratora i ze świadectw przeciw mnie złożonych nie mogłem przypuścić nawet, że będę wolnym, a jednakże przepowiednia księdza Łobodzkiego sprawdziła się w r. 1848 zupełnie. O ile mi się zdaje. roki sądu

kameralnego rozpoczęły się we wrześniu 1847 r. i trwały aż ku końcowi października tegoż roku. Ponieważ odwołanie poczynionych zeznań było poprzednio postanowieniem, stąd też nastąpić musiało zaprzeczenie wszystkich tych zeznań, które oskarżeni pod śledztwem składali.

Pierwszym był Mierosławski i przyznać muszę, że zeznanie swoje bardzo zřęcznie odwoływał. Wprawdzie przyznał wszystko, co dotyczyło celów sprzysiężenia, lecz co do osób, powiedział, że mu nie chodziło o nazwiska i może być, że je fałszywie pod śledztwem podał dlatego, że mu chodziło głównie o wykazanie ilości osób do śledztwa należących, a jak się one nazywały nie był pewnym i do dziś dnia nim nie jest.

Po nim najlepiej uzasadniał odwołanie swoje Elżanowski, ale biedny Kosiński na każdym kroku się plątał w odwoływaniu swoim, a przez to podawał prokuratorowi królewskiemu sposobność do posądzania go o kłamstwo. Tak samo nie mogli sobie dać rady z odwoływaniem Stanisław Sadowski, Józef Szoldrski, Kurowski i inni. Mnie najciężej potępiały zeznania Merosławskiego, Tyszowskiego i Wiesiołowskiego z Galicji. Szczęściem dla mnie, że zeznania ich przysłane zostały z Galicji bez żadnej legitymacji sądowej lub administracyjnej. Na wniosek przeto mojego obrońcy, zeznania Tyszowskiego i Wiesiołowskiego sąd uchylił całkiem przy mojej sprawie, nie uważając ich za wiarogodne.

Wspomnieć tu muszę jeszcze o jednej okoliczności, która w czasie naszego procesu miała miejsce. Z Galicji wysłano deputację do naszych posłów w Berlinie na sejmie zasiadających, która przywiozła projekt od swoich mocodawców z tej części zabranej Polski, aby Wielkopolska zobowiązała się wraz z Galicją do wydawania odnośnym władzom każdego Polaka, któryby z Francji do kraju przybył. Ta niegodna serca i sumienia polskiego propozycja odrzuconą została przez oby-

wateli Wielkopolski, ale nie mogła nie wywołać najboleśniejszych uczuć w uwięzionych w Berlinie, bo każdy z nich czuł, jak okropnie śmieli Galicjanie podeptać godność narodową.

Z równą boleścią, a nawet z oburzeniem widzieli nasi więźniowie Wincentego Pola w tej delegacji. On, ulubiony poeta narodowy, znany całemu krajowi z patriotyzmu, mógł się zapomnieć do tego stopnia, że się nie wstydził brać udziału w tak haniebnym i w tak poniżającym wysłannictwie, a co więcej śmiał nawet przybyć na salę, w której się odbywały roki sądowe i ze spokojem spoglądać na oskarżonych braci swoich, jakby na obcych przestępców lub zbrodniarzy. Odmówienie współudziału ze strony wielkopolskich obywateli w tem potwornem dziele niezasłużonej zemsty, jaką Galicjanie wyrzucić chcieli na niewinnych emisariuszach centralizacji, przynosi niezaprzeczenie wielki zaszczyt Księżtwu, chociaż z drugiej strony nie można pominąć milczeniem, że zakupiwszy pióro Trentowskiego wydali nasi konserwatyści własnym nakładem broszurę przez niego napisaną pod tytułem: „Ojczyźniaka“.

Miał to być akt oskarżenia narodowego przeciw uwięzionym patriotom w Berlinie; nie mieli przecież ci panowie upoważnienia do tego od narodu, a rok 1848 zadał kłam wszystkim elukubracjom w „Ojczyźniaku“ zamieszczanym. A kiedy książę Adam Czartoryski oddał się na rozporządzenie Rządu Narodowego, który w Krakowie w owym czasie był ustanowionym i spełnieniem tego aktu patriotycznego dowiódł, że usiłowania narodowe o odzyskanie bytu i wolności nakazują każdemu wiernemu synowi Polski złożyć swoje przekonania polityczne na ołtarzu powstającej Ojczyzny—konserwatyści nasi znaleźli się w przykrem położeniu i nikt nie śmiał się przyznać, że brał udział w tej wyżej wspomnianej publikacji.

I sam Trentowski uczuć musiał ostre wyrzuty pol-

skiego sumienia, bo w r. 1848 przybył do Poznania i wyznał publicznie swoją winę i odwołał wszystko co w „Ojczyźniaku“ na potępienie uwięzionych w Berlinie patriotów był napisał.

Jakkolwiek nie da się całkiem uniewinnić postępkowi Trentowskiego, to jednakże późniejsze jego odwołanie zasługuje na pochwałę. Jego broszurę musieli wykupić z handlu księgarskiego ci, którzy jej wydanie spowodowali—bo stała się dzisiaj prawdziwą rzadkością.

Wspomniawszy wyżej o tych kilku sprzysiężonych, którzy pod śledztwem tak nagannie się sprawili, że wszystko o czem wiedzieli, a nawet i to, o czem tylko zasłyszeli przed komisją śledczą wyznali, niepodobna przemilczeć o Józefie Esmanie, Macieju Palaczu, Janie Palaczu, o komorniku Płotku, których za wzór można podać, co do zachowania tajemnic sprzysiężenia i zaparcia się wszystkiego, co im zarzucano. Szczególnie Esman nietylko, że nic nie zeznał, ale nawet w czasie roków sądowych 23 świadkom zarzucił kłamstwo, a jednemu z nich, który gwałtem dowodził, że go zna osobiście, dowiódł, że zeznanie jego niebardzo z prawdą zgodne.

Z wielką przytomnością umysłu poprosił sąd przez swojego obrońcę, aby pozwolił przywołać oskarżonego Hipolita Trąmpczyńskiego, do którego z twarzy i z wzrostu uderzająco był podobnym, a to w celu, aby świadek mógł zeznać, który z nich jest Esmanem. Świadek oczywiście nie mógł napewno powiedzieć, którego z nich widział i świadectwo jego całkiem zobojętnione zostało.

Wspomnieć tu muszę o jednym współoskarżonym Emiljanie Moszczeńskim, który w więzieniu w cytadeli Poznańskiej podsłuchiwał kolegów swoich i donosił swojemu inkwirentowi o tem co pomiędzy sobą rozmawiali. Co go do tego kroku haniebnego skłonić mogło, niewiadomo, ale to pewna, że od inkwirenta swojego przyjmował w tym względzie polecenia i z całą ścisłością je wy-

pełniał, podczas gdy brat jego, zacny patriota i powszechnie szanowany obywatel, jak najhonorowiej się zachowywał w czasie śledztwa i więzienia.

Po ukończeniu procedury sądowej nie tak już ściśle strzeżono więźniów, owszem pozwalano im odwiedzać się, a czasami po trzech i czterech w jednej celi ich się zgromadzało ¹⁾).

Ja przy końcu października zachorowałem na silne uderzenia krwi do głowy. Musiano mi przystawić 12 pijawek na czoło, a to mnie tak osłabiło, że potem ze cztery dni przeleżeć w łóżku musiałem. Opuściwszy łóżko, czułem się tak osłabionym, że nawet na zwykłą codzienną przechadzkę wychodzić nie mogłem. Powietrze sprawiało mi zawrót głowy. W czasie tym przybył jednego dnia nad wieczorem do mojej celi prezes sądu kameralnego p. Koch, z dyrektorem więzienia Grabowskim. Bardzo mnie zdziwiła ta wizyta i domyślałam się, że coś nadzwyczajnego zajść musiało. Że zaś człowiek zwykle podobne niespodziewane zajścia do swojej odnosi osoby, sądziłem, że prezes z obawy, abym nie zmarł przed wyrokiem, chce mi pozwolić zamieszkać w mieście. Tymczasem on zapytawszy się, jak jest z moim zdrowiem, kiedy mu odpowiedziałem, że lepiej, ale się czuję słabym i dlatego na przechadzkę nie wychodzę, odezwał się do mnie na pół żartem, że może przejażdżka byłaby pomocną do rekonwalescencji.

— Nie wiem, odpowiedziałem, jakby to było, bo chcąc świeżego użyć powietrza, musiałbym chyba poza miastem odbyć podróż, a nie wiem, czy dalsza przejażdżka posłużyłaby mi na zdrowiu.

¹⁾ W tym to czasie przychodził do nas i Mierosławski. a przychodził dla tego, że dyrektor Grabowski nie mógł żadnego z więźniów skłonić, aby Mierosławskiego przyjął do swojej celi. Wówczas też przyzwał się na moje i Białoskórskiego na legania, że tak niepotrzebnie zaufał Dunkerowi i na jego przyrzeczeniach amnestji polegał.

Na to powiada p. Koch:

— Ale gdybyś Pan mógł jechać do domu, to myślę, że na taką podróż siły pańskieby wystarczyły.

— O tak, odrzekłem, na podróż do mojej rodziny, tobym już znalazł dość sił.

— No, w takim razie mogę panu oświadczyć, że sprawa pańska tak stoi, iż mogę wziąć na moją odpowiedzialność udzielenie Panu urlopu do domu, byleś mi Pan dał zaręczenie, że na każde zawezwanie sądu stawisz się w Berlinie do naszego rozporządzenia.

Życzył mi przytem szczęśliwej podróży i podawszy rękę, wyszedł z mojej celi. Zaś dyrektor Grabowski, odprowadziwszy prezesa do bramy, wrócił do mojej celi i oświadczył, że mogę zaraz nazajutrz wychodzącym rannym pociągami wyjechać z Berlina. Ze mną razem w sali mieszkał Białokórski. Grabowski odwróciwszy się do niego, prosił go, aby mi rzeczy i bieliznę potrzebne na drogę tymczasem spakował, a potem wziął mnie ze sobą na miasto. Człowiek ten tak był uszczęśliwiony dobrym obrotem sprawy mojej, że swoją radością chciał się podzielić z niektórymi znajomymi. Jakoż zaszliśmy najpierw do pułkownika Biesiekierskiego, któremu dla słabości zdrowia dozwolono mieszkać na mieście.

Pocziwy starowina nie mógł się nacieszyć tą niespodzianką; uściskał mnie i łązy mu się w oczach kręciły. Kazał jednak zaraz przynieść wina i we czterech, bo u niego zastaliśmy d-ra Petriego, wysuszaliśmy dwie butelki, poczem pożegnaliśmy go, i Grabowski zaprowadził mnie do mojego obrońcy, adwokata Crelingera. Zaszedłszy tam, Grabowski zatrzymał mnie przed drzwiami, a sam wszedłszy do pokoju, zapytał Crelingera:

— Zgadnij, kogo ci przyprowadzam?

— To już chyba Guttrego, kiedy tak do mnie przemawiasz, odparł, a gdy na to wszedłem, rzucił mi się na szyję i oświadczył swoją radość ze szczęśliwego obrotu

sprawy mojej i zaraz zaprosił nas na ostrygi, przy których popijać trzeba było wino. Przyznać muszę, że to było osobliwsze lekarstwo po ciężkiej co dopiero przebytej chorobie.

Przybywszy do domu, dowiedziałem się dopiero, co spowodowało prezydenta sądu do odwiedzenia mnie w więzieniu. Brat mój zrobił podanie do sądu, prosząc o uwolnienie mnie na kilka dni, podając za przyczynę, że żona moja bardzo niebezpiecznie zachorowała. Jako kaucję, że się dostawię na każde wezwanie sądu chciałem ofiarować cały swój majątek i własną osobę. Szlachetny prezes nie przyjął tego i jak już wyżej powiedziałem, uwolnił mnie na proste zaręczenie z mej strony, że nie omieszkać stawić się pod rozporządzenie sądu, skoro wezwanie odbiorę. Tymczasem żona moja była już zdrowsza, a ja żadnego wezwania od sądu nie odebrałem.

Uwolnienie moje z więzienia wielką otuchą napełniło współoskarżonych. Byli prawie pewni, że przeciw wszystkim zapadną wyroki łagodne i tem boleśnieszce było rozczarowanie, kiedy im przeczytano, że ośmiu skazanych było na śmierć, jako to: Mierosławski, Kosiński, Stanisław Sadowski, Józef Szoldrski, Apolonjusz Kurowski, Ceynowa, ksiądz Łobodzki, nazwisko ósmego wyszło mi z pamięci, Libelta Karola skazano na 20 lat; majora Radkiewicza zaś i Adolfa Malczewskiego na lat 25; innych współoskarżonych na lat 15, 12, a najniższa kara na 6 lat więzienia. Wyroki te jakby gromem raziły wszystkich skazanych. Jeden tylko ks. Łobodzki, który nie znał wcale języka niemieckiego, gdy wyrok na niego przeczytano, zapytał sąsiada:

— A co oni to tam o mnie mówią?

— A to jegomości skazali na śmierć, odpowiedział sąsiad.

Ks. Łobodzki z najzimniejszą krwią wyjął tabakierkę, poczęstował sąsiada tabaką i kiwnąwszy głową, odrzekł:

— To się wszystko na nic nie zda, bo oni nam nic nie zrobią¹⁾.

Taką wiarę miał ten człowiek w widzenie, o którym wyżej wspomniałem, a które jednakże w niedługim czasie sprawdzić się miało. Kiedy bowiem w r. 1848 wybuchła rewolucja w Berlinie, lud berliński postanowił uwolnić więźniów polskich i prokurator królewski, dowiedziawszy się o tym zamiarze, spisał co prędzej amnestję dla wszystkich, i pośpieszył przedłożyć ją królowi Fryderykowi Wilhelmowi IV do podpisu, dając za powód, że gdyby ta amnestja nie wyszła od króla, lud gotów zdobyć przemocą więzienie i sam uwolnić więźniów. Że zatem pożądaną jest rzeczą, ażeby król uprzędził ten zamiar darowaniem więźniom kary. Uzyskawszy podpis królewski, popędził dorożką do Moabitu i tam zwoławszy więźniów do sali sądowej, przeczytał im amnestję królewską i wezwał, aby się wszyscy czempędzej zabierali i opuścili więzienie.

Ale zaledwo zdołał dokonać swojej misji, tłumy ludu wyparły bramę i zalały całe więzienie. Nasi nie zdołali się jeszcze załatwić z zapakowaniem rzeczy, kiedy owe tłumy opanowały wszystkie sale i wśród zaręczzeń braterstwa zabierały sobie na pamiątkę wszystko co miało jakąś wartość, czy łyżkę srebrną, czy zegarek, czy cygarniczkę, a następnie wyprowadziwszy Karola Libelta w tryumfie wsadzili go do dorożki, wyprzęgli konie i zaciągnęli przed pałac królewski. Po drodze więcej jesz-

¹⁾ Obojętność, z jaką ks. Łobodzki przyjął ogłoszenie wyroku na śmierć, ogromne zrobiła wrażenie na sędziach. Ich marmurowe twarze, na których do tej chwili żadnego wzruszenia dopatrzeć nie było można, kiedy im przetłumaczono słowa Łobodzkiego wyrażały podziwienie prawie z szczeniakiem pomieszane. Przez kilka chwil zawieszono dalsze czytanie wyroków, bo widocznie sędziowie cheieli ochłonać z wrażenia, jakie na nich sprawił spokój, z jakim ks. Łobodzki przyjął skazanie swoje.

cze przyłączyło się ludu i ciekawych i cały ten tłum wysypał się na plac przed pałacem królewskim.

Tam zaczęto wołać, aby się król pokazał, a gdy to nastąpiło, wtedy obstąpili Libelta i pytali, o co się mają dopominać. Libelt im podpowiedział, że o konstytucję. Zaczęły tłumy wrzeszozeć, że lud dopomina się konstytucji. Potem zapytali, czego więcej jeszcze mają żądać? Libelt znowu im podszeptał, że wolności prasy i równouprawnienia politycznego wszystkich mieszkańców Królestwa. Po wykrzyknięciu tego żądania, król w krótkich słowach przemówił i przyrzekł, że zadość uczyni żądaniam ludu.

Ale biedny Libelt nie skończył na demonstracji, bo nazajutrz przyszli do niego ci, którzy dorożkę ciągnęli i zażądali za ten okaz patriotycznego współczucia dla niego—16 talarów wynagrodzenia.—Droga przejażdżka!

Ci co tak bezwzględnie potępiali rok 1846, mogli się później przekonać, jaki wpływ wywarły na rozbudzenie ducha narodowego w Księstwie liczne aresztowania w tymże roku zarządzone. W pierwszych chwilach bez przesady powiedzieć można, że połowa mieszkańców Wielkopolskiej ziemi zapełniła więzienia pruskie, a z drugiej połowy rząd starał się wytworzyć świadków na potępienie uwięzionych. We wszystkich powiatach Księstwa i Prus zachodnich były ustanowione komisje śledcze i nie było podobno jednego człowieka w tychże prowincjach, któregoby pośrednio lub bezpośrednio pominęła ciekawość owych improwizowanych inkwirentów. Oczywiście, że w takim stanie rzeczy przeciw zawziętości, jaką rozwijały organy rządowe przeciw uwięzionym, rozbudziło się silne działanie interesowanych osób.

Żony, siostry i matki tych, których los był tak mocno zagrożony, starały się wszelkimi sposobami rozbudzić sumienie polskie ludu naszego, objaśniając świadków, iż rząd prześladuje uwięzionych zato, że chcieli wolności i niepodległości całego narodu; a z drugiej stro-

ny zacne i patrijotyczne duchowieństwo nasze wielce się także przyczyniło na korzyść oskarżonych.

Rok 1848 znalazł wśród ludu, który przed r. 1848 był dosyć niechętnym, a po części nawet źle usposobionym dla obywatela wiejskiego, rok mówię 1848 znalazł wśród tego ludu rozbudzony patrijotyzm i ufność do szlachty. Nie całkiem przeto prawdziwą jest zasada przez ultra-konserwatystów głoszona, że usiłowania o odzyskanie Ojczyzny przynoszą tylko same nieszczęścia krajowi!

KONIEC.

SPIS NAZWISK.

- Abramowicz — 44.
Alcyato — 51, 60.
Antoniewicz — 76.
Arnim — 12.
Arnold Pius — 79, 104.
- Białkowski — 141,—2.
Białoskórski Feliks — 13, 110, 133, — 5, 145, 159, 160.
Berwiński Ryszard — 6.
Biesiekierski Stanisł. — 145, 160.
Blum — 62.
Bniński Ignacy — 145, 150.
Bniński Konstanty — 48, 77,—8.
Bnińska — 49.
Bodzantowicz (Suffczyński) — 31.
Bojanowski Kalikst — 92.
Borchardt Ludwik — 71, 116.
Brandenstein — 115.
Brandt — 6.
Breański Walerjan — 26.
Brzezański — 6.
Buchowski Kajetan — 26.
- Cieszkowski August — 5, 6.
Ceynowa — 161.
Chmielewski Robert — 40.
Cyliński (Hołman) — 65—8.
Czartoryski Adam — 20, 157.
Crelinger — 160.
- Dąbrowski Bronisł. — 13, 48.
Dąbrowska — 49.
Dembowski — 151.

Dunker — 118—9, 133—4, 148—9, 150—1, 9.

Dunin Arcyb. — 81.

Dzwonkowski — 34,—5,—9, 100—2.

Esman Józef — 19, 73,—4,—9, 84,—9, 90—1,—4, 158.

Elżanowski — 156.

Fagiewicz — 123—4.

Flottwell —5.

Frankenberg — 102, 109—10, 11, 19, 20.

Franz — 127.

Fryderyk Wilhelm IV — 162.

Gorczyński Józef — 6, 13, 140.

Głowacki — 32.

Gorski — 35.

Gorzkowski — 19, 71, 82,—3,—4, 94, 5, 6, 8, 9.

Grabowski — 129, 130,—1, 159, 160.

Gurny — 76.

Guttry Aleksander — 6, 7, 8, 55, 140,—3, 5, 151, 160.

Hoiman (Cyliński) — 65,—8.

Iłowiecki Andrzej — 145.

Jabłonowski — 154.

Jarochoowski Cyprian — 84, 145, 150.

Jarochoowski — 84—5.

Jaźliński — 37.

Jonnemann — 112.

Kamieński Henryk — 19, 29, 36,—7,—9, 43,—6.

Kamiński Napoleon — 26, 43, 51, 61,—6.

Karpiński — 19, 30,—6, 7, 9.

Kasyusz profes. — 19, 81,—2, 105, 143.

Kasyusz syn — 81,—2.

Kiwerski — 48.

Koch — 159, 160.

Kohen d-r — 111.

Konarski — 154.

Korzeniowski — 76.

Kościelski Władysł. (Sefer-basza) — 110.

Kosiewicz — 36.

Kosiński Władysław — 6, 29, 59, 70,—3, 4, 88, 117, 132—3,—7,
145, 156, 161.

- Kossowski — 48.
Kozerski — 76, 92.
Kozmian Jan — 6.
Kraśniński Wincenty — 19, 50.
Kraszewski d-r — 6.
Krauthofer-Krotoski — 6.
Kuczyński — 48.
Kuczyńska — 49.
Kunkiewicz — 42, 57.
Kurnatowski Apolinary — 55,—8, 104—5, 118, 140,—3, 5.
Kurowski Apolonjusz — 156, 161.

Leciejewski Tadeusz — 85, 145, 150.
Lewitu — 154.
Libelt Karol — 5, 6, 19, 26,—7, 39, 40, 66,—8, 70, 1, 3, 4,
5, 84—8, 95, 118, 145, 150, 161,—2,—3.
Lipiński — 80.
Littichau — 14.

Łącki Władysł. — 145, 150.
Łobodzki Ks. — 109, 154—5, 161,—2.
Łukasiński — 154.
Łukaszewicz — 6.

Malczewski Adolf — 19, 26, 59, 60, 70, 89, 96, 101,—2, 4, 5,
110, 130, 137—8, 140,—3,—5, 161.
Malczewska — 103, 150.
Malinowski Tomasz — 39, 43, 52, 60, 124.
Marcinkowski Karol d-r — 67, 99.
Martin — 125.
Matecki Teofil d-r — 6, 54, 106,—7, 140.
Mazurkiewicz Wincenty — 26.
Mierosławski Ludwik — 8, 13, 19, 80—4, 5, 8, 103,—9, 118,
132,—3, 4, 5, 7, 8, 9, 140—3, 4, 5, 6, 7, 8, 150,
1, 2, 4, 156, 9, 161.
Mielżyński Maciej — 6, 67.
Mielżyński Seweryn — 6, 145.
Mikieta — 38, 122,—3, 5, 130,—1.
Mikorski Józef — 59, 67, 70,—4, 89.
Minutoli — 106,—7.
Moraczewski J. — 6, 132.
Moszczeński Emiljan — 109, 158.
Moszczeński Mateusz — 103.

Nagiel — 78.
Niegolewski Maurycy Władysł. — 62, 113, 146.

Olędzki — 26.

Ostrowski Seweryn — 145.

Orzeszko — 154.

Palacz Jan — 158.

Palacz Maciej — 158.

Papłoński — 44—5.

Paskiewicz — 19, 49.

Petri d-r — 160.

Piotrowski d-r — 26.

Plotek — 158.

Pol Wincenty — 157.

Poniński Henryk — 109, 141—2.

Popliński — 6.

Potworowski Gustaw — 6.

Przyborowski Franciszek — 19, 64, 5, 8, 76, 7, 8, 9.

Radkiewicz — 161.

Radoński Anastazy — 140,—1,—5.

Radoński Tadeusz — 104—5, 121, 143.

Rajewski Lucjan — 145.

Rakowski K. d-r — 7.

Randow — 77.

Rowiński — 103.

Röhr — 76.

Ruprecht — 76.

Schreeb — 7.

Schmidt Hans — 7.

Schuman Henryk — 7.

Sadowski Nepomucen — 66.

Sadowski Stanisław — 70, 156, 161.

Singer Ignacy — 142.

Słupecki Jan — 59, 67, 70,—4, 89, 96, 145.

Sokolnicki — 141—2.

Stefański — 19, 42, 53,—4, 5, 6, 7, 71,—9.

Suffczyński (Bodzentowicz) 31,—2, 46.

Szczaniecka Emilja — 150.

Szczaniecki Konstanty — 145.

Szeffel — 62.

Szoldrski Józef — 47, 156, 161.

Szpadkowski — 32,—4.

Szulz — 117, 120.

Ściegienny — 47.

Ślusarzewiczówny — 68.

Trampczyński Hipolit — 158.

Trentowski Bronisław — 109, 157,—8.

Trzeciński Walenty — 110.

Tyszowski — 151,—2, 156.

Uhlmann — 103.

Węgierski — 19, 32.

Wiesiołowski Franciszek — 71,—2, 6, 150, 151, 156.

Willisen — 12, 13.

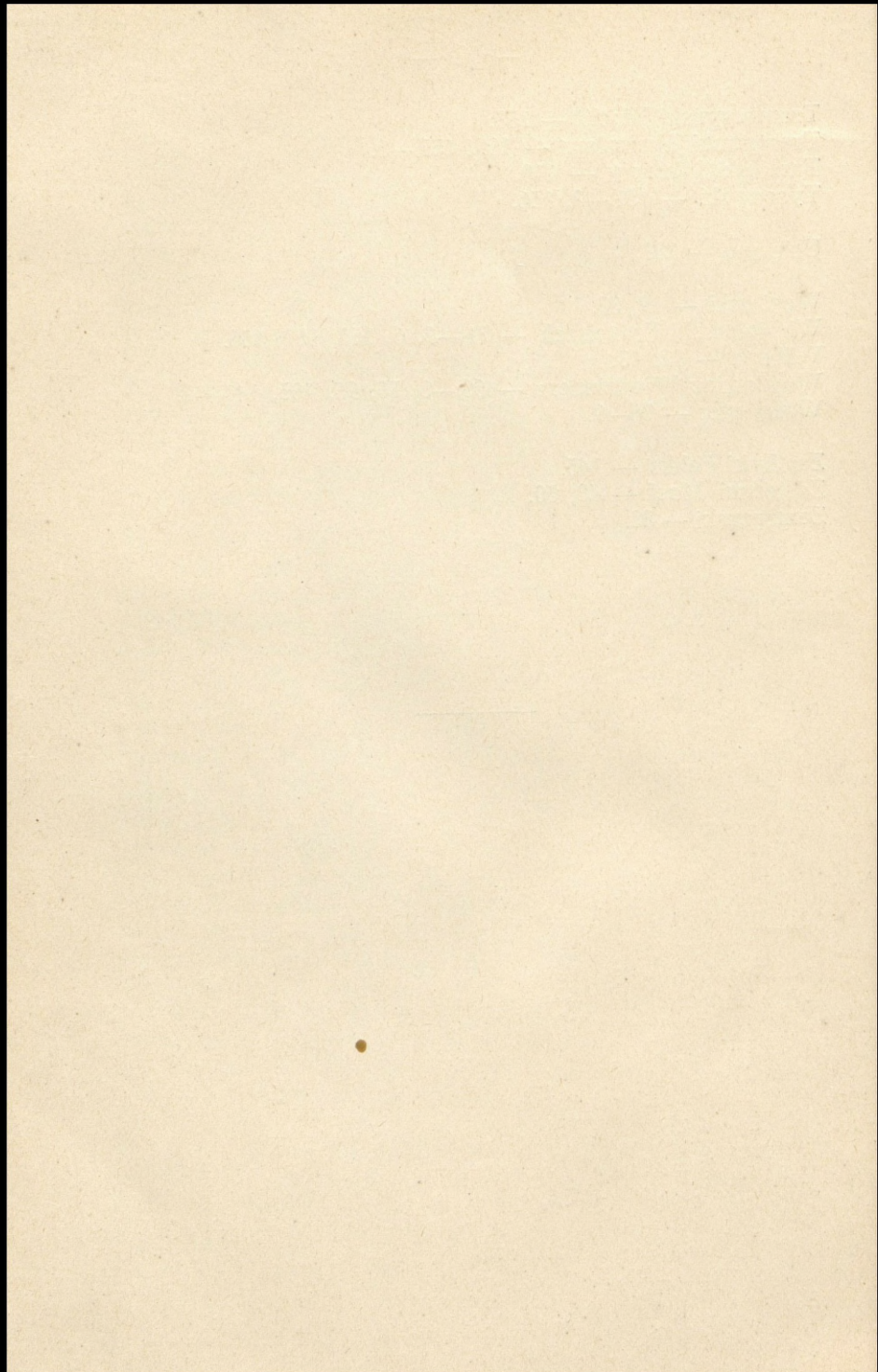
Wolniewicz Włodzimierz — 66,—8, 70, 95, 105, 141,—2.

Wolszleger — 78—9.

Zagórski Feliks — 145.

Zdębiński Józef — 48, 50.

Zembrzuski — 38.



SPIS RZECZY.

	str.
PRZEDMOWA	5
WSTĘP	9
CZEŚĆ I	19

Po roku 1831.—Działalność stronnictw arystokratycznego i demokratycznego.—Stosunek Komitetów do centralizacji Wersalskiej.—Zawiązek sprzysiężenia w Poznańskim.—Stan rzeczy w Kongresówce.—Henryk Kamiński.—Karpiński, Węgierski.—Wycieczka Guttrego w Lubelskie.—Rozwój idei demokratycznych w Wielkopolsce.—Rozprawy Libelta.—Powtórna wycieczka Guttrego w Lubelskie.—Działalność Kamińskiego.—Paskiewicz i Krasiński na wyścigach.—Agitacja Stefańskiego.—Plan oblężenia cytadeli poznańskiej.—Plan Malczewskiego.—Aresztowanie rzemieślników. — Fałszywy alarm.—Nowy Komitet.—Uwięzienie Stefańskiego.—Kłopoty Komitetu z Przyborowskim. — Pastor Kasysz. — Przybycie Mierosławskiego.—Plany rewolucyjne.—Wyjazd Mierosławskiego do Krakowa.—Intryga Esmana.—Odprawa Gorzkowskiego.—Wichrzyciele.—Bezpośrednia Komisja śledcza. — Aresztowanie Mierosławskiego i Guttrego.

CZEŚĆ II	109
--------------------	-----

W cytadeli poznańskiej.—Rozmowa z prezesem Komisji śledczej i komendantem w Sonnenburgu.—Kompromitujące zeznania Mierosławskiego. — Troski więźniów.—Rozmowa z Frankenbergiem.—Życie więzienne.—Przybycie do Berlina.—Śledztwo i szykany w Hausvogtei.—Korowody z sędzią.—W Moabie.—Zażalenie Hen-

ryka Ponińskiego.—Wizyta prezesa sądu.—Sprawa więzienna Mierosławskiego.—Przyczyna jego kompromitujących zeznań.—Jego wykrety.—Przygnębienie oskarżonych.—Odwołanie zeznań.—Narada więźniów.—Oburzenie przeciw Mierosławskiemu.—Twierdzenia jego o „Powstaniu Poznańskim“.—Oczyszczające Komentarze.—Apostol z pokolenia Iskarjoty.—Wróżby ks. Łobodzkiego.—„Ojczyźniak“ Trentowskiego.—Donosy Emiljana Morscheńskiego.—Tymczasowe wyzwolenie Guttrego.—Wiara w wizje ks. Łobodzkiego.—Amnestja i tryumf więźniów polskich.—Wpływ r. 46 na ducha narodowego.

SPIS NAZWISK	165
SPIS ILUSTRACJI	173



SPIS ILUSTRACJI.

	str.
Guttry Aleksander	1
Libelt Karol	27
Niegolewski Maurycy Władysław	63
Mielżyński Maciej	67
Marcinkowski Karol	69
Bazar w Poznaniu	106
Biblioteka Raczyńskich	115
Ludwik Mierosławski	139
Pochód tryumfalny Polaków przez Berlin	151







43643 /
2